

JAN KASPROWICZ

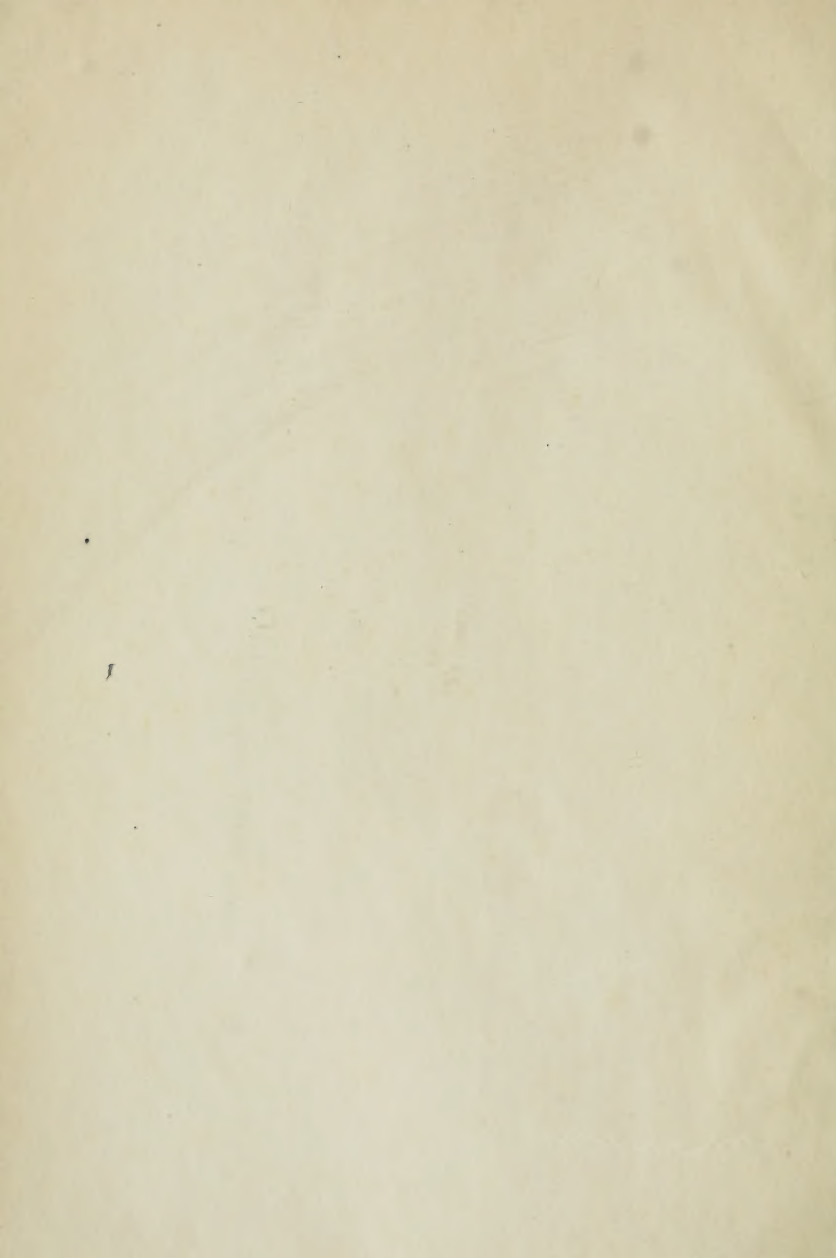
DZIEŁA
POETYCKIE

TOM IV
LIRYKI

II

LWÓW — 1912

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA: E. WENDE I SP. (T. HIŻ I A. TURKUŁ)





DZIEŁA POETYCKIE

JAN KASPROWICZ
///

DZIEŁA
POETYCKIE

WYDANIE ZBIOROWE
LUDWIKA BERNACKIEGO

T. IV
LIRYKI

II



LWÓW — 1912
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA: E. WENDE I SP. (T. HIŻ. J. A. TURKUŁ)

PG
7158
K3
1912
t. 4



775491 -

LIRYKI

II

1

MELODYE WIOSENNE

I.

MARZANNO!

Marzanno! choć każdą ty warzysz
Roślinę,
Ja niech w twym uścisku nie ginę
Na wieki!
Marzanno! płomienna dziewico,
Spal serce,
Lecz zasiej mi trawy kobierce
Na grobie.
A pośród tej trawy zielonej
Niech wiosną
Czerwone się kwiaty rozrosną
I białe.

Niechaj-że ci, co w rozpaczy
Wciąż żyją,
Nadziei girlandę uwiją
Z tej trawy.
A tym zaś, co darmo ściągali
Tęcz wstęgę,
Niech róża się zmieni w potęgę
Miłości.
A tym, którym pierś już w zwątpieniu
Wysycha,
Niech bije z lilii kielicha
Zdrój wiary.

Marzanno! o przemień mój kurhan
W grodzisko
I w ognia wiecznego siedlisko
Mą urnę:
Prawnicy się wówczas z swych zwątpień
Ocuą
I hymny tu przy mnie zanuć,
Rozgrzani.
I dymy ofiarne się w górę
Podniosą,
Bo dzięki uczynią niebiosom,
Że wolni!...



II.

O WITAJŹE NAM, WIOSENKO.

O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam, wiosenko
Gorąca!
Ty białą roztaczasz ręką
Kobierce z ziela,
Ty białą zapalasz ręką
Blask słońca.

Jasne, jak kryształ, potoki
Zsyłasz na ziemię,
Jasne jak kryształ potoki
Świat poją:
Przebudź z zadumy głębokiéj
I ludzkie plemię,
Przebudź z zadumy głębokiéj
Brac moja.

Grudzień rozsypał swe szrony
Na senne skronie,
Grudzień rozsypał swe szrony
Na serce,
I duch, tym lodem zmrożony,
Siłą nie płonie,
I duch, tym lodem zmrożony,
W rozterce.

Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Złotych promieni,
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Błękitu,
Lecz zgniółł nas żywot skazańców
I my znużeni,
Ach! zgniółł nas żywot skazańców
Bez bytu!

Nie wiń nas, wiosno, że lice
W walce nam biedną,
Nie wiń, że marszczą się lice
W tej nędzy,
Lecz spuść rzeźwiącą krynicę
Na duszę biedną —
O! spuść rzeźwiącą krynicę
Coprędzój!

O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam, wiosenko
Gorąca,
I białą roztaczaj ręką
Kobierce z ziela,
I białą zapalaj ręką
Blask słońca!



III.

I OTO ZNOWU WRÓCIŁAŚ.

I.

I oto znowu wróciłaś, rumiana,
Wesoła siostró pobladłej jesieni,
Co memu sercu wczorajszego rana
Kazała tonąć pośród mgieł i cieni,
A jednak wierzyć, że siła promieni,
Ukryta w zmroku głębinach, jest bytem
Wiecznie trwającym... Wróciłaś, w zieleni
Liść przystrojona, co wczoraj był mytem,
A dziś prawdą, żywota świadectwem niezbitem.

II.

Wróciłaś znowu i znów się błękitem
Pogodnych niebios uśmiechasz. Śród fali
Oswobodzonej i w ziele rozwitem
Znowu się w szczęście twój obraz krysztali.
I znów śród świata niezmierzonej dali
Rozrucasz blaski i rozwiewasz wonie
W takiej ilości, że świat snąć się pali
Żarem niezgasłych zachwyków i tonie
Bezdennej snąć rozkoszy znajduje w swem łonie.

III.

Patrz, jak ku słońcu twojemu swe skronie
Zwraca ten żółty kwiat mleczu, wzgardzony

Gość naszych ścieżyn! Jak słonecznej płonie
Dumy odbiciem, jak gdyby w złocony
Przybrał się klejnot królewskiej korony,
A przecież, wiosno! pośród twoich dzieci
Jest jako żebrak... Patrzaj, te zagony —
Wczoraj pod śnieżnej ciężarem zamieci,
Dziś tam falą smaragdów ozimina świeci.

IV.

Na cmentarzyskach, na grobach stuleci,
Gdzie myśli ludzkiej koniec i początek,
Widzę, jak dech twój nowy żywot nieci
Śród traw, tych zwiędłych przeszłych dni pamiątek...
I zdaje mi się, że smutny zakątek
Żalu i skargi w liściu srebrnej brzozy
Nie jęk rozpaczy, lecz nadziei wątek
Pomieścił dzisiaj, że nie znakiem grozy
Lecz szczęściem jest, którego nie zwarzą już mrozy...

V.

I cały byt ten jest jak kwiat mimozy —
Odczuwa każdy dotyk matki młodej:
Wiatr, gdy szeleści wśród nadbrzeżnej łozy,
Błyszczące krople rozpiętej wody,
Olbrzymich dębów niewzruszone kłody,
Owite wieńcem zielonym; na szczycie
Gór niebotycznych te orły i płody,
Co w grudce ziemi zwalczają się skrycie,
To twoja pieśń, twe światło, twe barwy, twe życie...

VI.

O, widzę ciebie w tym srebrzystym świetle,
W jutrzence, w zorzy rozlanej purpurze,
W słońcu, co zwolna pnie się po błękiecie
Spokojnych niebios ku południa górze
I w każdej plamce, w każdej drobnej chmurze,
Która mu drogę zachodzi, istoty

Swej część zostawia, swych promyków róże,
I znowu schodzi powoli, tęsknoty
Wiedzione lekką dłonią, w ten grób morza złoty.

VII.

Widzę cię w zmroku wieczornym, gdy sploty
Niebieskawymi ogarniasz kształt ziemi,
Co lgnie w pół do snu, a nawpół ochoty
Życia się czepia, piersi stłumionemi
Wolno oddycha i nad dziećmi swemi,
Trawą i kwiatem, rosę łez swych leje —
W jasnej cię widzę nocy, co srebrnemi
Patrzy gwiazdami, miesiącem się śmieje
I z ludzkich marzeń snuje nowe jutra dzieje.

VIII.

Słyszę cię w wietrze, który z lekka wieje
Od stron nadmorskich i z lekka kołysze
Łany ozimin. Słyszę cię, gdy dnieje,
W pieśni skowronka, co tę świtań ciszę
Pierwszy przerywa; słyszę cię, ach! słyszę
W dziwnym poszepcie wierzbin, w oraczy
Rannej modlitwie i w rozgranej pysze
Jezior, budzących w mej duszy prostaczéj
Pragnienie dnia, co świt swój swobodą zaznaczy...

IX.

W gęganiu gęsi, w derkaniu derkaczy
I w ryku bydła i w skrzypie żurawi
I w rzeniu konia, ku chłopców rozpaczy
Mknącego w pole, i w starcu, co prawi
Półnagim wnukom — a tak są ciekawi
Dawnej powieści, że stanęli kołem,
Rzuciwszy krągi: baśń ich więcej bawi —
W nawoływaniu słyszę cię wesołem,
Co ginie za porośłym bylicą rozdołem.

X.

I słyszę ciebie, jak, w wieczór, nad siółem
Trzepoczesz skrzydłem gołębi, gdy, senne,
Do gniazd już swoich powracają społem...
Ach! i te zwrotki pastuchów, codzienne,
Powszednie zwrotki, a jednak brzemiennie
W takie rozkosze i w takie tęsknice,
Twoim są głosem, o wiosno, bezdenne
Pieśni źródlisko!... Słyszę cię w muzyce
Sferycznej, co nam zdradza niebios tajemnice.

XI.

Czuję cię wszędzie: gdy znikną śnieżyce,
W łąki wilgotnym wyziewie i w roli,
Gdy ją pług kraje, spulchniają bronice,
Świeżym oddechu, co parą powoli
Ponad bruzdami się wznosi i doli
Chłopskiej łąką spada... Czuję cię wśród woni
Żółtych róż wodnych, w zapachu kākoli
Ledwie rozwitych, w kwieciu grusz, jabłoni,
W powietrza każdej bryłce, żar czy chłód nam roni.

XII.

Czuję cię, matko, której dech mnie broni
Od lodowatej rozpaczy, od chorąg
Ducha bladeści, w niezgłębionej toni
Życia, co w nowe wciąż się łamie wzory.
Czuję cię w bytu popędzie, co twory
Najmniejsze łączy miłością i kłosa,
Wyczekujące dojrzewania pory,
Każe zapładniać bliźnim pyłkom: losy
Człowieka z nimi razem zważyły niebiosy.

XIII.

Czuję cię w sobie, jak kwiat kroplę rosy
W swoich komórkach odczuwa, i jestem
Jako ta pszczoła, co spieszny na wrzosa,

Zanim okwitną, miód zbierać. Twym chrzestem
Uświęcon, zmieniam się cały; za gestem
Twej miękkiej ręki idę, gdzie mnie wzywa
Prawda i piękno dźwięcznych słów szelestem,
A na ich imię krew mi się rozgrywa:
Z każdego jej atomu płynie pieśń twa żywa.

XIV.

Ach! ja cię czuję, choć cię dziś zakrywa
Fałsz przenikczemny, choć dziś hasła twoje
W parodyę gawieźdź zmieniła krzykliwa —
Czuję cię w głębiach ludzkości, ostoję
Mając w tej myśli, że jutro na boje
Przeciwko zimie z jej wnętrza wyrosną
Wielcy duchowie, przyodziani w zbroję
Czystych poświęceń, że zwycięstw radosną
Zadzwoni ludzkość pieśnią: wiosno! wiosno! wiosno!...



IV.

O ZŁOTE SŁOŃCE.

O złote słońce, ty dziś na błękitnem
Przyświecasz niebie ognistymi blaski,
A przecież w sercu, cierpieniami szczytnem,
Nie chcesz promiennej zapalić nam łaski,
Nie chcesz spleśniałej tkaniny żywota
Zmienić w przejasną, nieskałaną przędzę,
Lecz, zdała szczęścia rozjaśniając wrota,
Jeszcze nas w większą, ach! w większą pchasz nędzę.

Zrodzeni w chatach dymiących i brudnych,
Zaledwie w piersi dosłyszysz oddechu:
Cóż więc dziwnego, że myślím o złudnych
Krajach rozkoszy bez bólu i śmiechu?
Cóż więc dziwnego, że, prawie szkielety,
Żebzemy siły i krasę młodzieńczej,
Że pragniemy męskiej do czynów podniety,
Co blade czoła wawrzynem uwieńczy?

Ty znów świeżemi okrywasz makaty
Ziemi powiędłe, zmrożone manowce,
I znowu wlewasz dziewiczość w te kwiaty,
Co oplatają wieńcami grobowce.
Oto, poprzednio lodowe, źródliśka
Dziś się tak jasno, tak czysto kryształą,
Taki z nich napój dla błoni wytryska,
Taka swoboda gna falę za falą.

A nasze duchy odświeżasz nadzieją?
One sennemi trapione widziadły,
Czy się, ach! dzisiaj w tej walce nie chwieją,
Czy nie drżą dzisiaj, jak listek opadły?
O złote słońce! Czy ciebie nam winić,
Że osiadł smętek wśród naszych obliczy,
Gdy ciśnieniem węża, co jadłem chcąc ślinić
Te usta spiekłe, spragnione słodyczy?

Nieszczęsna dola! Złe losów zabawy!
Tutaj odżyły ziół martwe kobierce,
A ludziom braknie ożywczej potrawy
Ach! i grobowo wciąż bije im serce!
Wszyscy zbierają się wokół mogiły
I brzask wiosenny witają zwątpieniem,
Jakby na wieki zamarli w nich siły,
Jakby na wieki złamani cierpieniem.

A przecież jeszcze w popiele rozpaczy —
W sinym popiele nie zgasła na zawsze
Iskra młodości, ukryła się raczej,
Aż ją rozdmucha znów słońce łaskawsze.
O złote słońce! Z tej wiosny przybyciem,
Chciej ją rozetleć w płomień jasny, żywy,
Chciej nią powiązać rozkosze ze życiem,
Chciej nią zgotować dla nas czas szczęśliwy...



V.

NAD ŚWIATEM, NAD SENNYM,
ZABŁYSŁA.

Nad światem, nad sennym, zabłysła
Uroczą poranku dziewica,
Z jej oczu skier fala wytrysła,
Na ziemi wybladłe lica.
O świecie! o jutrznio! o zorzo!
Dolejcie wy żaru w mą duszę,
Nim bracia skroń ciężką położą,
Ja ogniem sen wygnąć z nich muszę.

Natura senliwie nie wzdycha
W objęciach zimowej zagłady,
Po łąkach z wonnego kielicha
Miód chłoną nadobne owady.
Naturo! niech dla mnie choć chwilka
Przemieni się w łąki barwione,
Daj lekkie mi skrzydła motylka,
By unieść w zachwyty się stronę.

Po wodzie w ostatnim odbłyску
Wieczorne słoneczko się wije,
W topielców lubieżnym uścisku
Spoczęły bielutkie lilie.
O wiosno! o słońce! o kwiaty!
Na skrzydłach cudownej tej tkanki,
Unieście w nadziemskie mnie światy,
Na łono anielskiej kochanki.

Gaj szumi i słowik śpiewa
I tańczy obłocznych chór dziewic,
W srebrzystym namiocie spoczywa
Srebrzysty nocy królewic.
O gaje! o pieśni słowicze!
O tęskna zadumo miesiąca!
Rozbudźcie fantazyi oblicze,
Gdy blada, bezśpiewna, gdy śpiąca!



VI.

WIECZOREM.

Słońce się chyli ku ziemi,
Ostatnie blaski
Wiążąc w cudowne przepaski,
By niemi
Umierające niebiosa
Owinać.
Już nad brzegami jeziora,
Zdała od ludzi,
Słowików piosnka się budzi,
Tak skora,
By tam, gdzie mieni się rosa,
Popłynąć.

By tam, gdzie rosna w ustroni
Niewinne kwiaty,
Miłosnej szukać zapłaty
I woni —
Przelać się w serce róż czystych
Na wieki.
Wtórzy jej duma pastusza
I łąn zielony,
I bór, który powiew stęskniony
Porusza,

I odbłysek gwiazd płomienistych
Daleki.

Patrzcie! z sennego łożyska
Miesiąc już wschodzi,
Płynie po niebios powodzi
I błyska,
Albowiem wszędzie żar czuje —
Szczęśliwy!
Gwiazdy, splatając mu wieńce,
W srebrny ślad biegną,
Zanim porannej ulegną
Jutrzence,
Nim zorza blask swój rozsnuje,
Blask żywy!

Tu piękność pełna spokoju,
Jak twarz młodzieńca,
Który nie stracił rumieńca
W przeboju,
Ni struł się zwątpień kielichem
Przedwcześnie:
Harmonia złotym łańcuchem
Wszystko spoiła;
Czuję, jak wielką jej siłą
Nad duchem,
Tonąc w zachwycie przecichym,
Jak we śnie.

Żywot poczynam wieść nowy
I szczęście tuszę;
Tracąc wiążące mi duszę
Okowy,
Gonię za pieśnią słowiczą
Z krzewiny,
Różę przyciskam do serca,
Słodycz jej chylę,

Wielbię te barwy motyle
Kobierca
O i tę zieleń dziewiczą
Brzeziny.

Uczucia płyną mi z łona,
Jak ros kaskada,
Co z tych wierzchołków opada
Srebrzona;
Myśli me błyszczą w miesięcznej
Pogodzie.
Nie byłem nigdy tak może
Spokojem wielki,
Jak dziś, gdy z uczuć kropelki
Tworzę
Ołtarz wspaniały i wdzięczny
Przyrodzie.



VII.

NA ŁĄCE.

Nad tymi kwiaty, co rosna na łace
I nad zdrojami, co u stóp ich płyną,
Świeci wiosennych rozradowań słońce
Ranną godziną.

Z niebieskich wyżyn, z okręgu pokuszeń,
Schodzą postacie, przyodziane w zieleń,
I stroją serca do miłosnych wzruszeń
I rozanieleń.

I znowu biją czystymi kryształy
Pieśni młodzieńcze z potrzaskanej harfy
I znów się stroją wdzięczne ideały
W różane szarfy.

O, jaka rozkosz! jakie upojenie!
Rzucam te wszystkie, którem wyśnił, gody,
Stokroć bogatsze znalazłszy dziś mienie
W łonie Przyrody.



VIII.

ŻYCIE O! ŻYCIE.

Życie o! życie
To droga nić,
Do której mistrza potrzeba,
Aby z niej prządkę
Złocistą wic
I na niej wznieść się do nieba!

Niebo o! niebo
To jasny dzień,
Gdzie słońce w wianku zórz gości;
To zbiorowisko
Wiosennych tchnień,
Związanych węzłem miłości.

Miłość o! miłość —
To rajski kwiat,
Wyrosły w przeczystem sercu,
To złud anielskich
Uroczy świat,
To róża w świeżym kobiercu.

Niechaj-że wszyscy
W mistrzowską dłoń
Uchwycą złote przedziwo
I aniołami
Na niebios błoń
Wznoszą się żywo — a żywo!...



IX.

POWRÓCIŁY DO DOMU BOCIANY.

Powróciły do domu bociany,
Ze zamorskiej powróciły ziemi;
Słońko skrami grzeje promiennemi,
Kwiat po łąkach lśni się rozsypany,
Dźwięczą srebrne rzeki,
Szumi bór daleki,
Żywiczne śląc zapachy na rozległe łąny.

Po zapłociach, po chłopskich ogródkach
Tchną świeżością podstarzałe grusze,
Że goryczą napojone dusze
Na ich widok niepomną o smutkach;
Pieśń skowronków szczerą
Brzmi, że atmosfera,
Jak w morzu, tak się kąpie w wiosennych pobudkach.

Przyjdzie rano z uśmiechem na twarzy,
Wnet na ziołach lśnią się dyamenty;
Promień, z bożej rozkoszy poczęty,
W tysiąc światła łamie się i jarzy
W tej błękitnej wodzie,
Co ma żwir na spodzie,
A górą oko złotem nenufarów darzy.

Wyruszyli oracze na pole,
Ostry lemiesz czarną ziemię kraje;
Przeorali jedno, drugie staje,
Rosą potu spływa trud po czole,
Przecież radość bierze
Na te skiby świeże,
Na zapach, co ogarnia chlebobajną rolę.

I z tej piersi, sukmaną okrytej,
Od bławatów promienniejsze zwrotki,
A tak wonne, jako miód ten słodki,
Co z bzów sączy, wznoszą się w błękity —
Nad oraczów głowy,
Aby, w deszcz majowy
Skroplone, paść na trawę i na kwiat rozwity.



X.

PIERWSZA PIEŚŃ.

Wiosna swe kwietne rzuciła kobierce
I miękką zieleń na zbudzoną ziemię;
Rozradowało się wszelakie plemię,
Czując, jak w żar się, iskra po iskierce,
Zlewa pęd życia, który w wnętrzu drzemie:
Wesele wnet i moje przeniknęło serce.

I wśród burzanów, na wonnej murawie,
Przy wierzbzin szumie i krzewów szeleście,
Co mi szeptały tajemnicze wieście
O tej rozkoszy, drżącej w każdej trawie,
Topiłem duszę w artystycznej sieście,
Wieszając wzrok na wszelkim natury przejawie.

Więził me oczy ten szereg topoli,
Co na tle niebios ostro się odcina,
Stawu przejrzysta, jak lustro, głębina,
Żyto, smaragdem błyszczące na roli,
Powój, co smukłe łodygi opina —
We wszystkim tem źrenicę kąpałem dowoli.

I zapach płynął z tych dolin kwiecistych,
Do mego wnętrza słodką płynął rzeką,
Gdym był zapatrzon w tę przestrzeń daleką,
Pełną zieleni i kolorów lśnistych —

Zapach ziół, wzrosłych pod słońca opieka,
Co chowa barw zarody w swych blaskach rzęsistych.

I w tej przestrzeni, w tem błękitów morzu,
Me serce młode czarowały pieśni,
Które zawodzą ci mieszkańcy leśni,
W bukowych liści wychowani łożu,
Albo skowronki, gdy od słońca wcześniej
Trzepocą nad gniazdami, ukrytymi w zbożu.

I zażywałem tych uroczych wczasów
Każdą niemal porą dnia: nad ranem,
Gdy świt wskazywał światłem posrebrzanem,
Że z nocnych wyszedł zwycięsko zapasów,
I kiedy słońce promiennym peanem
Do wtóru rozbudzało serca ciemnych lasów.

Kiedy za tchnieniem pierwszego wietrzyka
Poczęły lekko drgać lilie wodne,
Mające niebo nad sobą, pogodne,
Jak ta pod niemi jasna toń strumyka;
Kiedy swe pączki, w woń i krasę płodne,
Otrząsać z ros kroplistych jęła róża dzika —

Kiedy ku niebu, przed oblicze Boga,
Zaczyna piąć się tęskna pieśń oracza —
Pieśń, co trud krwawy i co jęk oznacza
Niewysłuchany; pieśń, co tak jest droga
Ludzkiemu sercu, choć je w rozpacz stacza:
Drżą w smutnych jej akordach głód, mór i pożoga...

W chwilę południa, w tajemniczą ciszę,
Co ma dziwniejszą władzę ponad duchem,
Niżeli północ, zatopiony w głuchem
Milczeniu świata, słuchałem, jak dysze
Ziemia, pod żaru płomiennym obuchem,
Żaru, co się, jak fala, w powietrzu kołysze.

A gdy się niebo w godzinie wieczoru
Jęło ubierać powoli, ukradkiem
We fiolety, gdy na jego gładkiem,
Ciemnem sklepisku, ponad grzbietem boru,
Zapłonął księżyc, bywałem-ci świadkiem
Tych przemian, wśród wonnego, jak balsam, przestworu.

I dzwonki była, gdy do obór spieszy,
Głosy derkaczy i pastuszków trele
Niezwyczajne we mnie budziły wesele:
Czułem, że we mnie każdy nerw się cieszy,
Że w tej szczęśliwej Przyrody kościele
Należę do najczystszej, najszczęśliwszej rzeszy.

I kielich duszy, co umiała wonić
Zapachem wrzosów, powojem i ślazem,
Bzem i czeremchą, a błyszczeć obrazem
Fal, którym słońce wypadło osłonić,
Z kwiatem firletki zamykałem razem,
By z wrażeń tych żadnego pyłku nie uronić.

I żywiłowa czarów tych potęga,
Co z ludzi zwykłych geniusze stwarza,
Tak mnie od razu przemienia w pieśniarza,
Tak mi do wnętrza swoją ręką sięga
I u Natury wielkiego ołtarza
Atomy luźnych dźwięków w całość hymnu sprzęga.

I nim się spostrzegł duch mój, rozśpiewany
W hejnał młodzieńczy, zniecka, po cichu
Pieśń ma, w wiosennym zrodzona przepychu,
Błyszcząca kwieciami, które zdobi łany,
Stała się rychło na kształt akrostychu:
Wciąż drżało w niej i wszędzie imię — mej wybranėj...



XI.

SZUM DRZEW.

Przypłynął ku mnie cichy, przytłumiony
Jęk, wszczęty w sosnach, na krawędzi boru,
I wnet ogarnął wszystkie drzew korony,
Spowite w ciszy letniego wieczoru.

I las tajemnych dźwięków miliony,
Rozpełzających się w głębie przestworu,
Jął wydobywać z swej piersi zielonej —
Zbyt późne echa przedwiecznego wzoru.

I moją duszę, jakby była drzewem,
Pełnem konarów, liściastych gałęzi,
Szum ten głęboki w dziwne wprawił drzenie:

Nim się spostrzegłem, z cielesnej uwięzi
Rwie się i płynie, w ślad za sosen śpiewem
Gdzieś w bezgraniczne, nieznanne przestrzenie.



XII.

ŚWIT WIOSNY.

Drzew pękających i drobniutkiej trawy,
Co łąn zaściela miękkim aksamitem,
Woń zalatuje. U góry sinawy
Szereg obłoków spiera się z błękitem

O panowanie w przestworzu — śród wrzawy
Dzikiego ptactwa, co, jak łańcuch, zbitem
Powraca stadem z zamorskiej wyprawy...
Las szumi cicho, nad nim z blasków sitem

Słońce wyrzawszy z poza chmur, miliony
Brylantów sieje na deszczem zroszony
Milion wierzchołków, na mchy, na radosny

Tłum jasnych śnieżek, na białe stokrotki,
Żółte pierwiosnki, na fiołek słodki
I na sasanki, pierwsze dzieci wiosny...



II

MELODYE JESIENNE.

1.

CICHE BOJE.

Szumią drzewa, szumią,
Szumią w czarnym lesie,
A wiatr ich listeczki
Gdzieś na pole niesie.

Niesie gdzieś na pole
I jęczy żałośnie
Po minionem ciepłe,
Po minionej wiośnie.

Po minionej wiośnie
I ja łzę uronię,
Choć jej ogień jeszcze
W mojem sercu płonie.

Płonie jeszcze ogień
Oj! ten ogień święty,
Ale czyjąś ręką
We wnętrzu zakłęty.

Zakłęty we wnętrzu
Jak te skryte zdroje,
Co to ze skałami
Ciche toczą boje.

Ciche boje toczą
Bo braknie im nieba,
A im tak błękitów
Złocistych potrzeba.

Ciche boje toczą,
A nikt ich nie słyszy,
Aż ulegną skałom
W tej ponurej ciszy...



II.

**TYLE KWIATÓW OPADA
ZAWCZEŚNIE.**

Tyle kwiatów opada zawcześnie —
Tyle kwiatów ach!
Tyle ludzi wciąż jęczy boleśnie,
Tonie w gorzkich łzach.

Dłoń jesieni zgrzybiała, ściągnięta
Mrozi ciepły dech,
I człek z kwiatem nie wie, nie pamięta,
Że znał słodki śmiech.

Dziś i ciebie chce złamać cierpienie,
Lecz się w marmur zmień,
A niemęskie łez gorzkich strumienie
Nie popłyną zeń!



III.

ŁABĘDŹ.

Bieluteńki, gdyby mleko,
Rozwiął na wiatr żagle dwoje
I płynie,
A tu krople z drzew nań cieką,
Z drzew, co lica myją swoje
W głębinie —
Bieluteńki, gdyby mleko.

Przodem, srebrną piersią kraje
Oplecioną wieńcem trawy
Toń jasną,
Dziś mu więdną świeże maje,
Lecz złociste zórz oprawy
Nie gasną,
Gdy toń srebrną piersią kraje.

Ja swą żalność w sercu tłumię,
O tę siną wsparty korę
Topoli,
Liść mi szumi, a w tym szumie
Ukołyszę-ż czarną zmorę
Mej doli,
Choć swą żalność w sercu tłumię?

Wicher coś mi jęczy, głuchy -
Gdybyć słodziej i weselój! —
Coś szepce:
O, łabędzie, srebrne puchy
Nie usłały ci pościeli
W kolebce!
Tak mi jęczy wicher głuchy...

Oto biały ptak przedemną,
Pośród wody swemi pióry
Trzepoce:
Spadły krople w toń już ciemną
Z blaskiem tęczy, co śród chmury
Migoce,
Gdy trzepotał ptak przedemną.

Hej! ta rosa, ta perłowa,
Nie przystroi chmurnej wody
W błękity
I mnie śnieżność łabędziowa
Nie rozerwie, gdym ja młody,
A żyty,
Hej! ta rosa, ta perłowa!

Ptak odpłynął, a mnie głuchy
Wiatr ni słodziej ni weselój
Wciąż szepce:
O, łabędzie, srebrne puchy
Nie usłały ci pościeli
W kolebce —
Tak mi jęczy wicher głuchy...



IV.

Z PRZYJŚCIEM JESIENI.

I.

Zbliża się jesień. Ten duch, co nad bytem
Nikłych wszechstworzeń niezłomnemi prawy
Od samych włada początków, błękitem
Budząc w nich życie słonecznym, wśród wrzawy
Wichrów szumiących i wśród deszczów łzawej
Wysłał ją pieśni: niech na lice świata,
Choć jeszcze ogniem się pali, swój mgławcy
Zarzuci welon i potem niech splata
W śmiertelny uścisk rękę — twardą rękę kata...

II.

Zbliża się jesień i na pustej roli —
Bez fal pszenicznych, które wiatr wiosenny
Z taką kołysał pieszczotą, powoli
Ślad swoich kroków wyciska brzemienny:
I oto gaśnie ostatni, promienny
Jaskier, co farb swych pożyczył od słońca:
Ostatnia róża w pochmurny, strumienny
Wpatrzona kryształ roni łzę i, drżąca
Na widok własnych kształtów, oczekuje końca.

III.

O prędzej, prędzej, ty zniszczeń aniele!
Niechaj od razu te kwiaty w boleści

Zimnej zastygną! Na ich wątlęm ciele,
Które wiatr jutro rozproszy bez wieści,
Niech się ironią pierś twoja nie pieści!
Nie pragnij konań powolnych widokiem,
Gdy w każdym tchnieniu tysiąc skarg się mieści,
Zamrażać w sercu człowieka głębokiem
Zdrój życia, który różnym płynąć ma potokiem.

IV.

O prędzaj! prędzaj! Przyspiesz takt symfonii
Posępnych skonów: niech głuche rozjęki
Wierzby bez liści i trawy bez woni,
Jezior bez blasków i róży bez miękkięj
Sukni czerwonej, nie hamują ręki
Młodej zbyt wczesnie — o niechaj nie kłóćą
Swymi akordy wesołej piosenki,
Którą wybrańcy dni wiosennych nućą,
Nim dłonie twe swym chłodem w zwątpienie ich rzućą

V.

Zbliża się jesień... Ach! nie znam przyczyny,
Dlaczego wówczas dopiero w swą własną
Zaglądam duszę, gdy horyzont siny
I gdy się chmury zwieszają nad jasną
Powierzchnią wody, kiedy gwiazdy gasną
Z okiem przymglonem i gdy liść opada;
Dlaczego witam tę chwilę, jak przasną
Uciech godzinę? Czemu na to »biada«,
Brzmiące dokoła, pierś ma hymem odpowiada?

VI.

Czyż obraz śmierci, co dzisiaj zawisnął
Zblakłemi usty na sennej postaci
Tej smutnej ziemi i tak ją przycisnął
Kościstą dłonią, że aż oddech traci,
We mnie się jeszcze w swą grozę bogaci
I tak, jak siebie, obojętnym czyni

Na koniec istnień mej rodzonej braci?
Czyż moje serce w swej ciemnej świątyni
Ofiarą tylko składa cześć zniszczeń bogini?

VII.

Czyż miliony tych powiędłych liści,
Którymi dzisiaj wśród piaszczystej drogi
Wiatr w rozpasanej pomiana zawisł —
Czyliż te czarne, bezkłose rozłogi
I strop ten, w blaski złożone ubogi,
Nie wyrwą z duszy przeciwko naturze,
Ostre dziś raniącej nas głogi,
Posępnych przekleństw, podobnych tej chmurze,
Co skrą błyskawic gromy zwiastuje i burze?

VIII.

Nie!... ja w rokoshu dziecinnym nie stanę
Przeciwko tobie, o matko, promieniem
Susząca ciepłym oczy, w łzach skąpane —
Wielka porodem i wielka zniszczeniem!
Nie! choć mnie dzisiaj razem z wszechstworzeniem,
Którego częścią jestem i atomem,
Napełniasz smutkiem i otaczasz cieniem —
Nawet nad własnych, drogich kolumn złomem,
Nie rzucę w pierś ci płonny złorzeczenia gromem.

IX.

Ale się zawsze ukorzę przed tobą,
O słońce, życia początku wspaniały!
Wszak ty rozgrzewasz serce martwym globom
I tych przystrajasz w płaszcz niezmarłej chwały,
Co, wiosennymi porwani zapały,
W twe walczą imię, ty zbawienia gońcu!
Przed tobą, nocy, ukorzę się cały,
Życia spoczynku i wrzekomy końcu,
Co świeży tor gotujesz jutrzejszemu słońcu.

X.

Przed tobą, wiosno, gdy, nad srebrnym źródłem
Schylona, patrzysz błękitnymi oczu
I nad swych dzieci kwiecistym rozwojem
Płaczesz z radości — tą łzą, co się toczy
Po drzew listeczkach i w jezior przezroczy
Zlewa się z resztą swych siostrzyc, z jasnymi
Fali perłami. Przed tobą, ochoczy,
Klęknię, o zimo, ramiony śnieżnymi
Strzegąca pól, gdzie spoczął przyszły owoc ziemi.

XI.

Przed tobą, życie, i przed tobą schyłę
Skróż swą, o śmierci, przed słabych tęsknicą,
Błogosławiących z rozkoszą tę chwilę,
Gdy ty, stalową okryta zbroicą,
Stajesz przed zblakłą i błędną żrenicą
I z tych rumieńców, co nikną im z twarzy,
I z tych blasków, co już martwo świecą,
Tworzysz zawiązki serc nowych, ołtarzy,
Gdzie skra, składana życiu, płomienniejszą się jarzy.

XII.

Przed tobą, walko! Przed tobą, pokoju!
Zwycięstwo! klęsko! zwątpienie i wiaro!
Radości! smutku! nagrodo i znoju!
Błogosławieństwo! straszna przekleństwo karo!
Rzeczywistości i ty, złudna maro!
Harmonio dźwięków! dysonansów zgrzycie!
Bezdenna próżni! przepełniona czaro!
Przed tobą w niemym upadnę zachwycie,
Bo wiem, że ty się składasz w wieczne Jedno — w Życie!..

XIII.

Wiem, że za mglistą pozorów zasłoną
Kryje się wielki posąg granitowy
Z okiem błękitnym, z złocistą koroną

Owijającą się naokół głowy,
 Jak zórz porannych wieniec purpurowy
 Wokoło słońca, kiedy światów senność
 Idzie rozpraszać i spokój grobowy;
 Wiem, że tam władnie ta życia płomiennosc
 Swem hasłem: wieczność treści, chociaż form odmienność.

XIV.

Wiem, że, co ginie, nie ginie daremnie;
 Że te promyki, co się dzisiaj stliły,
 Jutro rozjaśnią i rozgrzeją ciemnie
 Światłem i ciepłem młodocianej siły —
 Że te odarte dziś z kwiatów mogiły
 Jutro przybytkiem będą zmartwychwstania
 I będą szatą weselną świeciły,
 Wiem, i od zwątpień ta myśl mnie ochrania,
 Że z ziarn, co dzisiaj padły, znów się źdźbło wyłania.

XV.

Więc obojętność swojej ręki chłodnej
 Na mojem sercu bijącym nie złoży,
 Ażebym dzisiaj, nowych blasków głodny,
 Spragniony wielkiej, czystej myśli bożej,
 Która nam złoty, wiosenny raj stworzy,
 Popadł w grób smutnych przeświadczeń, złamany!
 W imię nicości, którą świat się trwoży,
 W zmroku i we mgle jesiennej chowany,
 Nie pragnę się zatopić w obłoku Nirwany.

XVI.

Nie stracę wiary w poranek odrodzeń,
 Choć mgieł się ciemnych tyle dziś pokładło
 Na senną ludzkość, że z jej skarg, zawodzeń,
 Krających w bruzdy tę jej skroń pobladła,
 Jużby noc wieczną mi wróżyć wypadło;
 Nie stracę wiary — o nigdy nie stracę,
 Choć nad zagadnień treścią nieodgadłą

Tyle dusz silnych marnuje swą pracę,
A żaden głos im nie brzmi: »wszak ja wam zapłacę!«

XVII.

Gdyby ta matka i ta siostra moja,
Której wraz jestem i synem i bratem —
Gdyby ta ludzkość napiła się z zrodja
Cudownych ocknień i, wielka rozbratem
Z nocą, podniosła pierś ponad swym katem
I rzekła: niebo! zwróć mi moje słońce!
A niebo znówby błyskawicznym batem
Pierś jej przecięło: tak, jabym gorące
Łzy ronił, lecz nie straci wiary serce wrzące.

XVIII.

A gdybym nawet — o przyszłości, blasków
Lecz i krwi pełna! — gdybym na głos dzwonów
I surm pogrzebných, wśród błysków i trzasków,
Śród klątw i jęków mrących milionów,
Sam pod zwalonych gruzem panteonów
Kończąc z pragnienia, nic więcej nie zoczył —
Nic, nic, prócz dymu, zgliszczy i prócz skonów,
W gróbbym bez bluźnierstw z tą wiarą się stoczył,
Że świat do życia zawsze przez śmierć będzie kroczył...



V.

JESIEŃ.

I.

Ostatnie snopy zamknięto w stodole...
Po żółtych rżyskach, przetykanych trawy
Zwiędłej resztkami, słońca blask złotawy,
Wijąc się, martwe chce ożywić pole.

Demon zniszczenia wzniósł się ponad światem,
Dziwnie łagodny, dziwnie uśmiechnięty,
Jak gdyby pragnął skon, przez siebie wszczęty,
W źródle poezji utopić bogatem.

A przecież siła w jego piersi drzemie
Straszna, jak pomór, co jednym podmuchem
Milion bytów bez litości truje.

Patrzcie, za chwilę upadnie na ziemię
Całem swem cielskiem i w milczeniu głuchem
Jej tchy serdeczne w szron i lód zakuje.

II.

Na stokach góry spoczął las brzozowy
I milczy... milczy... Widać mu nie dano,
Ażebym skargą jęknął rozplakaną
Nad wieńcem liści, wędnących u głowy.

Może się wsłuchał w cichy szept potoku,
Co blaski słońca wieczornego chłonie,
I tak zapomniał o grożącym skonie
I o tej burzy, co przyspiesza kroku.

Zerwał się wicher i z chmury niewielkiej
Spadł deszcz rześisty i las się z marzenia
Zbudzi i głośno nad sobą zabiada:

Na mchy i paproć płyną łez kropelki,
A z niemi razem liść po liściu spada
I — w tłum szkieletów cały las się zmienia.

III.

Powiał chłód nocny... Drzewa pieśń jesienną
Nucą po cichu — nad kolebką własną
Zagłady... Z chmurek wyjrzał miesiąc jasny,
Jak upiór, głębię rzuciwszy bezdenną.

Nędzną wioszczynę sen otulił w sploty
Wrześniowych zmroków... Z karczmy tylko bije
Dumka pijana, która tyle kryje
Dzikiego bólu i dzikiej tęsknoty.

I ona zmiłkła... Umilkł głos ochrypty...
Cyt!... To chróst trzeszczy, to wrota zaskrzypty;
Ostatni wieśniak spać do domu kroczy.

Jutro się zbudzi, znowu o pół doby
Bliższy tej śmierci, co tam gdzieś, w żałoby
Zielsko owita, wlepia weń swe oczy.



VI.

PORANEK.

Noc już kona, już zrywa gwiazdzisty się wianek:
Jak kwiecie ginie z wiatrem, nikną gwiazdy w górze...
Znikły... Jedna na niebios błękitnym lazurze
Rozłała blask jutrzienka — przeddniowy kaganek.

Patrząc w wodę, jak w lice kochanki kochanek —
Szczęśliwy!... przecież nie wie, że miłości róże
Wnet zerwią i rozwieją wietrzyska i burze... —
Ach! cudny, choć zimowy, zawitał poranek.

Zgasła jutrznia, a słońce pośród zórz koralu
Stroi nagie drzew szczyty w tęczowane suknie,
Lub łamie swe promienie o kryształu fali...

Cicho wszędzie... Ni piosnki usłyszeć śród siola,
Kra tylko, falą pchnięta o krę czasem huknie...
Smutno... smutno... a jednak — jak pięknie dokoła!



VII.

PIERWSZY ŚNIEG.

Na ziemię upadł pierwszy śnieg, bielutki,
Jak ruń jagnięca, pulchny i wilgotny,
Zostawiający ślad pod stopą błotny,
Siodła strzech w mleczone strojący obwódki.

Czas panowania jego nader krótki:
Zza mgły blask słońca strzelił tysiąckrotny
I spił i wchłonał ten puszek ulotny,
Jak nagła radość spija łyzy i smutki.

Jasność i ciepło zawładły w przestworze;
Zdawałoby się, że to dzień wiosenny
Myśli znów ziemi usłać kwietnie łoże.

Nie! To ostatni znak zwycięstwa słońca:
Porządkiem rzeczy, który jest niezmienny,
Śnieg jutro panem od końca do końca.



III
SNY I MARZENIA

I.

WIDZENIE.

W cieniu liści, splecionych w arkadę,
Nad jeziora mojego błękitem
Spoczywałem samotny.
Słońce krwawą rozlało kaskadę,
Umierając z młodzieńczym zachwytem,
A w odzieniu, z mgieł sinych uszytem,
Duchy zmierzchu, senliwe i blade,
Wszczęły taniec ochotny.

Nad brzegami kobierce kwieciste,
Z niezabudek i jaskrów dzierzgane,
Do snu wabią swym czarem;
Ros wieczornych kropelki srebrzyste,
Dłonią najad niewinnych zbierane,
Rzeźwią znowu bławatki zdeptane
Ach! i lilij kielichy przeczyste
Wypełniają nektarem.

Jak kochanka, gdy pierś jej okoli
Ramionami wybrany młodzieniec,
Tonie w słodkim marzeniu,
Usypiała natura powoli,
Przystrojona w rozkoszy rumieniec:

Miesiąc sennej jał srebrny pleść wieniec,
 A pieśń nuca jej kłosa na roli
 I słowiki w zacieniu.

Spoczywałem — z jasnego obłoku,
 Rozwianego nad głową miesięczną
 Niby namiot jedwabny,
 Jęły spływać kaskadą potoku,
 Niezmaconą, tęczową i wdzięczną
 Sylfy marzeń i pracą sturęczną
 Chyżo memu stworzyły gmach oku,
 Kryształowy, powabny.

Pełno kwiatów i dziewic w tym gmachu,
 Pełno woni, rozkoszy i wdzięku,
 Że nic więcej nie trzeba;
 Nikną widma boleści i strachu,
 Nie usłyszę rozpacz i jęku,
 Lecz z duchami na białym ich ręku,
 Odurzony potęgą zapachu,
 Lecę, wesół, do nieba.

Przekształciła mi ziemia się biedna:
 Pograżone w zapomnień głębinie
 Gady dawnej zawiści.
 Owa gnuśność i martwość bezwiedna,
 W której ziarno zbawienia wnet ginie,
 Leży w grobie przeszłości, a, w czynie
 Widząc cel swój, mej braci dłoń jedna,
 Już nadzieje nam iści.

Widzę ludzkość, walczącą pod znakiem
 Prawd najświętszych za wolność i spokój —
 Widzę siłę i męstwo.
 Za wielkiego szermierza orszakiem
 Płyną głosy: Na wieki dziś okuj
 Węża śmierci i nowe prorokuj

Życie ludom i sercem jednakiem
Dziękuj za swe zwycięstwo!

Już mnie budzą!... O! była mi błogą
Chwila rajskiej uciechy i złudy —
Chwila słodka, marząca;
Miesiąc jeszcze kwiecistym rozłogom
Tworzył z pereł ros świeże wciąż cudy,
Pieśń śpiewały słowiki jak wprzódy
I toń Gopła błyszczała swym bogom
Promieniami miesiąca.



II.

CHWILA ZADUMY.

I.

On mi dał życie, gdy z własnej istoty
Oddzielił cząstkę i w chaos ją rzucił,
Jaki panował w bezdennym przestworze.
Z nim byłem razem, przezczysty i złoty,
Nikt mi rozkoszy duchowej nie kłócił,
Bo nie cisnęły mnie ciała obroże,
A jeno dziwna, anielska powiewność
Rajskiej słodyczy dawała mi pewność.

II.

Z nim byłem razem; patrzałem, jak dłonią,
Strojną w znamiona wszechmocnej potęgi,
Oddzielał światy i wlewał im życie:
Już ziemia poi wiosenną się wonią,
Nad nią rozpięty łuk tęczowej wstęgi
I w lazurowym lśnieniu gwiazdy błękicie —
Już wszystko, w świętym złączone porządku,
Hymn dziękczynnego zanosi mu wążku.

III.

Jeszcze się ludy kołyszą w uścisku
Bładego zmroku — bez rannych upojeń,

I bez namiętych do czynów poruszeń;
Jeszcze w gorącym, słonecznym odbłyску
Nie potwardniały dziecięcych urojeń
Nikłe postacie i siłą swych kuszeń
Nie przywabiły ich w sławy ramiona,
Co również jeszcze, jak oni, uśpiona.

IV.

W cieniu zielonych, wysmukłych kokosów
Znużony wielbłąd swój obrok zajada,
A przy nim syny Nilowej ziemicy:
Na ich to piersi z przejasnych niebiosów
Pierwszy raz spływa promienna kaskada,
Wyrywa z objęć bezdusznej martwicy,
Wlewa im ogień, przystraja ich świetnie
I każe dźwżyć berło tysiącletnie.

V.

Skarłowacieli zdrętwieją w podziwie,
Ujrzawszy szereg olbrzymich grobowców —
Smutną siedzibę faraonских mumij!...
Ja niech w tem mojem zadumań przedziwie
Jeszcze raz wrócę do owych manowców,
Gdzie wśród piramid palmowy liść szumi,
Gdzie hieroglifów niezatarta czarność
Opiewa z grozą rzeczy ziemskich marność.

VI.

Może raz jeszcze z swych ciemnic powstanie
Boski Ozyris i w żądzy miłosnej
Dziewiczą Izys na wieki przykuje:
I Horus strąci Tyfona w otchłanie,
Przywróci chwile urodzajnej wiosny,
Dzieciom swym nowe rozkosze zgotuje,
Zapiekłą rolę swą stopą rozgrudzi
I »Miasto zmarłych« do życia przebudzi.

VII.

Darmo z Amentu przywoływać cienie:
Dusze, skazane na ogniste próby,
Ramzesowego nie ożywią grodu;
Ale ich wielkie, chociaż szorstkie, mienie
Przejmą wnet inni i zawrą z niem śluby
I owe kształty cielesnego chłodu
Rozgrzeją ciepłem zamyślanej Psychy,
Wielce plastycznej, pogodnej i cichój.

VIII.

Witaj mi, ziemio precudownej krasy,
Duchowa matko rozlicznych pokoleń,
Z obliczem wiecznie rozkosznem i świeżem!
Z tobą szły długo narody w zapasy —
Bez dostatecznych dziś jeszcze wyzwoleń
Zdobią się twojej Ateny puklerzem;
Każdy z nich wdzięk twój podziwiał, dumny,
Wlewa go w pieśń swą i swoje kolumny.

IX.

Witaj mi, ziemio! Znów wspomnień potęga
Pcha mnie napowrót w tę przeszłość daleką
I odzwierciedla mi życie Hellady:
Gaje oliwne, jak oko zasięga,
Na ziemię rosy tęczowe z nich cieką,
Niby łez krople płaczącej dryady,
Słońce wśród liści zielonych migoce
I stroi w blaski olimpijskie proce.

X.

Śród walk i igrzysk posiwiali starce
Śpiewają pieśni ślepego Homera
I budzą w młodych zapały i męstwo:
Rozgrzani, z dumą urągając Parce,
Która im wrota Erebu otwiera,

Nad najezdzcami odnoszą zwycięstwo,
Albo, szlachetni, w rozpaczliwych chwilach
Z Leonidasem giną w Termopilach.

XI.

Czas schować miecze, na rylec przekutem
W zimne marmury wlać ogień żelazem,
By jeszcze późne zachwycać potomki:
I, Fidyasza wyrzeźbiony dłutem,
Wstał, z Homerowskim spokrewnion obrazem,
Władzca Olimpu, wspaniały a gromki,
I, choć miał dłonie kamienne i lice,
Zdawał się na świat rzucać błyskawice.

XII.

Ale znam mitu powiewniejszą tkankę,
Jaką lud grecki w duchowej pogodzie
Potrafił z kłębka swych marzeń wysnuwać;
Znam tę uroczą nadziejską kochankę,
Widzę, jak w wiecznej jaśnieje urodzie,
Jak ją chce Amor całunkiem przykuwać,
Widzę, jak senną z krainy wesela
Sprowadza na świat ręka Praksytela.

XIII.

I oto leży, wyrzeźbiona w głazie,
Nawpół odziana, nawpół odsłonięta,
Nęcająca wdziękiem dziewiczych obnażeń;
Jej twarz namiętnej nie podlega skazie
I pierś nadmiarem pragnienia nie wzdęta,
Więc, cała wolna od dzisiejszych wrażeń,
Tak uśmiechami bawi się własnymi,
Jakby widziała niebo na tej ziemi.

XIV.

I długo była ludzkości odbiciem
Wpółnaga Psyche, i szczęścia śmiertelnych

Nie zakłócały zaświatowe żądze.
 I była rozkosz, związana ze życiem —
 Słodkie zachwyty bez szarów weselnych,
 Jakie sprawiają niebieskie wrzeczadze,
 Które na szczycie Golgoty odmyka
 Konającego dłoń Nazarejczyka.

XV.

Tak więc spoczęła w wielkim popielniku
 Starego świata władczyni, a po nią
 Kaskada nowych promieni wytrysła;
 Pełno tęczyowych barw w każdym promyku,
 Bijącym jasno od wybladłej skroni,
 Którą cierniowa korona przycisła —
 Smutne świadectwo, że na poświęcenie
 Lud własny rzuca swych przekleństw kamienie.

XVI.

I w płaszcz królewski dla podłej igraszki
 Przyodzianemu, wśród twardych gościńców
 Spieszyć kazali i życie mu wzięli.
 Patrzajcie! między strupieszale czaszki
 Stawili pręgierz i w gronie złoczyńców
 Jako złoczyńcę i jego rozpięli,
 I, gdy źrenica blednieje już z bólu,
 Złorzeczą jeszcze: Bądź pozdrowion, królu!...

XVII.

A on przekleństwa kamieniem nie rzucił
 Na tę brać swoją, co śmiała mu chłodzić
 Puharem żółci jego spiekłą wargę,
 Jeno powiekę ku niebu odwrócił
 I jał w mgłę jego źrenicą swą brodzić
 I przede Stwórcą szeptać cichą skargę:
 Ojcze! dziś oni godziny me liczą,
 Lecz niech im będzie krew moja słodyczą!...

XVIII.

I wnet z krwi kropel zaczęły się tworzyć
Zdroje rubinów, błyszczących jak zorza,
Co się każdego poranku rozlewa;
Wnet miały z piaskiem zmieszane łyzy ożyć
Perłami, w które wiosenna dłoń hoża
Omdlałe kwiaty codziennie odziewa —
Wnet miały łyzy te i pereł rumieńce
Splatać się w drogie męczenników wieńce...

XIX.

Z krzyżem w swej dłoni i z krzyżem w swem sercu,
O przyrzeczonem myśląc wniebowzięciu,
Konały tłumne orszaki u tronów
Królów, co, leżąc na złotym kobiercu,
Tonęły w heter lubieżnym objęciu...
I długo jeszcze świeczniki Neronów,
Gwiazdami topiąc na nowem się niebie,
Gasyły z wykrzykiem: »Chrystusie! dla ciebie!«

XX.

Był to czas duchów, co, walcząc bez znużeń
Umiały wzlatać do krain słonecznych,
Pojąc z wspólnego miłości się źródła;
Dalekie były im chwile zachmurzeń,
W tęczowych szatach, w pośrodku dróg mlecznych,
Miłość do nowych wciąż rajów ich wiodła,
W laur nowej siły zdobiła im czoło,
Że choć konali, konali wesoło.

XXI.

Lecz później zwiśły białe natchnień skrzydła,
Postacie, strojne w czar anielskiej sławy,
Nie kołysały pograżonych we śnie.
Czasami tylko niewolnicze sidła
I ten lód zimny i ten obłok mgławicy

Roztopią ciepłe trubadurów pieśnie,
 Lub w grubej nocy trwających zaciekle
 Wstrząśnie Danteski poemat o piekle.

XXII.

W zimnej mogile legł smutny wygnaniec,
 Od ojczywego odsądzon dziedzictwa,
 Gdy chciał rozsadzać ideałów kwiaty;
 Ale z nim razem nie zagaś kaganiec
 Boskiego światła, lecz skrami umnictwa
 Ozłocił Włochy i strumień, bogaty
 W zórz porankowych błyszczące korale,
 Rozlał na światła zachmurzone fale.

XXIII.

I znów się zaczął wiek młodości święcić:
 Ludzkość, co zgniłe zmieniła całuny
 Na barwną szatę wiosennych odrodzeń,
 Poczęły dźwięki sfer zaziemskich nęcić;
 Brzmieniem miłosnej kołysana struny,
 Tonie w potoku rozkosznych zawodzeń,
 Wielbi »Mojżesza« marmurowe skronie,
 Albo się kłania Sykstyńskiej Madonie.

XXIV.

Dziś te pomniki i pieśni odgłosy
 Nie utraciły słonecznych kolorów,
 A przecież ranek zaziemskich ułudzeń
 Nie wabi tłumów brylantem swej rosy.
 W niemym-li tylko podziwie tych wzorów,
 Muszą pamiętać na zielsko utrudzeń,
 Które kolcami zakrwawia im stopy,
 Gdy idą zebrać na chleb żytnie snopy.

XXV.

Dzisiaj-to boleść i rozpacz ich ciska,
 A jutro sobie tór mieczem nakręślą

I pójdą z ręką już zeszlą i trupią
Walczyć za rozkwit ziemskiego ogniska.
Lecz czyż im nieba zwycięstwa kwiat przyślą?
Czyż oni szczęście krwią własną okupią?
Czyliż to krwawych łez bezdenne morze
Wysuszą kiedy jasne szczęścia zorze?...



III.

U PIRAMIDY CESTYUSZA. CIENIOM SHELLEYA.

I.

Z kraju, gdzie drzewa jęczą na mogile
Pieśń, co rozdziera pogrobowców serce;
Z kraju, gdzie kwiaty tarzają się w pyle,
Gdzie próżno czekasz na świeże kobierce;
Z kraju, gdzie zmroku rozpaczliwe chwile
Bój przeciw każdej staczają iskierce;
Z kraju, co z sobą cierpieniem mnie wiąże,
Dzisiaj, gdzie wiosna się uśmiecha, dąże.

II.

Myślałem zawsze — już od pierwszej pory,
Kiedy mi w duszy ogień się zapalił;
Kiedy przed oczy stanęły mi twory
Przedziwnych kształtów, gdy byt się skryształił
I nieznanymi jał mienić się wzory,
Gdy kamień życia na barki się zwałił —
Myślałem zawsze o tem jasnym niebie
I o kryjącej dawną sławę glebie.

III.

Myślałem zawsze: iść, ujrzyć zwałiska
I na rycerzy wypocząć mogiłach,

Pić z tej kaskady, co im z piersi tryska,
By krew rycerską uczuć w własnych żyłach —
Myślałem zawsze: do tego źródlika
O podwojonych będę dążył siłach!
I oto dzisiaj duch mój wyzwolony
Orlemi skrzydły leci w tamte strony.

IV.

Noc — nie ta mglista, o! nie ta kirowa,
Co nas trupiami wystrasza widziadły,
Lecz, jak dziewicy, postać marmurowa,
Sennej dziewicy o twarzy wybladłej,
A która, zda się, ogień swój gdzieś chowa,
By go przedwcześnie tłumy nie wykradły;
Noc to wpółjasna, wpółsenna, wpółcicha,
Że duch do marzeń nie nadarmo wzdycha.

V.

Noc, a w tej nocy tajemniczych blaskach
Odwieczne miasto spoczywa... Ruiny
Marzą o głośnych kwirytów oklaskach:
Snać jakiś histryo opiewa im czyny
Mitycznych ojców... W skórzanych przepaskach
Kończą snąć dzieci skityjskiej krainy —
Kończą i jeszcze wzrok wznoszą do góry
I jeszcze szepcą: »Ave... morituri...«

VI.

Widzę ich duchy — ulatują z ciała,
Ponad skrwawionym unoszą się łanem
I lecą, lecą, a droga ich biała,
Gwiazd promienistych wysłana dywanem...
Lecz wnet z tych wyżyn, z pieśnią: »chwała! chwała!
Tym, którzy tęsknią za słonecznym ranem«
Spłynawszy, strojne w zwycięskie egidy,
U Cestyusza zmiłkną piramidy.

VII.

U piramidy, lśniącej, jak gromnica,
 W gronie tych duchów widzę kształt młodzieńca:
 Przedziwna piękność przystraja mu lica,
 Choć ani śladu kraśnego rumieńca...
 Lecz na nim stara nie błyska zbroica —
 Więc to nie postać skityjskiego jeńca?
 Nie! po tej skroni, po ócz tych zadumie
 Duch mój późniejsze wieki poznać umie.

VIII.

Nie! to Alastor... Wśród ciszy pustynnéj
 O mur się oparł i zgłębia początek
 Tych prawd najświętszych, którym świat jest winny
 I nic nadziei i miłości wątek...
 Nie! to Alastor, co mózg swój wciąż czynny
 Zmienił na święty współczucia zakątek
 I ludzkiej nędzy, ludzkiej łzie, co płynie
 Ze krwią zmieszana, postawił świątynię.

IX.

Nie! to Alastor!... Cyt!... słuchaj... pieśń żywa!
 To osamotnień czarująca ręka
 Do takiej pieśni ulubieńca wzywa...
 I oto drzewo zamrożone pęka
 I skronie liściem zielonym okrywa,
 A tam chór kwiatów przed natchnionym klęka,
 A tu ondiny z mitycznych powstają
 Dumań i razem z Alastorem grają:

X.

»Wszystko, co żyje, w hymn się wzniosły składa:
 Powietrze, gwiazdy i złociste słońce,
 Wody czerwone, gdy nad niemi włada
 Majestat zorzy, roniąc perły wrzące,
 Lasy i pola i stworzeń gromada —
 Nawet owady, jako proch niktące —

Wszystko, a w wszystkim żywot wieczny gości,
W jeden się wielki składa hymn miłości«.

XI.

I dalej śpiewał Alastor: »W głębinach
Własnego serca odnalazłem bóstwo!
Wielkość poznałem po myślach i czynach,
A o świętości świadczyło mi mnóstwo
Przedziwnych zachceń, by po gwiazd wyżynach
Wciąż na duchowe spieszyć rybołówstwo,
By, zastawiwszy miłości węcierze,
Utworzyć wielkie aniołów przymierze.

XII.

Przy błyskawicznych światłach i przy gromów
Poruszającej muzyce rozwala
Anioł mej myśli posady tych domów,
Gdzie tłum całował pokrowce Baala,
I wśród tych bożnic marmurowych złomów,
Porosłych zielskiem, skrę jasną zapala,
Co się po świecie złotą tęczą snuje
I ze serc ludzkich kościoły buduje«.

XIII.

I dalej śpiewał Alastor: »O pójdźcie!
Tajemne szczęścia otworzymy wrotnie;
Dziś się do bóstwa własnego nawróćcie
I jego światłu ufajcie ochotnie,
W łonie znów zapał zaklęty rozbudźcie
I stwórzcie wielką bohaterów sotnię,
I, ustawiwszy w bojowe się rotę,
Idźcie, gdzie celów wzniosłych ogień złoty!...

XIV.

Skarłowaciały rodzie Prometeja!
Nie drzyj, gdy brwi swe ściąga Gromowładny!

Czemu powieki bezsilność ci skleja?
Czemu nie widać w tobie siły żadnej?
Czy cię przestrasza przyszłości zawieja
I nieprzyjaciół twoich zastęp zdradny?
Nie drzyj, lecz poznaj, żeś jeszcze olbrzymem,
Co umie gardzić ofiarniczym dymem!...«

XV.

I dalej śpiewał Alastor... A echem
Porannych dźwięków odrzekły mu pola.
I z nadzwyczajnym niebianów pośpiechem
Płynęła pieśń ta na skrzydłach Eola,
Aż, powitana szyderczym uśmiechem,
Znikła, gdzie zimy rozkazuje wola,
Lecz, będąc uczuć potężnych wynikiem,
Wnet niebotycznym strzeliła pomnikiem.

XVI.

Ludzie tam przyszli w płaszczu hipokrytów,
Pierścieniem węża, co ich samych tłoczy,
Pragnęli pierś mu owinać; »do szczytów
Trupiego wzgórza« mówili, »niech kroczy,
Aż wymarzonych odwyknie błękitów« —
I w imię krzyża plunęli mu w oczy
I pozbawili go drogiej spuścizny:
Własnego domu i własnej ojczyzny...

XVII.

I szedł, zwyczajem natchnionych krzyżowców,
Kłękać przed martwą narodów Nijobą;
Pośród samotnych przeszłości manowców
Zagłębiać w myśli północną się dobą
I szeptać świętych mieszkańcom grobowców:
»Grachu! ja z tobą! Spartaku! ja z tobą!«
Szedł i korale swej pieśni, wygnaniec,
Nizał na szczytnych nabożeństwach różaniec.

XVIII.

I potem chodził w gajach cyprysowych,
Dziwiąc się liści tajemniczym głosom.
I na poranku obłokach różowych
Wzlatywał smętny ku czystym niebiosom,
Szukając myśli i zapałów nowych. —
Orzeźwiająca skrapiał piersi rosą,
Kiedy, tęsknoty ogniem rozżarzone,
Pchały w niewdzięcznej krainy go stronę.

XIX.

Nad jeziorami patrzył swojej »Maby«,
W tańczących ondin bawił się szeregu —
Ondin, swych siostrzyc; lub zasypiał, słaby,
Na miękkim łożu — u kwietnego brzegu,
Lub słonecznymi nęcony powaby,
Pływał z duchami po błękitnym ściegu,
Aż, o przedziwnem śniąc raz wniebowzięciu,
Spoczął na zawsze w tych siostrzyc objęciu.

XX.

O Alastorze, zapalony wieszczu!
Twoje popioły czczę pod tą kolumną...
Po skrze wewnętrznej, po tajemnym dreszczu
Czuję, że żywot zostanie mój trumną;
Że wśród pocisków kamiennego deszczu
Tak, jak ty, złożę przed czasem skroń dumną,
Tak, jak ty, skończę wśród tęsknych zawodzeń,
Nie doczekawszy chwili oswobodzeń.

XXI.

O Alastorze! pomiędzy narody
Naród mój jeszcze w najgrubszym pomroku!
Jeszcze go dążeń i męczeństw zawody
Nie sprowadziły z fałszywego toku,
Jeszcze na stare, spróchniałe zagrody
Rzucać błędnego nie poprzestał wzroku,

Jeszcze, patrz! nowych klnąc duchów zastępy,
Kontuszuwymi okrywa się strzępy!

XXII.

O Alastorze, potężny lutnisto!
Podnieś się dzisiaj, ożywion, z swej urny
I zanuć dumę wspaniałą i czystą
O wiecznym ludów spokoju, o górnej
Myśli braterstwa i ukaż przejrzystą
Twarz mu jutrzeńki po tej nocy chmurnej,
To zardzewiałą szablę wysunie
Przeciwko tobie, lub w oczy ci splunie...



IV.

GIORDANO BRUNO.

I.

Ileż to pieśni wylałoś już z siebie,
O niezgłębione ty serce człowieka!
Ile jest światła promiennych na niebie,
Ile co rano srebrnych kropel ścieka,
Ile bławatów na wiosennej glebie
W płaszczy się słonecznych kolorów obleka,
Tyle się tonów wśród pieśni twej mieści,
Głoszących boje, rozkosze, boleści.

II.

Lecz czasem schodzi do głębin żywota
Anioł skrwawiony i po harfie twojej
Rękami dzikich roznamiętnień miota,
A wówczas pieśń twa podobna do drogi,
Której w łożyskach rozpieniła słota,
Kiedy się w wieńce błyskawiczne stroi —
A które, żadnej nieświadome straty,
Topią w swych nurtach najwonnejsze kwiaty.

III.

Nieraz słyzałem te straszliwe zgrzyty —
Nieraz słyzałem rozpalone głosy:

»Poco wam płynąć w nieznane błękity?
Nowych polotów poco zgłębiać losy,
Jakie wam stwórcą przeznaczył, ukryty
W porannej zorzy rubinowe włosy?
Kornie klękajcie u stopni ołtarzy
Bez śladu zgłębiań i zwątpień na twarzy!«

IV.

Serce człowieka! Ten anioł zniszczenia,
Anioł obłudy i sprzedanej wiary,
Gdy się zagnieżdży pośród twego cienia,
Przybiera kształty ascetycznej mary,
W miecz się i stopy ogniste zamienia
I idzie szukać dla siebie ofiary —
Idzie jej szukać pomiędzy te duchy,
Co pragną twoje pozrywać łańcuchy!...

V.

W osamotnionej i posępnej celi,
Ponad tajemnic księgą rozłożoną
Tonął w bezdennej, mistycznej topieli
Mnich, co miał serce i duszę stęsknioną
Za owem bóstwem nieskalanej bieli,
Wieńczącem skronie cierniową koroną —
Skronie tych ludzi, którzy wszystko tracą,
By się poszczycić tą przedziwną płacą...

VI.

Czysta go Prawdy przywabiała postać,
Ku niej podnosił roziskrzone oczy,
Do jej królestwa chciał się myślą dostać
I swego ducha topić w jej przezroczy:
I począł ciało umartwieniem chłostać,
Myśląc, że ono mu blaski jej mroczy —
Począł zwyczajem Franciszków z Assyżu
Szukać jej w krwawych stygmatach i krzyżu.

VII.

I oto zgłębiał wieczornej godziny
Wiary Chrystusa tajemnicze tonie,
Czekając, rychło z niebieskiej krainy
Chór mu anielski światłem nie zapłonie,
Rychło się chmurne rozjaśnia głębiny
I złote słońce pokażą w swem łonie —
Lecz próżne modły i próżne badania,
Boska się Prawda z ciemnic nie wyłania.

VIII.

I zamknął księgę i z palącą głową
Wyszedł zaczerpnąć wiosennego chłodu.
Przed nim błyszczała wstęgą purpurową
Ostatnia zorza, a drzewa ogrodu
Jęły ją wielbić wspaniałą osnową
Dziękczynnej pieśni, że wolne od lodu,
Wolne od szronu i tej smutnej szaty,
Która jest godłem żalu, klęsk, zatrąty.

IX.

Ponad nim gwiazd się iskrzą miliony,
Jak wymarzonych aniołów źrenice,
Które z nieznaney przywoływał strony,
Aby mu, myśli zapaliwszy świece,
Rozdarły życia tajemne zasłony
I jasne Prawdy pokazały lice —
Iskrzą się gwiazdy, a każda z nich wnika
Złotemi głoski w serce zakonnika.

X.

I czuł, jak w serca świątnicy ukrytej
Nowe się jęły podnosić ołtarze,
Jako swoimi gubiły się szczyty
W morzu szafirów i w ognistym żarze;
Czuł, jak wśród gwiazd tych niezliczonej świty
Inne do niego przemawiały twarze,

Nie te przyćmione, nie senne i mgliste,
Lecz pełne ognia, jasne i złociste.

XI.

I czuł, jak inne zagrały mu pieśni,
Wypływające ze struny wszechświata;
Jak go z klasztornej wrywały cieśni
Tam, gdzie się z czynem poświęcenie brata —
Z czynem tych, którzy, do działania wcześni,
Nie drżą przed stosem i toporem kata;
Czuł, jak go gwiazd tych gorejące roje
Z duchami zmroku pędziły w przeboje...

XII.

I w uwiebień namiętnym zachwycie,
Wznosząc źrenice ku gwiazdzistej wstędze,
Zawołał z piersi: »Nieznane wprzód życie
Śmieje się do mnie w ogromów potędze!
I widzę prawdę w niebieskim błękicie,
A nie w pijanej, zapyłonej księdze —
Widzę ją jasną w tej drodze gwiazd mlecznej,
W złocistej zorzy i kuli słonecznej.

XIII.

Wśród tych ogromów, ponad tymi światy,
Jeden panuje wielki duch harmonii:
Głowę mu wieńczą płomieniste kwiaty,
Niezmiennej zasad tablicę ma w dłoni;
Stoi, jak posąg, przybran w bronzu szaty,
Ale ze znakiem żywota na skroni —
Stoi i ładu strzeże całą wieczność
I woła światom: »Me imię: konieczność!«

XIV.

I słyszą gwiazdy głos ten zawsze nowy
I kołem wiodą napowietrzne tańce,

I wśród mgieł nocnych nad ludzkimi głowy
Świecą, jak duchów przewodnich kagańce,
A blask ich jasny, gorący i zdrowy
Wiedzie człowieka nad królestwa krańce,
Tam, gdzie wspaniale, na odwiecznym tronie,
Białą nagością czysta Prawda płonie.

XV.

I słyszy głos ten ziemica: drży cała
I w zakreślonym obraca się kole
I śpiewa słońcu królewskiemu: chwała!...
Zielone drzewa szumią na jej czole,
Tęczowych kwiatów gromada wspaniała
Poi się rosą przy wiosennym stole,
Pokąd im anioł zgrzybiały i blady
Nie zmrozi wiosny gorącej biesiady.

XVI.

Oto przedemną jakiejś gwiazdy oko
Blaknie i gaśnie. Po drodze błękitu
Widzę, jak duch jej ulata wysoko
I do wiecznego przelewa się bytu...
Porzuc o serce tę żalność głęboką:
Gwiazda znów jutro zabłyśnie u szczytu,
A z jej ust pieśń ci przedziwna wnet spłynie,
Że wśród wszechświata nic nigdy nie ginie.

XVII.

O! Jako gwiazda, wśród tego łańcucha
Gasnąc przedemną, nie zgasła na wieki;
Jako ją znowu do życia rozdmucha
W zmienionych kształtach konieczność; jak z rzeki
Na srebrnych skrzydłach nieznanego ducha
W niebo mgły płyną i znowu wśród lekkiej
Topią się wody, tak i duch człowieka
Do pierwotnego źródła perłą ścieka.

XVIII.

Duchu potężny, który swoim tchnieniem
 Napełniasz światów szereg niezliczony,
 Tyś tą kaskadą, ty jesteś strumieniem,
 Którego krople eolskimi tony
 Dźwięczą i dźwięczą i, z martwem się mieniem
 Zlewając, żywych rodzą miliony!
 Duchu potężny! Do twego źródlika
 Każda z tych kropeł znowu się przeciska.

XIX.

O, jak mi nikniesz z przed oczu, Jehowo,
 Wylęgły w mózgu bezlitośnej zgrai!
 Darmo cię stroją wstęgą piorunową,
 Darmo twą nicość przed duszą mi tai
 Najemna czeladź, daremnie nad głową
 Grozi przekleństwem; wśród gwiazdzistych kraji
 Inne już berło me serce urzekło,
 Nie to, co niebo gotuje lub piekło!

XX.

Żal mi was, biedne, wygłodzone chóry,
 Co tak jęczycie wśród ciemnej niewoli!
 Kiedy źrenicę wzniesiecie do góry,
 Szukając światła, wnet czerń was okoli
 I gwałtem słońce kryje swemi pióry —
 Żal mi was, biedni, żal mi waszej doli.
 O jam szczęśliwszy: mam siłę, co każe
 Gardzić tą zgrają, niszczyć jej ołtarze!...«

XXI.

Skończył Giordano i wziął kij pielgrzyma
 I prawdę głosić szedł pomiędzy ludy...
 Szedł łańcuch zrywać, który biednych trzyma
 Zdała od ziemi ogniwami złudy —
 I wołał jawnie: »Niema szczęścia, niema
 Tam, gdzie się fałszu rozpostarły brudy,

Tam, gdzie wciąż mącą w powszechnej świątnicy
Czyste akordy niecni najemnicy«.

XXII.

I szedł, a za nim pobiegł chór szatanów,
Skrywszy swe lica w czarny kaptur mniszy,
I krzyczał tłumom: »Wysłańce niebianów,
Strzeżem spokoju i niebieskiej ciszy.
Biada o! biada, kto wśród ziemskich łąnów
Szumu piór naszych zagłuszon nie słyszy —
Zagłuszon pieśnią tej zbrodniczej treści,
Która odmawia sługom bożym cześci...

XXIII.

Wszak nam Jehowa złożył piorun w ręce,
Byśmy kruszyli na twardej go szyi,
Jednak się w krwawej nie lubujem męce,
Kiedy się ku nam zwraca żądło żmiji;
Wszak w piersi bije nam serce dziecięce
I dusze nasze bielsze od lilii —
Wszakże na ustach naszych zawsze gości
Hasło pokory i hasło miłości.

XXIV.

Rzucamy tylko wówczas swoje gromy,
Kiedy duch ludzki, napełniony pychą
Pragnie Jehowy tron potrzaskać w złomy
I nad tą ziemią, pokorną i cichą,
Buduje Babel; kiedy sił atomy
Łączy, by kościół pobudować grzechem —
Grzechem dociekań, grzechem wolnej myśli,
Co sobie sama nowe prawa kreśli!«

XXV.

I tak szumiały ponad mędrcom głosy,
Pełne szyderstwa i tajnej zawiści...

I wnet zobaczy, gdzie powiędłe wrzosa,
 Odarte z kwiatów i zielonych liści,
 Chór czarnych duchów... Męczennicze stosy
 Wnet się ku niebu podniosą... Nieczyści
 Wnet go duchowie uchwycą w swe sieci,
 Czerń zmówi pacierze i ogień roznieci!...

XXVI.

Konał Giordano i gasnącym wzrokiem
 Raz jeszcze jeden swych oprawców zmierzył,
 A oni stali w milczeniu głębokiem,
 Jak gdyby piorun w ich piersi uderzył:
 Taka z ócz jego palącym potokiem
 Płynęła wzgarda... I wnet się rozszerzył,
 Równien kaskadzie lub chmurze zerwanéj,
 Nad ich głowami jego głos rozlany:

XXVII.

»Dziś szalejecie na wzór czarnej fali,
 Z hasłem miłości na powiędłych ustach,
 Z okiem, co iskrą mściwej zdrady pali,
 Z krzyżem na piersi, strawionej w rozpustach,
 W ręku tortury z nieugiętej stali,
 Odziedziczone po dzikich Prokrustach,
 I wszystko życie, wszystko świeże tętno
 Głuszyście pieśnią rażącą i wstrętną.

XXVIII.

Wśród żółtych ściernisk, po ściętej pszenicy,
 Przy krwawych blaskach gasnącego słońca
 Z żalu nad dolą skażonej ziemicy,
 Zasiada dzisiaj praw boskich obrońca,
 A z nim siadają piekiel biesiadnicy:
 Kłamane modły, szyderstwo bez końca,
 Ucho w rozpusty kąpiące się echu,
 I twarz, co wciąż się wykrzywia od śmiechu.

XXIX.

Niecn! szermierze! Ile jadowitych
Gnieździ się gadów w niedostępnym lesie;
Ile się kawek nad ciałem ubitych
Pastwi jeleni; ile wiatr rozniesie
Pyłków zarazy dla ziół nierozwitych,
Pod jarzmem gradu ile trawek gnie się,
O, tyle we was do smutnej biesiady
Łączy się fałszu, obłudy i zdrady.

XXX.

Lecz przyjdą czasy, gdzie światłości żarem
Rozpłomienieją martwe serca ludzi,
Wówczas zaziemskiej rozkoszy puhaem
Żadna już siła ich więcej nie złudzi;
Staną do walki i na zgłiszczu starem
Duch ich do życia nowy świat pobudzi —
I wzniosą okrzyk nad własną mogiłą:
Oto się niecnych królestwo skończyło!...«



V.

ANADYOMENE.

I.

Ujął mnie wczoraj sen, jak dzień pogodny,
Kiedy się z objęć nocnych mgieł wychyla,
W rubinów rosę, w złoto światła płodny,
W zieloność trawy, w barwny pył motyla,
W rozkwitłe drzewa, które wiatr rozkwiliła
Do takich szumów, że serce nam w łonie,
Jakby niem rajska owładnęła chwila,
Drży z niepojętych rozkoszy i tonie
I tonie głębiej w zjawisk milionie.

II.

Ujął mnie wczoraj sen, jak dzień wiosenny
Po ciężkiej nocy zimowej, i zwałił
Z duszy mi słabej ten ciężar brzemienny
Dni upłynionych, z których każdy palił
Pragnień mnie żarem, żem gorzko się żalił,
Jak ten, co w sobie nie znalazł spokoju...
Tak, ujął sen mnie i w sobie skryształił,
Jak słońce blaski swe skryształala w zdroju,
Com wysnuł wśród spoczynku i com odczuł w znoju.

III.

O śnie ty czerstwy! O śnie uśmiechnięty!
Zbyt rzadkim gościem bywasz w naszym domu;

Zbyt rzadko swemi ożywiasz ponęty
Zgłuszonych ciosem życiowego gromu:
Częściej nas widma boleści i sromu
Jak Prometejów, zwalczonych pragnieniem,
Do skalistego przykuwają złomu
I z wnętrza tak nam chłona technienie za technieniem,
Że, choć się zbudzimy rano, dzień jak noc — cierpieniem.

IV.

O śnie ty jasny! O śnie ty błękitny!
Miesiącem jesteś, co nad chmur sinawem
Płonie spowiciem i ten swój przeszczepiony
Zatapia obraz w jezior sercu łzawem,
Tak, że aż całe lśnią światłem złotawem...
Jutrenką — grobem miesiąca i zorzą
I słońcem jesteś, co nad zorzy krwawem
Wstaje posłaniem i sennym przestworzom
Wyciska swoje piętno — żywota myśl bożą.

V.

O śnie rozkoszny!... Helleńskich niebiosów
Strop, do tej chwili zaledwie przeczyty,
Zawiśł nademną i z srebrzystych włosów,
Które świt rozwiął swobodny, wyzuty
Z ciężkiej chlamidy pomroku, dopóty
Powiewną splatał tkaninę, aż, złoty,
Pośród fal morskich przytłumionej nuty,
Otoczon zorzy różowymi sploty,
Wzniósł się Helios i swymi rozszarpał ją groty.

VI.

I rozlał zdrój się po niebie czerwony,
Im niżej — płonąć rumieńcem purpury,
A coraz wyżej, ponad nieboskłony
Łagodniał w blaskach, aż gdzieś tam u góry
Z szafirowemi połączył się chmury
W złoto-sinawe przędziwo, co kołem

Ujawszy ciemno-niebieskim brzeg wtóry,
Zlewa się z morza bezdennym rozdołem,
Że zenit tu z nadirem zda się łączyć społem.

VII.

Niekiedy zdala lekki wiatr powiewał
I lekko kłębił oceanu fale;
Ocean cicho hymn swój jeszcze śpiewał,
A we wód jego strzaskanym kryształe,
Drgały tysiącznych przebłysków korale,
Lub perły złote, lub się strop w chwilowój
Wynurzał ciszy, przystrojon w opale,
Lamę złotawą i płaszcz szafirowy
I niby chwycił echo tajnej fal rozmowy.

VIII.

Wtem na grzbiet morza promień padł gorętszy,
Iskrą gorętszą morze zarumienił;
Wtem jedna fala nad drugą się piętrzy,
Tak ją potężny naraz wiatr rozpienił;
I wnet się obraz napół senny zmienił
W nadmiar żywota i ruchu: bóg wody,
Co się dotychczas niby starzec lenił,
Rozdźwięczał naraz w głos silny i młody,
Jakby zjawisk nieznanym zwiastował porody.

IX.

I na powierzchnię pryskającej toni,
Zrodzona z piany rozgrzanego morza,
W dyademie z kropel perłowych na skroni
Zjawia się ona — dziewicza i hoża,
Jak srebrna piana, którą ranna zorza
Złotem zabarwia, lub jak błyski złote
Tej rannej zorzy, kiedy wstają z łoża
Świtów srebrzystych, by w sercach tęsknotę
Za dniem budzić niezgasłym i życia ochotę.

X.

Snąć ją zawstydza boska nagość ciała
I jakieś ciche ogarniają lęki,
Gdyż, lekko zgięta, gors naprzód podała,
Wdzięcznymi ruchy utoczonej ręki
Pragnąc zasłonić obnażone wdzięki,
Piers z alabastru i łono bez skażeń:
I tak mnie ujął ten wstyd i ten miękki
Kolor jej kształtów i ten czar obnażeń,
Żem tonął wśród dotychczas niedoznanych wrażeń.

XI.

Poniżej biodr jej ze słoniowej kości —
Gdy na nią skośnie blask różowy spłynie —
Śród których tułów, jak w uścisku, gości,
Zagięć łagodnych krągłą tworząc linię,
Morza bogowie i morza boginie
Łączą się w wieńce z nagich ciał i wioda,
Wpół nad głębiną i napół w głębinie,
Rażny korowód, olimpijskim grodom
Dziękując za władczynię i za siostrę młodą.

XII.

Słońce tymczasem, stargawszy szkarłatne
Sploty na zawsze, to nowopowstałą
Złotem obleje, to znów na wydatne
Mięśnie trytonów rzuci strugę białą,
Łagodząc szorstkość, właściwą ich ciałom,
Albo, upadłszy na pierś marmurową
Którejś z nimf grona, spływa przedzą małą,
By ud wypukłość opleść tkanką nową
I znów tonąc w głębinie, złocąc falę płową.

XIII.

A nad głębiną, nad morskimi ściegi,
Z szumem głębin, w takt tych morskich tonów,
Aż gdzie ostatnie kwitną ziemi brzegi

Płynie melodia tych nimf i trytonów,
Wielka, jak wielkość żywych milionów.
I wnet, co życia zalega arenę —
Najmniejszy atom, który trwa bez skonów,
Napełnia hymnem barwną światów scenę:
O Anadyomene! Anadyomene!

XIV.

I zdało mi się, że świat się już inny
Razem z tą boską oczom mym odsłonił,
Nagi, lecz, mimo nagości, niewinny.
I człek, co dotąd za uściskiem gonił
Mar niepochwytnych i, choć się wyłonił
Z ziemi, tę ziemię, śniąc o rajskim chlebie,
Jako macochę odpychał, nie ronił
Łez ascetycznych przy swych żądz pogrzebie,
Lecz przylgnął do tej matki i w niej poznał — siebie...

XV.

W niej poznał szczęście i, dłonią je męską
Ujawszy, zamknął drogę tym kuglarzom,
Albo szaleńcom, którzy mu zwycięską
Wróżąc wciąż chwilę tam, gdzie gwiazd się żarzą
Szkliste źrenice, gdzie błękitną twarzą
Niebo spogląda, karmią go okruchów
Pyłem, gdy siebie jego chlebem darzą,
Lub, chcąc go zwolnić z cielesnych »łańcuchów«,
Czynią z niego nie ducha, lecz ironię duchów.

XVI.

I zawładnęła Miłość nad tym światem:
Nie ta, co, w pragnień źródle tajemniczem
Skażona drżącym z naturą rozbratem,
Przed pustelników ugina się biczem,
Lecz ta, co, pełnym płomieniem zniczem,
Wiedząc, że życia szczytnym jest początkiem,

Porywa ludzi otwartem obliczem,
I, tym swym celem święta i tym wątkiem,
Nie jest szalem bezpłodnym, lecz twórczym rozsądkiem.

XVII.

I każdy przez nią uczuł się rodzonym
Bratem swych braci i z tych krewieństw studni
Czerpał zasoby siłom nadwątlonym.
I wnet stopniały lody ostrych grudni
Pod ciepłem serca, które dziś obłudni
Zmieniają w rynek fałszywych towarów:
I znikli waśni podżegacze brudni
I ten krwi ludzkiej niezgłębiony parów
Wysuszył już na zawsze dzień miłosnych żarów.

XVIII.

I nastał spokój. Ten łan, co przed wschodem
Dzisiejszej jutrzni czerwienił się strugą
Krwi niezakrzepłej i żywił nas płodem
Siewów, przeklętych łzą i skargą długą
Zbladłych helotów, otworzył dziś pługom
Cichym swe wnętrze i zdrowych oraczy
Widział schylonych i swym własnym smugom
Nucących pieśnię — już bez tej rozpaczey,
Co się na dniu słonecznym czarną chmurą znaczy.

XIX.

Z mogił, wykutych w paryjskim kamieniu,
Wstawali mistrze: wielcy Praksytele,
Eurypidzi, w płaszczach, na ramieniu
Zapiętych sprzążką stalową, wesele
Stawiając znowu w ludzkości kościele,
Spokój i prawdę. I wnet ludzkość cała
Spostrzegła siebie, jak w lustrze, w ich dziele
I, czcząc ich statua i nucąc im »chwala«,
Sobie pomnik wznosiła i sobie śpiewała...

XX.

Była harmonia pomiędzy zamysłem
I między czynem; między pragnień lotem
I między celem: dyskobol, co zwiśłem
Czyścił ramieniem skórę, zlaną potem,
Mędrzec, co chodził za światów obrotem,
Wieszcz, co czar widział w każdej życia skierce,
Byli szczęśliwi zadowoleń złotem,
Które im ziemia dawała — w rozterce
Nie tonął ród Manfredów i nie drżało serce.

XXI.

I zdało mi się dalej... Ach! zbyt rychło
Odbiegłeś śnie ty od rozgranej duszy,
Lecz echo strun twych jeszcze nie przycichło,
I pieśń go inna dzisiaj nie zagłuszy.
Nawet i jutro, gdy mnie szron przyprószy,
Gdy z gwiazd ostatnia zgaśnie mi u szczytu,
Wierzeń tych we mnie nic już nie obruszy —
Zostanie hasło, ryte wśród granitu:
O Anadyomene! O ty matko świtu!



VI.

DEMOKRYT.

.. οὐδὲν γοῆμα μάθην γίγνεται, ἀλλὰ
πάντα ἐκ λόγῳ τε καὶ ὑπ' ἀνάγκης.

Demokritos.

Hej! z praprzyczyny, z przedwiecznego wątku,
Snuje, jak z kłębka, bytów się konieczność
I tak ogarnia swoim pasmem wieczność,
Co niema końca, nie mając początku.

I cel, jak połysk w przetopionem złocie,
Dan jest Przyrodzie jeden, a wspaniały:
By ten odwiecznych bytów łańcuch cały,
Zmieniając formy, wiecznie trwał w istocie.

I my, koniecznym skutkiem tej przyczyny,
Pośród miryad jestestw i ogromów
Jesteśmy nikłe atomy atomów.

I nam istoty dana nieśmiertelność,
Ale nie tylko nieśmiertelność gliny,
Lecz którą daje serc i duchów dzielność...



VII.

ŁZY.

I.

O rozpląkały się oczy i serce,
O rozpląkały mi się w łzy gorące!
I me uczucia są jak rosą lśniąca
Ostatnich kwiatów jesienne kobierce.

I jako iskra ginie po iskierce,
Kiedy na węgiel sączyz kropłe drżące,
Tak i mych blasków serdecznych tysiące
Giną ach! w serca bolesnej rozterce.

I fala bytu mojego, wesoło
Płynąca nieraz w żywym rozhoworze,
Ledwie się w smutnym odmiecie poruszy —

I wszystko życie, wszystek świat wokoło
Z łez mi się zlewa w jedno wielkie morze
I drży, jak łąza ta, co ciąży mi w duszy.

II.

Jak te obłoki, co, zrodzone z ziemi,
Płyną na ciemnych skrzydłach mgieł do góry
I tam, w brzemienne złączywszy się chmury,
Znowu spadają wstęgi kroplistemi,

Tak i łzy moje, dłońmi bolesnemi
Wyrwane z serca, mkną z szumem wichury
Losów ku niebu i blask swój ponury
Topią znów w serce z skargi daremnemi.

Bo choć na duszy ciemnym nieboskłonie
Zabłyśnie tęcza nadziei, jej bytu
Krótkie są chwile, jaśń jej krótko płonie —

I, od nadiru, aż tam do zenitu,
Przestwórz, co wnętrza mego świat otula
Jest jako jedna łzawa, czarna kula.

III.

Na mogilniku widziałem prawnuki
Tych wielkich, dawno pomarłych rycerzy,
Co blaskiem mieczy i blaskiem puklerzy
Wskróś oślepiali wrogie losy-kruki.

Stali posępni, pozginani w łuki,
Lecz bez cięciwy... Zgasł im zapał świeży
I łzy spadały po zblakłej odzieży,
Uszytej, widać, z całunowej sztuki.

I tak mnie widok ten przejął i wzruszył,
Że i ja z nimi stanąłem, schylony,
I jasny wzrok mi strumień łez zaproszył.

I, w żalu jeszcze dziś niepocieszony,
Nie umiem skargi tej przytłumić w sobie,
Że tyle duchów marnieje na grobie...

IV.

Dopókiż jeszcze czas, w cierpienia płodny
I w czczość porywów, będzie nas, bez winy,
Których słabości wysały godziny,
Chwytał w swój uścisk, w uścisk śmierci chłodny?

Dopókiż jeszcze moloch, walki głodny,
Będzie z nas krwawe pożerał daniny,
Gdy nasze matki, drżące, jako trzciny,
Leją łez rosę w strumień krwi swobodny?

Ach! Czyż spokoju i tej cichej pracy,
Która swe gmachy miłością buduje,
Złota nas przędza nigdy nie osnuje?

Czyż na nas wiecznie ma ciążyć przekleństwo,
Które ponoszą dziejowi żebracy:
Przecicha boleść i głośne męczeństwo!?!...

V.

Kiedyż to życie przestanie być życiem
Słońca, co blednie, blasków, które gasną?
Zachodem dążeń, w wieczoru przejasną
Spowitych zorzę, co ledwie jest śnicciem?

I kiedyż świat ten, mrący pod nakryciem
Ponurej nocy, nowe siły drasną,
Siły porannych przebudzeń, i ciasną
Pierś mu rozszerzą szczęścia wiecznem biciem?

Ach! tyle razy ze snu się podnosi
I tyle razy dniem pragnień gorących
Rozrywa wnętrze i znów w sen zapada.

A z wszystkich czarów, ze wszystkich kwitnących
Koron nadziei, pozostaje błada,
Zwiędła łodyga, która smutek rosi...



VIII.

ANIOŁ CISZY.

O jak łagodnie spoczęła twa ręka
Na mojem wnętrzu, ty aniele ciszy,
Choć człek przed chwilą, zdawało się, słyszy,
Jak jedna fala w ślad za drugą pęka.

I wszystka wirów rozhukanych męka
Milknie odrazu i przezroczej kliszy
Dusza podobna, gdzie, jak orszak mniszy,
Słonecznej myśli tłum pobożnie klęka.

I naprzód w szmer się pacierzy rozplywa,
Oszołomiony zapachem kadzideł,
Płynących z uczuć złotych trybularzy,

Potem się głośnie, ale wdzięczną, zrywa
Pieśnią, z przed twoich, spokoju, ołtarzy
I świat wypełnia szumem swoich skrzydeł.



IX.

NA SKRZYDŁACH TĘSKNOTY.

Z uścisków nocy duch, ten promyk boży,
Rwie się na łono srebrzystego świtu;
Ale za ledwie zakosztował bytu
Przeczuć ognistszych, ulata ku zorzy.

Lecz znów spoczawszy wśród różanych łoży
Nikłą chwileczkę, w blask aerolitu
Rozlany, płynie, aż tam! tam u szczytu
Z słońcem, swym ojcem, znowu jedność stworzy.

I tak z niem razem, z niem, co jest żywotem
Ziół kiełkujących, ich kwieciami, owocem,
Ogarnia wszechświat swoim ciepłem złotem.

Lecz kiedy słońce bytów już nie pieści
I w zmrok zapadnie, z uczuciem sierocem
I on zapada w ciało, zmrok boleści.



X.

TANTAL.

Śmiertelny, bogów podzielał biesiady
I ducha kąpał w ich tajemnic zdroju,
Świadom ich ciszy i świadom ich boju,
Szczytnej mądrości i poziomej zdrady.

Lecz wnet strącony jest, gdzie Orkus błady
Zieje otchłanią wieczystego znoju,
I bez wytchnienia jęczy i spokoju,
Że ludziom rozsnuł tkankę boskiej rady.

I nas, gdy, bytu zagadką zwabieni,
Co do swej uczty boskim nęci czarem,
Wyrzekniem: »Jesteś tem, czem jesteś, świecie!« —

I nas pochłania przepaścią swych cieni
To piekło mściwe i ducha ciężarem
Mąk Tantalowych ach! podwójnie gniecie!...



XI.

MONA LIZA.

I.

Śmiejesz się do mnie tym dziwnym uśmiechem
W oczach i ustach, który — nie wiem — cnotą,
Czy też ponętnym przykuwa mnie grzechem:
Tak mi się w serce strzałą wbija złotą.

Pod jego czarem z młodzieńczą ochotą —
U dusz ranionych z niezwykłym pośpiechem —
Rwałbym się znowu ku tym wyższym lotom,
Gdzie dech nasz z bożym zlewa się oddechem.

Lecz mnie już błękit niebieski przeraża,
W nieskończoności tonący, bezdenny
I bezgraniczny baldachim ołtarza,

Ustawionego w mistycznej świątyni,
Gdzie, jako obraz daleki i senny,
Wielka Miłości ofiara się czyni.

II.

Śmiejesz się do mnie... Spoglądam w twe oczy
I twoje usta, niecierpliwie chłonę
Ten dziwny uśmiech, co w sobie jednoczy
I ciernie cnoty i grzechu koronę.

I żary na mnie buchają czerwone,
Dusza ma ogniem, niby krwią, się broczy —
Tajemną w Sais rozdieram zasłonę,
By zginąć w światła ślepiącej roztoczy.

Zabójcze światło! Do głębi przewierci,
Człeku, twe wnętrze, ale nie rozświeci
Zagadki bytu, która w niem się chowa.

Przy tobie stanie li zdawkowej Śmierci
Posępne widmo, straszycło na dzieci,
Albo też Boleść, tak, jak Śmierć, zdawkowa.

III.

O Mono Lizo! Niema w sercu mojem
Ni jednej chwili, gdzieby twe powieki,
Pełne tajemnic, zbratały z spokojem
Mą duszę!... Śmieję się! Śmieję się! Niech w daleki

Popłyną przestwór nieuchwytne rzeki
Mgławic miesięcznych, darzące ukojem
Serca, znużone ciężarem opieki,
Którą ich raczy świat ten!... My nad znojem

Staniemy zdrowi i silni!... W ramiona
Pochwyć mnie słodkie!... Wesoła i pusta,
Przytul do ust mych swe motyle usta!

Na piersiach twoich niech pierś moja skona!
Niech wokół wszystko skona, prócz rozkoszy,
Której nam światło z Sais nie wypłoszy...

IV.

O Mono Lizo! Nie wiem, czemu nasze
Zeszły się drogi i czy dzień się zbliży,
Że się rozejdą, ani tem się straszę,
Że na tych drogach wyrośnie rząd krzyży...

Wszystko mi jedno! Po powszednią paszę,
 Ambrozji żądny, duch mój się nie zniży:
 Kocham twe ciało! Ku niemu się łaszę,
 Wróg Nazaretów świętych i Assyży.

Żądliwie śledząc barwnych szat obrzeże,
 Okalające twoje łono mleczne,
 Rękę mą drżącą w twoje kładąc włosy,

Im tylko ufam i w nie tylko wierzę,
 O Mono Lizo, me pragnienie wieczne!
 O Mono Lizo, mój wzlocie w niebiosy!

V.

Śmiejesz się do mnie, czy śmiejesz się ze mnie?...
 Na ustach twoich uśmiech tajemniczy
 Nad przepaściste prowadzi nas ciemnie,
 Gdzie siwy starzec ziarnka piasku liczy...

Jest-li lęk taki w niedostępnej dziczy,
 W którą się słońce przedziera daremnie,
 Jaki ma śmiech twój, skażon czy dziewiczy —
 Śmiech twoich oczu? — ja nie wiem...

Na Lemnie

Czy na Golgocie — tam, gdzie ludzie żyli
 I tam, gdzie marli, niema takiej chwili,
 Iżbym nie pragnął sięgać ku zasłonie

Z Sais, a zawsze, w mroku czy przeźroczu
 Mych dni doczesnych, muszę cofać dłonie,
 O Mono Lizo, przed śmiechem twych oczu...



IV

ANIMA LACHRYMANS

I.

BĄDŹ POZDROWIONA!

Chociaż mną miotasz po spienionej fali,
Jak burza morska resztkami okrętu,
Tutaj, gdzie chmur mi słońce nie przepali,
Gdzie każdy jęk mój ginie w głuchej dali
Zamętu —

Chociaż mi w duszę wlewasz złości zdroje,
Że myśl tu nieraz myśli przeciwieństwem,
Że, gdy ogarną mnie twe niepokoje,
Rzucam na siebie i na blizkie swoje
Przekleństwem —

Chociaż mnie krwawym naznaczyłaś chrzestem,
Stanąwszy błada już nad mą kołyską;
Choć przez cię nieraz jako starzec jestem,
Że mi śmierć, zda się, z swych skrzydeł szelestem
Tak blizką:

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!...



II.

ROZPACZ.

I.

I tak mię wzięwszy za wychudłe ręce,
Przez przepadliska gnała i przez haszcze
W coraz to nowe czarnych zmroków paszcze,
Gdzie szum złowróżbny i wycia zwierzęce.

A sama była jak dysonans w pieśni,
Jak ton przecierpki w słodkiej grze kolorów —
Nie! kształty miała krew ssących upiorów,
Co zabijają w swoich ramion cieśni.

A gdy, zziajany i jak pies skomlaący,
Któremu trąbę zamknięto kagańcem,
Wyjęknę: »dosyć! gdzież koniec z tym tańcem?!«

Ona, zwróciwszy ku mnie zwrok ziębiący,
Jeszcze mną silniej szarpnie i ze zgrzytem
Swych kłów poóółkłych szepnie: »Tam za bytem!«

II.

Z przepaści zmroków, z stożkowego kojca,
Rozdarte wrzaski, pomieszane z łzami,
Jak kłęby dymu, wznoszą się przed nami,
Szumią, jak drzewa oliwne Ogrojca.

Coraz to bliżej! Hejże, coraz bliżej!
 Oto już widzę: Śród gruzów i zielska
 Wiją się z głodu poskręcane cielska,
 A inne drgają, przybite do krzyży.

»I cóż? wypocznem?« z chichotem zawarknie,
 Niby gadzina, co zęby wyszczerza
 Nad kęsem ścierwa, nad trupem — szermierza...

»Na ten spoczynek pewnie że ci sarknie
 Wszystek twój rozum, ty mój charcie gończy!«
 »Pędź! pędź!« — wyjęknę — »tam, gdzie byt się kończy!«

III.

I tak pędzimy, oboje szaleni:
 Ona jak olbrzym, zbrojny w piekiel moce,
 Co swemi stopy las dębów druzgoce,
 A ja, jak piłka!... Hej, któż mnie obroni?!...

»Spocznij!« znów błagam; »w tej straszliwej jeździe
 Sił mi już braknie, drzę, jak te paprocie!
 Oto polanka! las się kąpie w złocie:
 W świecie porannym i w porannej gwieździe.

Spocznij! czy słyszysz?« — Z góry przez półcienie
 Spływał dźwięk ku nam, poczęty snąc w niebie:
 »Tu u stóp bożych cisza i zbawienie!«

»Chodź! chodź tam! dotąd to nie nasza droga!«
 Pogna mnie znowu i znów w gąszczach grzebie —
 »Dla nas! tak! dla nas niema nawet Boga!«



III.

ZAPRAWDĘ! OD LUDZKIEJ DOLI!...

Zaprawdę! od ludzkiej doli
Szczęśliwszą stworzyły losy
Szumiącym zbożom na roli,
Co jutro padną od kosy.

Słońce je ogniem swym grzeje,
Wiatr pieści, deszczyk je chłodzi,
Aby spełniły nadzieje,
Z których w bród chleba się rodzi.

Na mojej duszy zagonie
Słońce majowe nie płonie,
Rosisty deszczyk nie pada:

Zorany, odłogiem leży,
Miast żyta zielsko się szerzy
I ziarna, próżno siane, bezlitośnie zjada.



IV.

NIE ZDRADZĄ OCZY MOJE.

Ach! sercem mi oddani
Chcą nieraz, patrząc w oczy,
Odgadnąć z nich, co rani —
Co tak mą duszę tłoczy.

Daremnie! O daremnie!
Nie zdradzą oczy moje,
Czemu swe gniazdo we mnie
Uwiły niepokoje.

Na niebie świecą słońca,
Przy mnie się miłość pali,
Co zdrowie niesie bytom:

Daremnie! aż do końca
Pójdę i zginę w dali
Sam z troską mą ukrytą.



V.

CÓŻ JEST WARTE ŻYCIE BEZ UNIESIEŃ.

Cóż jest warte życie bez uniesień,
Bez tych szaleństw, którym ludzie chłodni
Dają miano występku i zbrodni?
Takie życie, to jak słotna jesień:

Niema słońca, co świeci i grzeje,
Niema kwiatu, co szerzy swe wonie,
Tylko wicher po pustym zagonie
Z przeraźliwą monotonią wieje.

Za to wiosnie podobne jest życie,
Gdy kochaniem wzbiera i cierpieniem,
Gdy się zrywa ku gwiazdom w błękicie:

Błaski, ciepło i zapachy świeże
Tego życia bogatym są mieniem —
To wszystko, co swe źródło z bożych natchnień bierze



VI.

STŁUM TĘ CHĘĆ ŻYCIA!

O serce biedne, o zdeptane serce!
Poco tak rwiesz się do dalszego bytu?
Czyli-ż nie lepiej w zawodów rozterce
Rzucić na zawsze jesienne kobierce
Łez i przekwitu?

Czyli-ż nie lepiej raz zginać, jak liście,
Które wiatr — patrzaj! — ścina z tego drzewa,
Niżeli czekać tak na wiosny przyjście,
Co tobie, serce, nie załśni ogniście
I nie zaśpiewa?

Czy strach ci próżni, co za grobem zieleje?
Czy cię przeraża ach! to nic bezdenne,
Gdzie świt swych brzasków srebrzystych nie leje,
Gdzie się pragnienia kończą i nadzieje,
Te widma senne?!

Stłum tę chęć życia! Nie różni się niczem
Od tamtych bezdni pustka wokół ciebie!
Tylko, że tutaj pali cię swym zniczem
Ułudna gwiazda, drżąca na zwodniczem
Pożądań niebie...



VII.

CHŁÓD MNIE OGARNAŁ.

I.

Chłód mnie ogarnął... O biada mi, biada!...
Czyż żar wczorajszy na zawsze już minął?
Czyż żółtkły demon, który dziś mi składa
Zimne całunki na ustach, owinął
Piers mą na zawsze, abym wiął i ginał,
Jako te zioła na pustem przydrożu?
Ażebym zamilkł, jak potok, co płynął
Wczorajszej doby radośnie ku morzu,
A dzisiaj legł, uwięzion w lodowatym łożu?...

II.

Czyż pod ciśnieniem zimnego wyziewu
Mam być dziś statua, lecz statua bez życia?
Śpiewem — lecz tylko wczorajszego śpiewu
Echem bezdźwięcznym? Kwiatem — lecz bez kwiecia?
Blaskiem — bez ciepła? Łodzią, do rozbicia
Niosącą ludzi, którzy w niej złożyli
Swoje nadzieje i serc swoich bicia?
Żywym upiorem, co się darmo sili
Odwalić wieko trumny w przebudzenia chwili?...

III.

Chłód mnie ogarnął... Ach! gdzież ty, Miłości,
Coś mnie ciepłymi otaczała sploty

Ranem wczorajszem? Czy już nie zagości
Obraz twój we mnie? Czyli-ż duch twój złoty
Stał się już cieniem, nikłym, bez tęsknoty
Za światła zdrojem? Czy już nie zawładnie,
Pełen młodzieńczej wiary i ochoty,
Nad moją głową, nim na pierś opadnie
Bez myśli? nad mem sercem, nim bez uczuć zbladnie?

IV.

Zbliż się ty ku mnie i usta rumiane
Przyłóż do piersi, aż ten prąd miłosny
Zmieni me nerwy w struny, rozegrane
Smyczkiem artysty w dźwięczny hymn, w radosny
Hejnał zaślubin, w świtającej wiosny
Hołd przynależny, i serce me potem
Złącz z sercem ludzi: tych, którzy żałosny
Prowadzą żywot, że nie jest żywotem,
I tych, co się radości olśniewają złotem.

V.

Tak! Złącz mnie z tymi, których jęk stłumiony
Dziś do niebieskich szczytów nie dobija,
Lecz się po ziemi wije i, skroplony
W krwawe rubiny, napowrót się wpija
W serca nieszczęsnych, jak w swą zdobycz żmija!
Połącz mnie z tymi, którym dzień słoneczny
Mgłą jest i nocą więzienną, co mija,
By znów się zacząć, wiążąc w zmrok się wieczny
Bez słabych nawet błysków i bez drogi mlecznej...

VI.

Każ mi ukochać i tych, co przed zorzą
Dnia jutrzejszego padną; co wśród łzawej,
Serdecznej skargi w trumnę się położą,
W trumnę dziejowych losów, gdy wśród wrzawy
Smutnych zapasów duch jutra nad mgłąwy
Świat się uniesie i miejsca tu grobom

Nowym udzieli, śmierci nowej strawy:
Kaź ich ukochać, ty, wielka żalobą!
Niech między mną nie będzie przedziału i tobą...

VII.

Tak! niech ukocham to, co jest w wszechświecie,
I to, co w sercu człowieka się mieści:
Rozpacz, co duszę kamieniem mu gniecie,
Rozkosz, co widmem słonecznym go pieści,
Niech się skryształą w hymnu mego treści...
Jego nadzieje, porywy, zachwyty,
Jego upadki wśród jęków boleści
Niech się wyryją wśród brązowej płyty
Mej duszy, niech się złożą w pomnik niespożyty.

VIII.

Wówczas ma dusza ich duszą zarazem,
A moje serce, sercem tych walczących;
Wówczas pieśń moja stanie się obrazem
O harmonijnych barwach, a gorących,
Rzeźbą o liniach spokojnych, kryjących
W swoim spokoju płomienny żar ducha —
Będzie muzyką o tonach, płynących
W rozległym echu, w które człek się wstucha
I w głębi swego serca zgaśnie skry rozdmucha.



VIII.

NIE ŻAŁUJĘ.

Żem młodo rzucił próg rodzinnej chaty
I biegł za słońcem, które złudne snuje
Pasma za sobą, żem darmo zapłaty
Szukał za trudy tam, gdzie zbladłe kwiaty,
Nie żałuję.

Żem między ludzi poszedł, tam, gdzie dźwięki
Młodzieńczej pieśni dzika rozpacz psuje,
Żem ścisk zobaczył wychudzonej ręki
I łzy w źrenicach, żem usłyszał jęki,
Nie żałuję.

Że mi podano gorycz do wypicia,
Co jadem swoim zdrój miłości truje,
Żem wśród czarnego nie znalazł pokrycia
Złocistych cacek i jasnych farb życia,
Nie żałuję.

Że się otarłem o te brudne ściany,
Gdzie świętych uczuć sprzedajność króluje,
Żem rękę włożył w ropiejące rany
I na świat wyszedł kałużą zbryzgany,
Nie żałuję.

Żem jak mogilny krzyż, co skier nie ciska,
Choć go przechodzień gorąco całuje,
Że, kiedy stoję u nieszczęść urwiska,
Żadna boleści łza z ócz mi nie tryska,
Nie żałuję.

Że moja dusza walkami się strudzi
I że tych kajdan los jej nie rozkuje,
Że żywot skończę zdaleka od ludzi,
Że mnie do nieba archanioł nie zbudzi,
Nie żałuję...



IX.

DROGA GOLGOTY.

W jerozalemskie bramy
Gdy wjeżdżał syn Jehowy,
Zawołał lud: »Witamy!«
I rzucał liść palmowy.

Naokół ciasne mury
Rozpierał hymn radosny:
»To on, co w zmrok ponury
Sprowadza promień wiosny!«

Lecz w Mistrzu hołd ten wielki
Na ducha jasnej zorzy
Wnet cieniem się położy:

W źrenicach łez kropelki
Zgasiły żar ich złoty —
Mistrz przeczuł, że ten tryumf to droga... Golgoty.



X.

MATER DOLOROSA.

Patrzcie na twarzy tej wychudłej błądź,
Sporzyjcie w oczy, przymroczone łzami!
Gdzież jest ta życia niezmacona radość,
Co złudą blasków promienistych — mami,
Co żądzy bytu, przelotnie nad nami
Jaśniejac, czyni już zadość?

Ach! znikły, znikły wszystkie barwy świeże
Z twych lic, o matko bolesna, ludzkości,
Jak mkną przed nocą słońca skry zbyt chyże,
A na ich miejscu przeświadczenie gości,
Że ci się wznosić wciąż będą ciemności,
A ideałom twym krzyże...



XI.

PO DESZCZU.

Po deszczu kwiaty odetchły i w górze
Świeżych zapachów pełna atmosfera:
Każdy jej atom znać kroplę zawiera
Tego balsamu, którym żyją róże...

Chmury rozdarło słońce, ten cud boży,
I świat, co, zda się, ze zmęczenia kona,
Zadźwięczał cały, jak posąg Memnona,
Kiedy nań jutrznia swój całunek złoży...

A dusza ludzka, która tonie w krwawej
Przebojów słocie i wszystkie swe liście
Traci wiosenne ach! dla nic wielkiego,

Czyż jest naprawdę lichszą od tej trawy?
Anioły blasków bytu jej nie strzegą
I czas wytchnienia znikł dla niej wieczyście.



XII.

RZUĆ Z SIEBIE, DUSZO...

Rzuć z siebie, duszo, te pożółkłe liście,
Stań się, jak zdrowe te byty, co wierzą
W radość wiosenną, w ciepłych blasków przyście!

Niech z ciebie zdroje kryniczne uderzą
I niechaj spłyną na szeregi bratnie,
Z bólu omdlałym podobne rycerzom.

Tchnij w nie tę siłę, co boju ostatnie
Przemienia chwile w głośny tryumf życia,
Rwąc bladej śmierci kielzającą matnię...

Co? i ty padasz? Więc doba przekwicia
Przysła i na cię, jak na owe zioła,
Co wśród leśnego wędną gdzieś ukrycia?

Tak! choć ogarniasz wielki świat dokoła,
Od tej roślinki nie mocniejszą-ś zgoła...



XIII.

O ZBLIŻ SIĘ, ŚMIERCI!

O, zbliż się, śmierci, senna śmierci! Zwojem
Swych chłodnych ramion obejmij te skronie,
Które się palą; zbliż się ze spokojem,
Którego niema w tem łonie.

Ty mnie nie straszysz chrzęstem trupich kości,
Ty mnie pustemi nie przerażasz oczy,
Ni tem robactwem, co w mogiłach gości
I ciała toczy, ach! toczy!

To oni widzą obraz grozy w tobie,
Oni stawiają cię w rozkładów brudzie,
W tym ciasnym, ciemnym, w tym cuchnącym grobie!
Lecz cóż mi oni, ci — ludzie?...

Dawniejsza miłość, co przygarnąć chciała
Wszystkich, przezczysta, do serca, dziś na nic!
Na nic! w nienawiść zmieniła się cała,
O tak! w nienawiść bez granic!

O, zbliż się, śmierci! O, zbliż się, aniele!
Niech cichy szelest twych słów mnie odwoła:
Ty, co gotujesz spokój i wesele,
Wyrwij z tych ludzi mnie koła.



V

CIRCULUS VITIOSUS

1.

SOLAMEN MISERIS.

Jest straszna siła — jak ją nazwać, nie wiem —
Co tak nam wewnątrz skuwa w swe łańcuchy,
Że wielki zamiar przemienia się w głuchy
Wyrzut sumienia, piekący żarzewiem.

Lais ostatnia — bezwstydem odpycha,
A jednak w uścisk zamyka nas podły
I strąca myśli, co ku szczytom wiodły,
Że u trucizny pełzają kielicha.

Ach! ileż razy moje wewnątrz biedne
Było igraszką w rękach tej przemocy
I jak ja kląłem pierwszy dzień żywota!

A w tej rozterce, w tej bezdennej nocy
Pociechę miałem — nędzną — tylko jedną:
Że nie mną samym duch piekielny miota.



II.

ZAGAŚNIJ SŁOŃCE!

Zagaśnij, słońce, bo na cóż promienie,
Które do serca nie wnikają głębi!
Niechaj do reszty mnie ten lód wyziębi,
Jakim naokół tchnie boże stworzenie.

Dziwna, że człowiek, co wyszedł z pod ciepłej —
Jak mówią — ręki Mistrza nad mistrzami,
Nawet najmniejszą iskrą nie omami
Bratniego serca i myśli zakrzepłej.

Straszna w tem wszystkim musi być zagadka:
Albo człowieka żaden Bóg nie stworzył,
Lub z powszechnego prawa tak wydrożył,

Tak się wypalił duch mój do ostatka,
Że dlań już ognia żadnego nie stanie...
Zagaśnij, słońce! Pocóż rozwiązanie?!



III.

ZGRZESZYŁEM!...

Tak! gdybym wierzył w spowiedzi skuteczność,
Kląłbym przed wami, ideałów stróże,
I rzekłbym, łkając: Patrzcie! jakie burze,
Z grzechu poczęte, starły mnie na wieczność...

Ongi, do twardych przebojów jedyny,
Byłem jak żołnierz, albo jak ten łowiec,
Którego dziki nie straszy manowiec,
Gdy spieszy w ślady szlachetnej zwierzyny.

A dziś — słuchajcie!... O nie! nie! Przytłumię
Tę chęć, co wyznać każe wobec świata
Całą mą nicość, abym ulżył sobie...

Nie dla mnie ulga! W sercu i rozumie
Wyryłem sobie prawo ręką kata:
Pokutuj, milcząc! Ulgę znajdziesz w grobie.



IV.

FLECTAMUS GENUA.

W proch! w proch przed blaskiem, który z serc wytryska
I serca wzajem zapładnia, że kwitną
Jako te lilie, patrzące w błękitną
Toń niebieskiego nad nami sklepiska.

W proch! w proch! choć w tobie szatany zazgrzytną,
Choć wic się będzie, jako zmija ślizka,
Ta przemoc złego, która gwałtem ściska
W swoich pierścieniach wszystką żądzę szczytną!

W proch! w proch upadnij!... Zakłęcia daremne!
Świadomość siebie stracił syn człowieczy,
Gdy raz trującej zakosztował cieczy:

Zamiast przed słońcem zginać korną szyję,
Z którego powstał, ach! i którym żyje,
Czci niszczycielki swe — potęgi ciemne...



V.

AMAVI.

Kochałem niegdyś... Nie kłam, zwiędłe serce!
Ślepą się nie łudź paprocią, wśród boru
Dzikich rozpędów wzrosła, ni fosforu
Blaskiem, co nie ma ciepła w swej isierce...

Po stromych szczytach duch pychy mnie wodził,
Chorej gorączki uczynił mnie jeńcem,
Co bój zwycięski staczała z rumieńcem,
Gdy się ukradkiem z twoich głębin rodził...

Dziś chciałbym spocząć na łagodnych ręku
I, zapatrzony w ócz przeczyste dziwy,
Wciąż szeptać: kocham! ach! kocham, szczęśliwy!

Lecz rdzą do środka przeżarte żelazo
Wszakżeż ze siebie nie wyda już dźwięku,
Co dla serc zdrowych świętą jest ekstazą!



VI.

ODI PROFANUM VOLGUS.

Czemu uciekam od natłoku ludzi?
Tak mnie niejeden pyta się, zdumiony...
Czyż grzech, co z czoła zrzuca im korony
Bożego piętna, we mnie wzdargę budzi?

Czy-m jest z tych karłów, co, w dumie niezdrowej
Wzniósłszy nad miarę serca i rozumu
Kościół dla siebie, drżą, by dotyk tłumu
Tej ich karcianej nie zniszczył budowy?

Nie! nie! Ja w ciemnej swego wnętrza kaźni,
Jak ów pustelnik, wyklęty ze świata,
Z tej się zamykam bolesnej przyczyny —

Aby nie czytać w oczach człeka-brata,
W których swój obraz widzę najwyraźniej,
Własnej słabości, ach! i własnej winy!...



VII.

W ROZBOLAŁEGO SERCA ŻYWA KSIĘGĘ.

W rozbolałego serca żywą księgę
Zapisz na zawsze słowa takiej treści:
Jak ruda w ogniu znajduje potęgę
Oczyszczającą, tak człowiek w boleści.

Nie! Tam, gdzie tęcza wielkich żądz swą wstęgę
Rozsnuwa barwną, gdzie na suknię cześci
I chwały zmienisz powszednią siermięgę,
Wznosi się dusza na skrzydłach boleści.

Gdy więc na grzbiecie twoim los zaznaczy
Krwawe swe ślady, los, co się nie pieści
Z człkiem, wszak nawet zrodzonym w boleści:

Ty nie otwieraj wnętrza dla rozpaczy,
W której się ducha osłabienie mieści,
Tylko błogosław! błogosław boleści!...



VI

W CIEMNOŚCI SCHODZI
MOJA DUSZA

1.

Wierzyłem zawsze w światła moc,
Władnącą nad mrokami,
A przecież nieraz wiarę tę
Gorzkiemi zlewam łzami.

I wstaje z morza gorzkich łez
Zjawisko wnet olbrzymie,
Nachyla ku mnie smutną twarz,
A Rozpacz mu na imię.

Nachyla ku mnie bladą skroń,
Żrenicą wabi ciemną,
Zamyka w uścisk, ach! i świat
Zamyka razem ze mną.



II.

W ciemności schodzi moja dusza,
W ciemności toń bezdenną,
Pól elizejskich już nie widzi,
Zawisła nad Gehenną.

W górze nad losem mojej duszy
Boleje anioł biały,
A tutaj szyki potępieńców
Szyderczo się zaśmiały.

Szydzą z mej duszy potępieńce,
Że cząstka jasnej mocy,
Co rodzi słońca, niema władzy,
By złamać berło nocy.



III.

Zazdroszczę nieraz tym, co w grobach leżą,
Owianych trawy szeleszczącą ciszą:
Dusze ich, rozbrat wzięwszy z ciał odzieżą,
Jęków ziemskiego bólu już nie słyszą.

Na lotnych skrzydłach wielki przestwór mierzą,
Melodyami sfer wonnemi dyszą;
W twarz zórz i słońca zapatrzone świeżą,
W promiennych blaskach pyłem blasków wiszą.

A tylko czasem schodzą na mogiły,
Oblane światła miesięcznego falą,
Cicho po trawie aksamitnej depcą

I dla tych bytów, co, stargawszy siły
W przebojach z życiem, na swój los się żalą,
Melancholijną pieśń ukojeń szepcą.



IV.

O niezgłębiona duszy toni,
Ty w ciasnej piersi mórz ogromie!
Na burzę wicher już głucho dzwoni,
Już gwiazd iskrzących gasi płomień.

Już ci palcami strasznej dłoni
Demon nawałnic sięgnął do dna —
O zachmurzona duszy toni,
Przed chwilą jeszcze tak pogodna!

Zrywasz się, jęczysz, szukasz broni,
Wał bijesz wałem wśród tej męki,
Łkasz żądzą ciszy — cóż ci po niej?
W pieśń się zmieniają twoje jęki!

I pieśń ta huczy, pieśń ta dzwoni,
W rytmicznych falach okrąg nurza:
I przestwór słucho tej symfonii,
Którą-ć wyrwała z głębin burza.

Z dziwu wicher staje w chmur pogoni,
Tylko melodyą razem dyszy:
O nawałnicą śpiewna toni,
Czemu tak bardzo żądasz ciszy?!



V.

Z głębin przestworu, z ciemnych chmur,
nad wilgotnymi łąny,
Jak srebrny opar wstaje duch
z promieniem wokół głowy:
Rośnie w mych oczach, niebios tór
rozjaśnia, mgłą owiany,
Strząsa ostatni śniegu puch
z swej sukni lazurówój.

Uderza w róg swój: szumi bór
i szumią rzek bałwany,
Ziemia wyęża wszystkie słuch
i rychło na dąbrowy,
Na senne niwy wiedzie chór
swych dzieci rozśpiewany,
Błogosławiących twórczy ruch,
okrytych w liść majowy.

I moja dusza chłonie wraz
ten hymn, budzący zioła,
Rwie się do wonnych światła fal,
lecz widzi poniewoli,
Że się w liść świeży, jak ten las,
naodziać już nie zdoła.

Mrok ją ogarnia, mrok i żal —
skarży się swojej doli:
I duch, co życia przywiódł czas,
gasi swój blask u czoła
I razem z nią w bezmierną dal
szumi pieśń melancholii.



VI.

Ach! nieraz mi się zdaje,
gdy tak samotny kroczę
W zachodu cichem złocie,
zadumą ogarnięty,
Że cień, co, długi, wstaje
z pod nóg mych i swe mrocze
Na ziół tych ściele krocie,
nie ze mnie jest poczęty.

Lecz, że z przeszłości fali,
czy z przyszłych dni głębiny —
Hen! tam, gdzie ziemi końce —
był jakiś, tu nieznany,
Wychylił się w oddali
i że cień jego siny
Dnia dzisiejszego słońce,
mrąc, rzuca na te łany.

I tęskność duszę chwyta
na wierchy gdzieś tajemne,
Lecz wraz ku memu łonu
zbliża się lęk ponury:
Ach! widzę, jak, okryta
w całuny mgławic ciemne,

U stóp mych przepaść dyszy
głębokiem, cichem tchnieniem...
Jak przed zjawiskiem skonu,
zwrócony do purpury
Zachodu, drzę w tej ciszy —
przed swoim własnym cieniem...



VII.

Życia ogromne morze grzmi przedemną,
A ja na brzegu stoję zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany,
Oczy mam tylko w dal utkwione ciemną.

Łódź na mnie czeka... Wraź żywiołów boje,
Głosem trytonów wzywając w odmęty,
A ja się wiosła nie imam: przekłęty,
Samotny żeglarz, bez odwagi stoję.

Pół sen, pół jawa — oto dzień żywota,
Pędzon na żwirach pustego wybrzeża,
O które fala daremnie uderza,
Daremnie z hukiem srebrne piany miota.

Pancerne statki wyruszyły w drogę:
Warczą ich koła, z paszcz buchają dymy,
Płyną po głębiach, jak ptaki-olbrzymy,
Precz poza sobą zostawiwszy trwogę.

A ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

Na karku tylko dreszcz mi usiadł błady
I rwie mą przędzę bezlitością dłonią:
Chwila, a w chmurach pioruny zadzwonią,
Mego wybrzeża wstrząsną się posady.

Chwila, a orkan porwie swe obroże,
Z nóg i z rąk swoich ciężkie pęta zrzuci
I w zaślepieniu szaleństwa wywróci
Z granic kotliny rozszalałe morze.

Cały ten ogrom z łożyska wyważy:
Ku niebu wzdmie się ta pierś Lewiatana,
By, płomieniami błyskawicy zлана,
Opadnąć z jękiem tonących żeglarzy...

Topi się ołów przestworu! Z łoskotem,
Z trzaskiem i sykiem już się woda pali!
Błogosławiony, kto ginie w tej fali,
W walk żywiołowych rozognieniu złotem.

Błogosławiony, kto pochwyił wiosła
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wicher, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szwał urosła!

Błogosławiony, kto z swej ludzkiej duszy
Umie wykrzesać pokrewieństwo burzy,
Swe błyskawice w głębinach zanurzy,
Swoimi grzmoty przestwory poruszy!

Zalewasz brzeg mój, rozhukany wirze?!
Piekielna mściwość tve skrzydła rozpędza?
Zalej go! zalej! wszak na nim śni nędza,
Co swoje własne, gnuśne stopy lize!...

Zalej go! zalej! Z ciałem Prometeja
W piarg się rozpadły zębate opoki!

Wybrzeże piasek zasypał głęboki:
By stężał w turnię, znikła już nadzieja!

Zalej go! zalej ten mój brzeg przeklęty,
Bezplodny, pusty i, jak rozpacz, nagi:
Więzi mnie na nim trwożny brak odwagi,
Gdy w krąg żeglarze spieszą na odmęty.

O niema łódka, a przecież wymowę
Strasznych demonów mająca!... O wiosło,
Coś się ze ziemi, jak gigant, podniosło
I idziesz na mnie, na senną mą głowę!

Falo, wiodąca wciąż ze sobą wojnę!
Śmiałe, po falach wciąż krążące statki!
Żagle, rozwiane niby kwiecica płatki!
Maszty, w flag tysiąc różnobarwnych strojne!

Życia ty morze, tak grzmiące przedemną,
Gdy ja, na brzegu stojąc zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany
I wzrok mam tylko w dal utkwiony ciemną —

Gdy ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.



VIII.

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

Dziś z resztą siły poszedłem w bluźnierce,
Ma dłoń słabnąca dziś twój bałwan kruszy,
Krwawy Molochu, coś pożarł me serce,
Jak wampir wyssał drogi szpik mej duszy!

Królu w łachmanach, siedzący na tronie,
Z którego zdarto bisior i złocenia!
Ogniem zawiści twoje oko płonie,
Chciwość twe usta w wstrętą paszczę zmienia.

Wytrzeszczasz straszne bazyliuszka oczy,
Albo je chytrze przysłaniaasz obłudą,
Wabiąc zwierzynę, która we krwi broczy
Pod twym pazurem, pod twą ręką chudą.

Żer w twe koryto ciągle znoszą wieki,
Wnętrznosci swoje rzucają-ć pod nogi,
Ty, od nasyceń wieczyście daleki,
Wściekłyś z pragnienia, — jak żbik, z głodu-ś srogi

Myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
Czystość poświęceń, rycerskie porywy,
Modły zachwytne, dyscyplinne razy,
Krwi stygmatycznej święty strumień żywy —

Gwoździe, co sine przebijają ręce,
Ciernie, co kłują bladożółte skronie —
Wszystko to ginie w twej potwornej szczęce,
Wszystko to brzuch twój w swoich bezdniach chłonie.

Przywlokłeś ku mnie swe nogi żebracze,
Bose, zziębnięte w śnieżystej wichurze,
I dusza moja już litością płacze,
I już ci cały, jak pachołek, służę...

Przyszedłeś ku mnie, ty płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,
I już ma dusza ciemieżcom złorzeczy,
Już w twej obronie bicz rzemienny plecie...

Przyszedłeś ku mnie, dzierzycielu pięści,
I pokazując nabrzmiałe ramiona —
»Głob się z tej mocy rozpadnie na części,
Świat zła — krzyknałeś — pod tym gromem skona!«

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe opoki rozkrusza?!
I bałwochwalcze już kadzidła palę
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!

Widzę: olbrzymie szeregi się zbiegły —
Skórzane mają u pasa fartuchy...
Tylcami młotów wałą w świątyń cegły,
Przestwór wypełnia huk i łoskot głuchy!...

Widzę: centaury przebiegają ziemię,
Miast łuków, dzierżą płomienne pochodnie!

Kopyta w iskrach!... Gdzież ta siła drzemie,
Co łun powstrzyma rozszalałą zbrodnię?

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

To jest konieczność: padł, orząc tve łany,
Ty go przygnieciesz swem cielskiem kosmatem,
Brutalny zwierzu! Ty, bożku miedziany,
Runiesz na niego całym swoim — światem...

A sam na pulchnej od popiołów roli,
Na którą padło to przekleństwo boże,
Będziesz już brzuch swój wypasał dowoli,
Nienasycony, stugębny potworze!

Ty wrogu ducha! Stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiadała
Bożego siewcy: na zwiędłym pustkowiu
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciała!

Gdzieś dawnych bożnic zburzył fundamenty,
Tam nowy kościół dla ciebie powstanie,
O nieskalany! o boski! o święty!
O ty mocarzu! królu i kapłanie!

Jest wielki ołtarz! Cały złotem błyszczy!
Na nim tve ścierwo rozpiera się tłuste,
Między pierwszemi najpierwsze z bożyszczy,
Na swych kolanach pieszczące Rozpustę!

Długo tak będziesz cesarzył, o krwawy,
Dziki Molochu, coś pożarł me serce?
Aż wśród piekielnej obiedrą cię wrzawy
Jadła i picia spragnieni odzierce.

Żebrak cię zwali, zziębnięty i bosy,
Ten, co swą nędzą do łez cię poruszy!
Sługa jarzemny rozstrzygnie twe losy,
Wampirze, ssący drogi szpik mej duszy!

Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco, coś ze mnie zdał zbroję szermierzy,
Więząc mnie w swojej dławiącej obroży!...



IX.

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękaney duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Z głębin powstajesz, a ku wyżom mkniesz
Na skrzydłach dziwnie tajemniczej mocy;
Niema-ś, a jęczysz, jak zraniony zwierz,
Rozbrzmiewa wokół wielki płacz sierocy,
Gdy, wstawszy z głębin, ku wyżynom mkniesz.

Łowisz po drodze głuche szумы drzew,
Które wiatr bujnej pozbawił korony:
Przygnębiający, pogrzebowy śpiew,
Na strunach żałob jesiennych zrodzony,
Łowisz po drodze z serca nagich drzew.

Nad brzegi idziesz spochmurniałych wód,
Na żółte łąki, na zwiędłe ścierniska,
Mgłą się opijasz, przejmuję cię chłód,
Co z ziół zeschniętych siwy szron wyciska
Ponad wodami spochmurniałych wód.

Odlatujący ścigasz ptactwa klucz,
Śledzisz, czy bracia w drodze się nie znużą;

Żałość wyziera z twych pobladłych ocz,
Gdy spocznieś w gnieździe, rozrzuconem burzą,
W gnieździe, skąd ptactwa precz uleciał klucz.

Porywasz szepty z spiekłych ludzkich warg,
Wnikasz do wnętrza złamanego człeka,
Niedomówionych, lub przycichłych skarg
Żywisz się strawą: radości daleka,
Chłoniesz szept bólu z spiekłych, ludzkich warg.

Modlitwo moja, cicha-ś i bez słów,
Choć jesteś sercem głośnych jęków świata,
Który, ścigany przez złowróźbny huf
Nędz nieodstępnych, ku gwiazdom ulata
Z tobą, modlitwo cicha i bez słów.

Na ziemię bożą wielki upadł cień,
Widma rozpaczy po jej ścieżkach suną,
Powietrze pełne ich wymownych drzeń,
Że mrok się rozlał nad zagasłą łuną,
Że na tę ziemię wielki upadł cień.

W wiekowych bojach zwątlął zastęp dusz,
Zgłuchły zwycięskich pochodów tententy;
Z dróg się podnosi suchy, biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty,
Co w boju wieków pobił zastęp dusz...

Długie westchnienie krwawych, przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,
Oto mój pacierz! Nie cząstka, lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długiem westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się, milcząca modlitwo, ach! sil,
Abyś w sferycznej swej drodze nie padła,
Straszną rozterką tych dzisiejszych chwil...

O jak gorzkiego potrzeba ci jadła —
Sil się, niesyta modlitwo, ach! sil!...

Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosięgłej,
Niemej, a głośniejszej! Dusza o tem śni,
By wzruszyć globów płomienistych węgły
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Zginać, nie patrzeć na ten wielki ból,
Który rozsadzi ziemię na atomy,
Nim szczęście zdąży wzrosnąć śród jej pól!
O ciało słabe, o duchu znikomy:
Zginać, nie patrzeć na ten wielki ból!

Modlitwo moja, cicha i bez słów!
Ku gwiazdom płyniesz z mej zniekanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smutek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów...



X.

I.

Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W beżmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój, sam w melodye plenny.

Syt jestem ziemi; z tej kaźni codziennój
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienne,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w twojej pieśni; jest lube,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozpląnięcie bytu;

Jest w nich tajemne przeczucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu...

II.

Struny twojej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —

Gdy kształty bytów święte Słowo boże
Przybierać jęło. O szumiący lesie,
Rozlewne dźwięków przedwiekowych morze!
Wówczas, gdy żywioł za żywiołem rwie się,

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie
I cichość swoją i swój rozgwar niesie
W pustą bez końca i bez nocy głuszę —

To samo wówczas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

III.

Dlatego dzisiaj, o szumiący lesie,
Ma dusza wnika w twą duszę, rozumie,
Chociaż ludzkiego ciała ogniem zwie się,
Choć ludzkim śpiewa językiem, w twym szumie

Akord najcichszy... A gdy w drzew twych tłumie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Wichr się rozgości w swej szalonej dumie
I burzycielskim swoim tchem rozniesie

Twe liście świeże, przerywając ciszę
Trzaskiem konarów, i ma dusza gnie się
I swą koronę wraz z twemi kołysz

I razem z tobą, o jęczący lesie,
Jęczy i jęk swój razem z twoim splata
W echo tych cierpień, co ranią pierś świata...

IV.

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snąć go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerzym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze melodye dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj — niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozpląnięciem jest bytu. Niech rwie się
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!



XI.

Bolu szemrzący zdrój i cichej melancholii
Łagodny poszum ten czemu mi płynie z duszy?
Czy stąd, że życia znój zaciężył na mej woli,
Czuwanie zmienia w sen w bezgwarnej pragnień głuszy?

Czy stąd, że moich ócz teleskop wyciągnięty
Tam, gdzie tych czasów głąb, idących, jak ofiary,
Na rzeź, dostrzega krucz — pochmurne tylko męty,
Choć jeszcze wczoraj zrąb ich nieb zlewały żary?

O rzuć tych pytań nóż! Poco znów krajać serce,
Co, widząc dziś swój los i przeznaczenie świata
W gaśnięciu złotych zórz, w straszliwych walk rozterce,

Nie skrzepłą rzuca krew, nie rozjęk, w rozpacz plenny,
Lecz rezygnacji głos z nieśmiałym żalem splata
I ten swój tęskny śpiew na powiew śle wiosenny.



VII

Z WIRCHÓW I HAL

1

Z ALP

I.

NA JEZIORZE CZTERECH KANTONÓW.

I.

Rozbłękitnioną płyniemy topielą...
Na jej zwierciadło snąć się niebo zwali,
Ciężkie od blasków, co się po niem ściela,
Lejąc szmaragdy wskroś stopionej stali.

Naokół góry, naodziane ziela
Marzących świerków, kąpią szczyty w fali;
Czasami śnieżne kopy się zabiela,
Lub zaczernieją granity w oddali.

Wietrzyk zawiewa i wraz z szumem wody
Duszę sennemi melodyjami pieści,
W żar jej piekący słodkie niosąc chłody.

I głębia, pełna tajemniczych wieści,
Ciągnie ją k'sobie na nieznanne gody —
Precz od trosk ludzkich, od ludzkiej boleści.

II.

Barwami tęczy jezioro się mieni:
Słońce południa stapia się w lazury,
W szmaragd i turkus w tej wodnej przestrzeni,
W złota ciecz skrzącą, w rubinów purpury.

W fioletowe mgły spowite góry,
W wstęgach śniegowych, w podszyciu zieleni,
By koronkowe, Raj więżące mury,
Z swych tajemniczych wabią nas półcieni.

Przestworza cisza przedziwna zalega...
Czasem głos ludzki zerwie się z nad brzegu
Pieśnią wesołą, lub się głuchym gwarem

W statku zagnieżdzi. Ale duch nie słyszy,
Co mówią ludzie: zbratany z bezmiarem,
Światłem i falą płynie w Raj tej ciszy.

III.

Majestatyczne, opieśnione wody!
Skalne olbrzymy strzegą waszej toni,
Z której promienny wyszedł duch swobody,
Co ludzkiej piersi od spodlenia broni.

Cóż, że się zbiera naokół ich skroni,
Którą srebrzyste opasały lody,
Burza szalona? Grom się z niej wyłoni,
By w nic się rozbić o kamienne grody.

O święte fale! Niech ten duch wasz w mojej
Spragnionej piersi będzie nakształt droi,
Które w rozpaczy dniach laska Mojżesza

Z skał wydobyła — tą cudowną mocą,
Co zbawia ludy; niech walczących rzesza,
Czerpiąc z tych źródeł, nie padnie przed nocą!

IV.

Negacyo życia, znikczemiała, marna,
Wiążąca ducha, co się rwie w błękity,
Jako te śniegiem naodziane szczyty,
Które powstrzymać pragnie chmura czarna

W pięciu się dumnych ich turni!... Nie powiem,
Choć się zbudzona wyobraźnia sili,
Co dziś jest we mnie — to jedno, że zdrowiem
Piers ma oddycha w tej wspaniałej chwili.

Negacyo życia, stwarzająca karty!
Wobec tych cudów wielkiego Żywota,
Co płodzi granie i głębie jeziora,

Gaśnie twych oczu szklanych blask umarty,
Znika oblicza twego bladość chora,
Bo Raj przed tobą otwiera swe wrota...

V.

Wlokła się dusza z skrzydły zmęczonemi,
Smętna i z skargą na ten los, co łamie
Wszystkie szlachetne wysiłki tej ziemi,
Pragnącej spocząć aż tam! w Raju bramie.

Zdawało jej się, że w piekielnej chemii
Nędz i walk ludzkich apostazyi znamię
Wyniesie z sobą, że ją krzyk oniemi
Kupczących w świętym człowieczeństwa chramie.

I z rezygnacją swój bardon wojenny,
Jak zagaszoną rzuciła pochodnię,
Myśląc, że na nic pieśń się już nie przyda.

A dziś znów powiał nad głową półsennęj,
Broniąc jej z pola uchodzić niegodnie,
Urok Przyrody i duch Winkelryda.

VI.

O duchu boży, z wirchów tych krzesanic,
Z wód tych głębin do tak bujnych lotów
Przynaglający człowieka, że za nic
Ma one drogi, skąd niema powrotów!

Gdzież twa ojczyzna? Nie uznajesz granic,
 Kreślonych ręką zuchwałych despotów:
 Do piersi ludzkich, jak do swych kochanic,
 Schodzisz z miłością, tam masz dom swój gotów.

W blaskach południa, w sinych mgłach północy,
 Co się zwieszają nad zmrożoną ziemią
 Ciężkim ołowiem, twoje iskry drzemią.

Ale jak długo nieraz świat ten czeka,
 Byś je rozżegnał tchem swej wielkiej mocy
 I ich płomieniem rozgrzał pierś człowieka!

VII.

Wiej, pływ — nie przejdzie ten twój ruch bezpłodnie —,
 Tocz się, pierś ludzką swem tchnieniem rozpieraj,
 Pokoju ciche przybytki otwieraj,
 Koj miłująco, pieść i głaszcz łagodnie.

A jeśli trzeba, Samsona pochodnie
 Rozpal, na kłamstwo żelazem nacieraj,
 Mów »żyj!« jednemu, drugiemu »umieraj!«
 Aż wzniesiesz cnotę, a zniweczysz zbrodnię.

Niejedno zginie, co, na pozór żywe,
 Od dawna stoi nad śmierci krawędzią,
 Bo nie chce wchłaniać twych światła potoków...

Wszystko, co spełnisz, cne i sprawiedliwe:
 Wszakże ty jeden masz prawo być sędzią
 I wykonawcą swych świętych wyroków...

VIII.

Cóż, że w zamęcie dziejowych orkanów,
 Gdy się nad światem stęsknionym rozjarzy
 Blask twój, wiew jakiś przygasi go wraży,
 Jęk budząc nowy wśród zdeptanych łąków?

Cóż, że z twej klęski szydzi śmiech szatanów,
Aż nawet w sercu natchnionych pieśniarzy,
Twojej świątyni stróżów i kapłanów,
Wiara w twą siłę mróz zwątpienia warzy?

Przemijający to tryumf, choć wieki,
Płodne w łzy gorzkie, w klątwę i w krwi rzeki,
Trwa nieraz orgia radości piekielnej.

Lecz czym są wieki w żywota łańcuchu?
Czem chcą, niech będą, ty je przetrwasz, duchu
Bo, idąc z Boga, jesteś nieśmiertelny!

IX.

Na szare turnie cichy półmrok pada
I zwolna spływa po granitów zrębie,
Otula świerków rozweńnione stada,
Ściele po toni swe puchy gołębie.

Jakaś się chmurka ściera na skał zębie,
Wietrzyk tajemne wieści opowiada,
Seledynowe zasypiają głębie,
Nagich krzesanic zasypia gromada.

I oddech grani i oddech jeziora
W srebrne, powiewne, lekkie mgły się zmienia
Chcące oplątać duszę w swoje siłła.

Lecz do spoczynku ona dziś nie skora:
Zrywa się naprzód bez lęku i drżenia —
Widać, że nowe przybyły jej skrzydła.

X.

Żegnajcie wody! Z rozwartemi oczy,
Czujny, a świeży, duch mój precz ulata
Tam! gdzie się niebo ze szczytami brata,
Gdzie się lawina z hukiem gromów toczy.

Gdzie szumem kaskad groźny Twórca świata,
 Dech prabytowy, w wiecznych śniegach broczy —
 W promieniach życia albo w śmierci mroczy —,
 Tam płynie dusza, w moc i hart bogata.

Żegnajcie, wody! Wyżej! coraz wyżej
 Pójdzie — do niebios granic się przybliży,
 Przez skał urwiska, przepaściste lody,

Kogo tych waszych głębin wiew owionie:
 Taką ma siłę duch, co wasze tonie
 Wziął za mieszkanie — wielki duch swobody.

XI.

Ozwał się z dolin dzwon i po przestworze
 Srebrnymi dźwięki, jak po fali, płynie:
 W tej uroczystej wieczoru godzinie
 Pnie się po graniach, pełza po jeziorze.

Raz jeszcze dusza patrzy ku głębinie:
 W półśnie się modli głębia i w pokorze
 Turnie, opadłe na świerkowe łoże,
 W półśnie się modlą na ten dzwon w dolinie.

Wokół przenika jakieś tchnienie boże
 Tę kryształową wolności świątynię —
 Dusza od modłów wstrzymać się nie może:

Cała się w ciszę półsenną owinie
 I w uroczystym modli się wieczorze —
 Z dzwonem, co echem gdzieś w bezmiarach ginie...



II.

NA TEUFELSRUECKE.

I.

Czekamy słońca... Jedna wielka chmura
Świat pochłonęła i dżdzem w oczy bije
Wędrowcom, światła spragnionym; ponura
Mgła pierś nam ciśnie, chwyta nas za szyję,

Dreszcz wlewa w kości... Szarych kłębow góra
Zaległa przepaść, a wśród nich się wije
Z szumem i hukiem bielsza mgła... Wichura
Coraz to grubszy piętrzy wał i kryje

W dżdzystej kurzawie i tę bielszą wstęgę:
Huk tylko słyhać, syk i szum w mgle ciemnej,
Kłęb tylko widać za kłębem — bez końca.

Cóż nam rozwieje dzisiaj tę potęgę
Chmur kotłujących? Byłbyż trud daremny,
Co nas tu przywiódł?... Ach! czekamy słońca...

II.

Mgły z mgłami wiodą jakiś straszny taniec,
Hukiem i szumem mgła im w takt przygrywa;
W krąg cały przestwór — istny rozpasaniec —
Przy tej muzyce w krwawych płasach pływa.

Nic nam innego promienny kaganiec
 Nie wskaże dzisiaj? Patrz! patrz! mgieł przędziwa
 Rwą się — z ich głębin czarny, skalny szaniec
 Swoje potworne czoła wydobywa:

Wśród opoczystych ścian żelazne bramy,
 Nad niemi lufy armatnie »Witamy«
 Szepcą z otworów... I jeden i drugi

Zjawia się żołnierz, warowni obrońca...
 A tam odsłonia krzyż wilgotne smugi,
 W dżdżach wykąpany... Ach! czekamy słońca...

III.

.

III.

JUNGFRAU.

1.

Granitów srebrny zrab
w przewiewnych fioletach,
Na czole mając tkań,
sprzędzoną z śniegów mlecznych,
Pnie się w niebieską głąb
po mgieł sinawych grzbietach,
By symbol wiecznych trwań
i prawd strzelistych, wiecznych.

Nie wstrząśnie żaden grom
tą Jungfrau niebopienną,
Ni halny wicher, co bór
za jednym tnie zamachem:
Zaledwie lodu złom
gdzieś strąci w toń bezdenną,
Lub zwinne elfy gór,
kozice, przejmie strachem.

Tak stoi wieków wiek
ten prawd strzelistych, wiecznych
I wiecznych symbol trwań,
choć w przepaść gdzieś bezdenną

Grom strąca lodu zwał,
las ginie, gieraż kona.

Przy szumie kaskad, rzek,
w powodzi skier słonecznych
Tak przędzie sobie tkań promienną,
milczących pani skał,
ta Jungfrau niewzruszona.

II.

Wysłuchany w dźwięki dum,
płynących z cierpień harfy,
Z pragnieniem wiecznych prawd,
z wiecznego żądzą bytu
Manfredów idzie tłum,
gdzie Jungfrau z chmurnej szarfy
Śnieżysty przędzie haft
na skroniach swego szczytu.

Stały u jej stóp
prometejowe rzesze,
Z rozdartych leją łon
ból świata i ból własny:
»Gotuje-li nam grób,
czy z głazów swych wykrzesze
Niszczący wszelki skon
żywota promień jasny?«

Tak płynie z dźwiękiem harf,
które wiecznego bytu
I wiecznych żądzą prawd
Manfredów stroją rzesze,
Rozpacznych odgłos mąk,
pijących krew im z łona.

A Jungfrau z chmurnych szarf
na skroniach swego szczytu

Śnieżysty przedzie haft
i mgławki włos swój czesze
Na nieb bezbrzeżny krąg
i milczy, niewzruszona.

III.

Wiecznego trwania znak,
wiecznego symbol życia
Zarzucił mgławki kask
na promieniste oczy;
Kamienny ginie szlak
śród śnieżnych chmur pokrycia,
Słoneczny gaśnie blask,
co lśnił po grzbietach zboczy.

»Ledwie w połowie dróg!
Za stadem gniem bez drżenia
Biegliśmy, a tu lód
i mgły i wiew mogliły!
Kto zbawi, Czart czy Bóg?
o mocy Przeznaczenia!...«
Tak on Manfredów ród
w rozpaczy łka bezsilnej.

Zwolna się wieczny Byt,
znak wielkich prawd, z tej mroczy
Dobywa: chłodny blask
skał nagość opromienia...
Wędrowców zginął ślad...
tam nowe spieszą grona...

I strojna w śnieżny szczyt
i w wieńcu śnieżnych zboczy,
Zrzuciwszy chmurny kask,
z spokojem Przeznaczenia
W bezkresny patrzy świat
ta Jungfrau niewzruszona...



IV.

NA LODOWCACH ALETSCHU.

I.

Śniegu i lodu srebrzyste bezmiary,
Wśród nich, jak wyspy, straszne sterczą złomy;
W górze niebieskich kryształów ogromy,
Rozpłomienione słonecznymi żary.

Fioletowe zniknęły opary —
I wzrok nasz, cudów przedwieku łakomy,
Ma tuż w nagości dziewiczej widomy
Znak bożej siły, źródło wielkiej wiary.

I z ciał tych naszych, zawisłych bezwładnie
Na opoczystych urwiskach, ulata
Duch, zachwycony, nad śnieżne przestworze —

Nad czarne szczyty, śmiejące się zdradnie
Obliczem z lodu, i klęka w pokorze
Gdzieś przed nieznanem źródłem tego świata.

II.

Milczący szliśmy zamarzłym dunajem,
W skok przekraczając kotliny bezdenne,

Bramice śmierci dla człeka, promienne
Wrótnie żywota dla tych sił, co wzajem

Zwalczają siebie, wieczyste a plenne
W zmian nieskończoność. Nad tych lodów krajem,
Nad tą kuźnicą, drzemią szczyty senne,
Ciche, błyszczące. I my błędni stajem

Z dziwu i słuch nasz tężymy w tej ciszy
Głębie niezmierne. I patrz! duch nasz słyszy
Onego Ducha, co miał moc, by w tummy,

Nieb sięgające, pospiętrzać opoki...
Strach!... Czy nie zerwą dziś się jego szумы,
By świat ten wkoło zwalić, strącić w mroki?!...

III.

Z poza gór czarnych, z za śnieżnych przełęczy
Szum dolatuje: O lodów pokłady,
O skalne zręby łamią się kaskady,
A tam! — lawina głuchym hukiem jęczy.

Ach! szum ten duszę przygniata i męczy:
Nie zwykła ona chadzać tymi ślady...
Lecz patrz! u stóp się macierzanka wdzięczy
W mchach, których głaźne nie pocięły grady.

A tu — rumianek naszych pól... I z drogi
Strasliwej grozy, przejmującej trwogi
Dusza na skrzydłach znużonych uchodzi

W kraj łąk i lasów rodzinnych. Lecz błogi
Sen rychło rzuca i wraz z Śmiercią brodzi
W kaskad, przepadlisk i lawin powodzi.



V.

ZE SZCZYTU EGGISHORNU.

1.

Zrzuć cielesne z siebie brzemię,
odsłoń wzrok z śmiertelnych błon
I patrz, duszo: w śniegach białych
to nie głaźny sterczy mur,
To przedwiecznych piewców plemię
niezdobyty ma tu schron,
To druidów skamieniałych
spoczął tu olbrzymi chór.

W promienistym dyademie,
zasłuchany w boży dzwon,
Który w plazmach sił ospałych
budzi czujny życia wzór,
Z niebiosami łącząc ziemię,
wieki tutaj duma On,
W płaszczach z lodu okazałych,
w wieńcu z blasków albo chmur.

I, zakłęte w te przestworza,
szumi ciągle z dawnych lat
Echo hymnów eonicznych,
które chór ten w bezkres siał,

Gdy z pierwocin wstawał łoża
mnogokształtny, rojny świat.

Płynny dźwięk tych tchów rytmicznych
niemym jest dla ludzkich ciał:
Ty, ma duszo, córko boża,
żeś się zbyła ziemskich szat,
W tych milczeniach ustawicznych
czujesz wielkich głosów zwał:

II.

Chwała-ć, Duchu, jasny, święty!
chwała dziś i w przyszły czas,
Iżeś przebił mrok chaosu
i słoneczny stawił gród;
Iżeś wniknął w mgieł odměty,
wywiódł z nich i śnieg i gład,
Zieleń drzewa, miękkość wrzосу,
zapach róż i błękit wód.

Że do swego przez Cię losu
jest przykuty wszelki płód,
Żeś dał gwiazdom obieg kręty,
horyzontom zorzy pas,
Żeś użyczył burzom głosu,
grom zlał z błyskiem w jeden cud,
Że z żywota skon poczęty
zmieniasz w żywot, pełen kras.

Ale w tem jest dziw nad dziwy,
że rozdrabniasz własny byt
Na cząsteczek miliony,
wprawiające wszechświat w ruch,
Ach! a wszędzie — w ziołach niwy,
pośród fal i skalnych płyt,

W płazach, w wierchach, w duszy onój,
co w hymn bliźni wszystkim słuch

Wyteżyła w kształt cięciwy,
 jesteś, niby szczytów szczyt,
 Jeden, cały, niezdrobniony —
 jeden Wszechświat, jeden Duch!...

III.

Tak przedwiecznych ech kapele,
 tak melodye pierwszych tchów
 Rozlewają się w bezmiarze,
 jak brzęczące roje pszczół...
 Naodziani w śnieżne biele,
 w blaskach lodu wkoło głów,
 Przysłuchują się pieśniarze,
 wśród zaklętych drzemiac kół.

Matterhorny, Miszabele
 chłoną dźwięki własnych słów,
 Aletsch, Eiger z Mnichem w parze —
 duch ich ciała w jedno skuł —,
 Jungfrau, pierwsza w tym kościele,
 w którym spoczął wieczny huf,
 Finsteraarhorn w groźnym czarze,
 wpół w gleczerach, we mgłach wpół.

Słucha dusza i w tych dumach
 rozpoznaje hejnał swój,
 Którym brzmiała przed wiekami,
 gdy ją boży wywiódł dech,
 Aby mknęła w bratnich tłumach
 na życiowy, wieczny bój...

I Maerjelen z lodu krami,
 jak demonów zimny śmiech,
 I, wśród lasów, w cichych szumach
 harmonijny tocząc zdrój,
 Słucha Rodan, wraz z lasami,
 tajemniczych, świętych ech...



VI.

JEZIORO MAERJELEN.

I.

Z szczytu patrzyłem na twe zimne tonie,
Na nieruchomą zieleń twych przezroczy,
Lśniących, jak szmaragd, w olbrzymiej koronie
Wierchów lodowych i piarżystych zboczy.

O Maerjelen! Niebo wokrag płonie,
Całe w ozdobie płomiennych warkoczy,
A na błękitnym twych głębin wygonie
Stado kier białych w cichej fali broczy.

Na Wyspie Zmarłych snąć jest kryształ taki,
Gdzie dusze, wzięwszy rozbrat z znojną ziemią,
Zmywają z siebie doczesność i potem,

Wielkich tajemnic przeniknąwszy szlaki,
Dla ciał zamknięte, jak łabędzie drzemią,
Oszołomione swym nowym żywotem.

II.

Przedziwna cisza... Ni wiew nie zawionie,
Żwir się po graniach czarniawych nie stoczy,
Śnieg w tę spokoju milczącą harmonię
Z hukiem z swej paszczy nie wypadnie smoczéj.

Czułem, że skryta gdzieś w przestworów łonie
Śmierć, na twej tafli magicznymi oczy
Spoczywająca, i me ciepłe skronie
Otula zwolna chłodem swych zamroczy.

I zdało mi się, że to ziemskie życie,
Kiedym tak patrzył w twe nieme zwierciadło,
Niby strzęp jaki ze mnie już opadło,

Żem jedną z kier tych, co na twojej płycie,
Od gleczerowych urwane wybrzeży,
Śnią w swojej czystej, nieśmiertelnej śnieży.

III.

O niepojęta przemiano! o skonie,
Coś nie jest skonem, lecz pełnią ochoczęj
Radości bytu, w jasnym regionie
Praw odgadnionych, w sferach nadobłoczny.

Dusza człowieka, niby serce w dzwonie,
W tobie, Niedzieli Wielkiej dniu uroczy,
W którym Wieczystość zasiada na tronie,
Dźwięki swych pragnień najskrytszych jednoczy.

Wszakże, gdy szczęście rozpała nam czoło,
Gdy w upojeniu wołamy zwodniczem
Głośne »Evoe« dla żądzy doczesnej,

Zjawia się nagle w szalejące koło,
Z okiem przecucia, z tęsknoty obliczem
Śmierć, wabiąc duszę w swój Eden bezkresny.

IV.

Głębie przestworu w błękitnej oponie —
Ni jednej chmurki wędrowiec nie zoczy;
Słońce, wpatrzona w to ciszy ustronie,
Snać swego kręgu z miejsca nie potoczy.

Rajską za sobą wiodąc eudemonię,
Niezmierną dałą ciężka senność kroczy:
Lodowe szczyty śnią na nieboskłonie,
Bór nadrodański śni w fioletów mroczy.

Tajemnym blaskiem Maerjelen się mieni,
Gładkie, milczące, ujęte, jak w ramy,
W skał i gleczeru spadziste krawędzie...

Dusza się kąpie w lustrzanej zieleni,
A kry te białe, bez skazy, bez plamy,
Drzemią, jak śnieżne, uśpione łabędzie.



VII.

SZLAKIEM SYMPLOŃSKIEJ DROGI.

1.

Szlakiem symplońskiej drogi,
po żwirów siwej wstędze,
Snującej się krawędzią
przepastnych, stromych ścian,
Płomienny rozlew słońca
w łyskliwej swej potędze
Pod stopy się nam ściele,
jak dywan, srebrem tkan.

Nad nami Mont' Leone,
w iskrzystą strojny przędzę,
Majestatycznie władnie,
niby cesarski pan,
Co imię swe na wieki
zapisał w bytów księdze,
Opancerzony grozą,
blaskami chwały zlan.

Jest-li w nim ludzkie życie,
w tym dumnym Mont' Leone,
Zakłęte czarów mocą
w rozsiadły kolos skał,

Że tak spogląda na nas,
jakby nas przygnieść chciał?

Jest-li w nim ludzkie życie,
że tak w wędrowców stronę
Szele po wierzchołkach lasów
dreszcz wlewający szum,
Jak echo zbrojnych dum?

II.

Żrenice mgłą zachodzą,
w ten straszny szczyt wpatrzone:
To nie kopuła śniegu,
to już nie martwy głaz —
Jak tytan, świat walący,
ruszył się Mont' Leone,
A za nim płynną rzeką
ciemny się ruszył las.

Na czole spochmurniałem
zwycięzcy ma koronę;
Rubiny krwi w niej błyszczą
słonecznych tęczą kras,
I skrzydła lśnią u ramion,
rozwarłe, rozpierzone,
Nad legią, co załała,
symplońskiej drogi pas...

Powiewa szmat proporców,
radośnie grzmia fanfary;
Wojenna nuta płynie
nakształt dźwięczących fal —
Z mosiężnych surm klangorem
w błękitną płynie dal.

Sam tylko wódz milczący;
utopił wzrok w bezmiary

I sunie, zadumany,
na czele wiernych sług
Ten bitew wielki bóg...

III.

Dlaczego w nim źreniczne
przygasły dzisiaj żary?
Wesele jego wojów
dlaczego ma w nim grób?
Wszakże podważył ziemię,
porządek zburzył stary,
Połowę świata rzucił
do swych kamiennych stóp!?

Wszak spieszy jego pycha
po świeże znów ofiary?
Z pożogi i posoki
wyniesie świeży łup!
Wszak pić on dziś nie idzie
z hańby piołunnej czary,
Lecz z sławą promienistą
wieczny zawierać ślub?...

Rycerski duch ludzkości,
który zapładniał wieki,
Który sam jeden stawiał
i walił kościół swój,
W nim znalazł znów wcielenie,
wystąpił w nim na bój...

Więc czemu, gdy tak w przestwór
zapatrzył się daleki,
Nie uśmiech go rozjaśnia,
lecz smutku mrok swą dłoń
Kładzie na jego skroń?...

IV.

Grzmi, huczy tłum wojenny,
jak huczą grzmiące rzeki,
Kaskadą spadające
z szczytów symplonńskich gór;
Sam tylko wódz oniemiał,
rozwarłszy dwie powieki
Nad szklaną ócz martwością,
jak konający tur.

Czyżby przeczuwał dzisiaj,
że nowe krwi rozcieki
Przemienią w żal i jęki
ten tryumfalny chór?
Że świat z pod jego groźnej
wrywa się opieki,
Że ludom gdzieś prześwieca
innego bytu wzór?

Że inny duch ogłosi
ludzkości swe orędzie,
Nie ten, co w ręku dzierży
rozpłomieniony miecz;
Że imię jego: Miłość,
a hasło: »koj i lecz!...«

Że ludzkość, pobratana,
okalać już nie będzie
Światłością swojej glori,
jak za ginących dni,
Siewaczy łun i krwi?

V.

Raz jeszcze on narodom
narzuci się na sędzie,
By rozciąć węzeł dziejów
przy huku dział i kul;

Raz jeszcze w swym pochodzie,
w szalonych burz rozpędzie,
Zdruzgocze miast bramice,
stratuje zasiew pól.

Raz jeszcze spieszy k'niemu
na krwawej szukać grzędzie
Wrzosów ze zbawczym miodem
zgnębionych rojny ul.
A potem — czyż przeczuwa,
że mrok już sieć swą przedzie,
Że padnie w niej, jak nędzarz,
ten wszechpotężny król?

Zapatrzył się bóg wojny
w dalekie gdzieś przestwory...
To nie słoneczne blaski!
To jakby chmurny śnieg!
A środkiem straszna rzeka
znaczy swój zmarzły bieg.

A tylko tam, gdzie zmierzchy
swe mgławce kreślą tory,
Jak gdyby — nie dla niego! —
jęły się płonąć już
Przebłyski nowych zórz!...

VI.

W powietrzu się rozwiały
dzwoniących surm klangory —
Rozwiały się na zawsze...
Darmo wyteżasz słuch...
Na darmo wzrok wyteżasz:
tłum zginał różnowzory
I wódz się w mgłę rozplynał,
co wiódł ten zbrojny ruch.

W ciała wędrowców wrócił
duch, do rozmarzeń skory,
Urokiem chwał umarłych
tak przepojony duch...
I tylko Mont' Leone,
owity w ciemne bory,
Skrzy się w promieniach słońca,
w śnieżysty strojny puch.

W dali Aletschu wstęga,
w sinawe ścięta lody;
Naokół pasma szczytów
drzemią w błękitnych mgłach;
Nad nimi strop niebieski
rozpiął lazurów dach.

Z gardzieli skalnych lecą
siklawic huczne wody,
A przy nich cicho szepce
roztęskniający wtór
Szumny symploński bór.



VIII.

NA JEZIORACH WŁOSKICH.

I.

Cicho pobrzmiewa po jeziornej toni
Melodya światel w przesłoniętą mgłami
Dal, co nad wodą tak się wiewnie kłoni,
Jakby całować ją chciała... Przed nami
Niebo w promiennej z głębiną harmonii:
Zlewa się, stapia, zestraja dźwiękami
Barw swych i błysków tęczowej urody
Z każdą kropelką, z każdym nurtem wody.

Cicho płyniemy w marzeń dal — bez końca...
Cicho płyniemy w zadumań ogrody...
Z takiej to fali i z takiego słońca
Wyszła, miłośne światu sprawiacz gody,
Jasnością włosów złocistych okryta,
Rozpromieniona, naga Afrodyta.

II.

Z takiego żaru i z takiej przezroczy
Kształt się urodził niewieściego ciała,
Co w sobie lilie z różami jednoczy
I wonią dyszy i rozkwiciem pała
I, lazururowe otwierając oczy,

Topi w ich głębiach, jak ta toń wspaniała,
Wszystkie świetliste czary szczęsnej ziemi,
Oślepiające skry siedmiobarwnemi.

A gdy rozchyli miękkich ust korale,
Głos z nich płynący twą duszę oniemi:
Zmilknie w tym słodkim zastuchania szale
I, głodna szeptu, który tchy ciepłemi
Na twarzy nieci rozkoszy wypieki,
Jego-by tylko chciała słuchać wieki.

III.

Z takich rozemdleń szklistego jeziora,
Z takiego blasków słonecznych rozgrania
Wyszła bogini, jak poranku pora,
Kiedy się ze mgły rosistej wyłania —
Wyszła cudniejsza, niżeli Aurora,
I, cała z żądz, z tęsknoty kochania,
Biegła na uścisk czekać Anchizowy
Do ocienionej, szumiącej dąbrowy.

Na mchy tu świeże ta piękna upadnie...
Z okiem przymkniętem, z ramieniem u głowy
Rzeźbiona nagość spoczywa bezwładnie,
Mając na wargach półuśmiech różowy,
Aż »on« swą miłość z jej miłością splecie
W wielkiej, jedynej rozkoszy na świecie...

IV.

Cicho płyniemy kryształów głębiną,
Odbijającą niebieskie lazury...
Granice wody i nieba gdzieś giną
Śród mgieł powiewnej, a przejrzystej chmury,
Co dał zasnuwa w przędzę srebrno-siną.
Po brzegach siedzą zadumane góry,
A na ich piersiach jasny puch zieleni
W złotem się słońcu, jak aksamit, mieni.

Od gór tych wonne tchnienie ciszy wieje;
 Omdląła senność, rozlana w przestrzeni,
 Ogarnia ducha, że duch senny mdleje:
 Naokół słodki, dźwięczny głos syreni
 Upajającą pieśń blasków wydzwania
 O szczęśliwości, co idzie z kochania.

V.

O szczęśliwości, co w zakątek głuchy,
 Zdała od krzyków i zabiegów świata,
 Znosi rozmarzeń najwiewniejsze puchy
 I z nich dla siebie ciche gniazdo splata
 I, zleniwiła łożywszy ruchy,
 Śpi, obojętna, że tam gdzieś Zatrata
 Bierze się z Życiem za bary, że jęki,
 Mnogie, jak trawy, rosną z pod jej ręki.

A tylko czasem, gdy w gmach jej spokoju
 Przedrą się z zewnątrz nazbyt głośne szczęki,
 Echa uderzeń broni, echa boju,
 Co na krwi łanie trwożne rodzi lęki,
 Wstaje, zdziwiona, i z rozpaczną mocą
 Rzuca pytanie w okrąg: poco?!... poco??...

VI.

Poco się zrywać w spienione odmęty
 Walki, wszczynanej o tysiączne złudy,
 Które prawdami zwie ten świat, przejęty
 Kłamstwem i fałszem? Poco siać swe trudy
 Na jego roli, gdzie niepewne sprzęty,
 A jeśli wszędzie jaki krzew, to wprzód,
 Nim się rozwinie, nienawiść go zsiecze,
 Przenikająca wszystkie chęci człecze?!

Rozstrój swe drogi po tych polach znaczy,
 A za nim słabość i wąłość się wlecze;
 Upiór zwątpienia i widmo rozpaczy

Swą bezlitośną rozciągają pieczę
Nad owem sercem, co się w wir tej burzy,
Jak ptak w gradowe obłoki, zanurzy...

VII.

Legie roboczych starły już swe moce,
Spiesząc na zagon nieuchwytnych rojeń;
Krew się polała, padły łzy sieroce,
A chwasty rosna na miejscu uznojeń
I tylko wiecznie ta gwiazda migoce,
Co, mając w sobie jak gdyby upojeń
Tęgość trującą, pcha wciąż nowe siły
Za swymi błyski na kraniec mogiły.

Oblany ogniem niezdrowych rumieńców,
Jak liść, z topoli opadły, przegniły,
Długie już wieki leci tłum szaleńców,
Ginąc po drodze, którą mroki śmiły,
Choć mu się zdaje, że przed nim bez końca
Smug swój rozwija złota jasność słońca.

VIII.

Na co po grobach spieszyć do kościoła,
Który obrazem jest fatamorgany,
Kiedy nas miłość w swój przybytek woła,
Na fundamencie pewnym zbudowany!
Kolumnadami opasan dokoła,
Kararyjskimi gmach ten błyszczą ściany,
Kwiatów wzorzystych girlandą owity,
W fali, patrz! kąpie swoje greckie szczyty!

Rozczarowania na co i boleści
Szukać gdzieś w sferze, chmurami zakrytej,
Kiedy nadziei spełnienie się mieści
W drżących objęciach jasnej Afrodyty?
Na co szturmować, gdzie kłam zasiadł w gości,
Gdy wszystka prawda jest tylko w miłości?

IX.

W tem na obliczu wypalonem piętnie —
 Żywych rumieńców jedwabnej purpurze, —
 W tych ciepłych wargach, chylących namiętnie
 Do pocałunków swe rozkwitłe róże;
 W tem przyspieszonym, urywanem tętnie
 Dwóch żądz, grających w nieskłóconym chórze —
 W ciał rozkochanych przedziwnej harmonii
 Szczęście i prawda jedyna się chroni.

A gdy pod tchnieniem miłosnego żaru
 Oko swój ogień powieką przysłoni,
 Omdlewającą z rozkoszy nadmiaru,
 Nie pomrok dusze zatapia w swej toni,
 Tylko ta cicha, rozmarzona senność
 W rajów nieznanych wie dzie je promiennosc.

X.

O pieśni ciała! O porywająca
 Pijanych tobą na szału krawędzie!
 Jest coś w twych dźwiękach z letniego gorąca,
 Gdy ten swój lazur nad ziemią rozprzędzie!
 Śród rozegranych akordów tysiąca
 Masz tony, miękkie, jak puchy łabędzie,
 Masz brzmienia, słodkie, jak oddech pieśczo ty
 Dwóch żądz, złączonych namiętnymi sploty...

Błogosławiony, kto ciebie usłyszy,
 O pieśni oczu, gasnących z tęsknoty,
 Ust, odrętwiałych w pożądania ciszy,
 Ramion i piersi!... Rajski hymnie złoty!
 Tak odbijają szczęśliwość twe głosy,
 Jak ta głęбина odbija niebiosy!

XI.

Cicho nasz statek jasne wody kraje...
 Cicho pobrzmiwa zdradni śpiew syreni...

Po brzegach świecą cytrynowe gaje
I wille świecą w złocistej zieleni...
Czasem przed nami ciemny cyprys staje,
Lub gdzieś na gzemście róża się czerwieni,
Albo z pod łuku marmurowej bieli
Krzew oleandru karminem wystrzeli.

Jaki tu spokój! Ludzie czyż wymarli?
Lub czy też bramy z błękitnej topieli
Wyrosłych zamków na wieki zawarli
Przed wwarem świata? Czyżby wyjść nie śmieli
Z trwogi, że rozdźwięk skądkolwiek przyptynie
W te ich zakłète miłości świątynie?

XII.

Grają miliony blasków po jeziorze,
Odbijającym niebieskie lazury...
Cicho nasz statek jasne wody porze,
To chaty mija, oparte o góry,
Po skał krawędziach wiszące w przestworze,
To w skrach skąpane pałaców marmury...
Przybił do brzegu... Na pomost przystanka
Wyszła i czeka jednej z will mieszkanka.

Płyniemy dalej... A skrzęciami oczy
Patrzy za nami ta piękna niebianka,
Ściga nasz statek po wody przezroczy...
Czyż on jej może przywieść miał kochanka?
Płyniemy dalej w tę głębię promieni,
W której pobrzmiwa zdradny śpiew syreni...



2

Z TATR

I.

WIATR GNIE SIEROCE SMREKI...

Wiatr gnie sieroce smreki,
W okna mi deszczem siecze;
Cicho się moja dusza
Po mgławych drogach wlecze.

Ku turniom płynie krzesanym,
Ku ścieżkom nad przepaściami,
Gdzie widmo bożych tajemnic
Zmaga się w szumach z nami.

Ku wirchom dąży strzelistym,
Spowitym w słoneczne złota,
Gdzie o bezbrzeżnych przestrzeniach
Samotna śni tęsknota.

Wiatr gnie sieroce smreki,
Mgławica deszczem prószy...
Hej góry! zakłète góry!
Tęsknico mojej duszy!



II.

NA SZCZYCIE.

Na krawędzie przepaści, ponad turnie załomy,
Tu, gdzie orły jedynie tulą skrzydła znużone,
Hej! wspięliśmy się dumnie i w błękitów ogromy
Wzrok topimy zuchwały i dłoń wznosim po słońca koronę.

Dla olbrzymów te szczyty, a dla karłów poziomy!
Gardźmy płazem, co nie śmie nawet spojrzeć w tę stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych widomy,
Zakochajmy się w sobie! wszak jesteśmy, jak blaski wcielone!

Tak nam duszę rozpiera tężna szczytu ponęta
Tem szaleństwem radości, że zrywamy już pęta,
Co nas łączą z brzemieniem nędz padolnych, tak wczoraj
[odczutem...

A od nizin, zasłanych pobitemi zbożami,
Po sinawej mgieł fali płynie powiew za nami,
Jakby echo jęklive, i do serca się wkrada wyrzutem...



III.

ORZEŁ.

Królewski, dumny ptak
w majestatycznej pysze
Na turniach uwił tron,
skrzęsanych ręką burzy:
Stąd, w słońca lecąc szlak,
w błękitach się kołysz, e,
Przecina niebios skłón,
lub w chmurach się zanurzy.

Ziemia w pogardzie dlań,
w granice zwarta ciasne!
W nieskończoności głąb
na zawsze snąć się rzuci...
Już traci z ócz swą grań,
z ócz traci gniazdo własne,
Na ten skalisty zrab
snąć nigdy już nie wróci!

Leć, duszo, za nim w ślad
z uwielbień skrå w źrenicy!...
Cóż to?... Rozpaczny ból
powietrze krzykiem trwoży?...
To orzeł z wyżyn spadł
i wpił się w kark kozicy!...

Popłynął krwawy źródł
po śniegów runi świeżej...
Ha! ten obłoków król,
słonecznych pan przestworzy,
Żyje, jak zwykły zbój,
i z mordu i grabieży...



IV.

W CIEMNYCH SMRECZYNACH.

W Ciemnych Smreczynach rośnie krzew paproci,
Co taką siłą przyciąga z swej mroczy,
Że kto raz tylko w swem życiu go zoczy,
Już się na zawsze ku niemu zochoci.

Tu słuchać będzie, jak się kamień toczy
Po graniach, strasznych, choć je słońce złoci,
Jak puszcza wzdycha, jak od wieków kroci
Bierze sikława swe szumy z przezroczy

Zaklętych stawów... A gdy los mu wzbroni
Zawitać żywym w ten zaciszny, głuchy
Schron ech przedwiecznych, gdy z tęsknoty skona,

Wówczas duch jego do Smreczyn pogoni
I, zmienion w paproć, będzie wabił duchy
Do tajemniczych rozkoszowań łona.



V.

WIATR HALNY.

I.

Huczy nademną halny wiatr... Daleki
Wprzód mnie dochodzi szum i świst, a potem
Z jakimś pogwarem, trzaskiem i łomotem
Ciężar się kładzie na wysmukłe smreki.

Od razu kłody o grubości snopów
Gną się w mych oczach, jak źdźbła lichej słomy:
Tak igra niemi głuchy, niewidomy
Gość, co od skalnych wlecze się przekopów.

Idę, wciąż idę, po jęczącym borze...
I choć spotykam pnie, wyrwane z ziemi,
Ten szął, w błękitnym zbudzony przestworze,

By giąć i walić, strachu mi nie wlewa
Do głębi wnętrza: Radbym siły swemi
Zmierzyć się z wichrem, jak te wielkie drzewa.

II.

Miałem-ci w sobie ongi moc czuwania,
A dzisiaj senność ogarnia mi ducha:
Gdzie życie wrzało, tam dziś pustka głucha,
Gdzie słońce było, chmura blask przysłania.

Jakowaś boleść, jakaś zawierucha,
Co słabym bytom pewną śmierć wydzwania,
Niech, jak halnego wiatru straszne grania,
Wstrząśnie istotą moją: Jest-li krucha,

To po niej żalu nie będzie... A jeśli
Nieprzełamana wyjdzie z tych zapasów,
To razem z wichrem taki szlak zakreśli,

Że zetnie na nim smreki swym oddechem,
Się pozbawione dla idących czasów,
A to, co mocne, odpowie jej echem.

III.

O wichrze halny! Cóż, że przelękniona
Chowa się koza przed twojej potęgi
Wiewem niszczącym? Sam orzeł, co kręgi
Toczy podniebne, tuli się do łona

Szczelin turniowych, bo królewskich skrzydeł
Jędrna rozpiętość nie wytrzyma próby...
Strącaj kozice, ty posłańcze zguby,
I orły chwytaj w oka swoich sideł

I miażdż o skały, i, jak łan, pokosem
Bór położywszy, hucz szaleńczym głosem —
Razem z mą duszą hucz i świszcz radośnie:

Cóż, że z ginących strumień krwi popłynął?
Wszak niema szczęścia tam, gdzie życie rośnie!
Niech świat przepada, na to on, by zginął!...

IV.

Huczyna nademną halny wiatr... Na drogi
Jego przemocy, po których Zagłada
I Ból pospiesza, duch się mój wykrada,
Świeżo uskrzydłony, żądny łez i trwogi.

A od hal bujnych płynie jęk złowrogi —
Rozpacz łkająca, że wicher pobił stada
I porozrzucił koleby... I błada,
Z włosiem rozwianym i z drżącemi nogi,

Postać juhasa przed oczy mi stanie...
I, niby orzeł z podciętemi pióry,
Krwia skrapiający swe rodzime granie,

Duch mój do smreków tuli się bezwładnie...
I naprzód czuje strach i żal ponury,
A potem znowu — senność go opadnie...



VI.

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY W CIEMNYCH SMRECZYNACH.

I.

W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska.

U stóp mu bujne rosą trawy,
Bokiem się piętrzy turnia ślizka,
Kosodrzewiny węzowiska
Poobszywały głężne ławy...

Samotny, senny, zadumany,
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,
A tylko limba próchniejąca
Spoczywa obok krzaku róży.

II.

Słońce w niebieskim lśni kryształe,
Światłością stały się granity,
Ciemnosmreczyński las spowity
W błado-błękitne, wiewne fale.

Szumna sikława mknie po skale,
 Pas rozwijając srebrnolity,
 A przez mgły idą, przez błękity,
 Jakby wzdychania, jakby żale.

W skrytych załomach, w cichym schronie,
 Między graniami w słońcu płonie,
 Zatopion w szum, krzak dzikiej róży...

Do ścian się tuli, jakby we śnie,
 A obok limbę toczą pleśnie,
 Limbę, zwałoną tchnieniem burzy.

III.

Lęki! wzdychania! rozżalenia,
 Przenikające nieświadomy
 Bezmiar powietrza!... Hen! na złomy,
 Na blaski turnic, na ich cienia

Stado się kozic rozprzestrzenia;
 Nadziemskich lotów ptak łakomy
 Rozwija skrzydeł swych ogromy,
 Świstak gdzieś świszczę z pod kamienia.

A między zielska i wykroty,
 Jak lęk, jak żal, jak dech tęsknoty,
 Wtulił się krzak tej dzikiej róży.

Przy nim, ofiara ach! zamieci,
 Czerwonem próchnem limba świeci,
 Na wznak rzucona świstem burzy...

IV.

O rozżalenia! o wzdychania!
 O tajemnicze, dziwne lęki!...
 Ziół zapachniały świeże pęki
 Od niw liptowskich, od Krywania.

W dali echowe słycać grania:
Jakby nie z tego świata dźwięki
Płyną po rosie, co hal miękki
Aksamit w wilgną biel osłania.

W seledyn stroją się niebiosy,
Wilgotna biel wieczornej rosy
Błyszczący na kwieciu dzikiej róży.

A cichy powiew kroplę strąca
Na limbę, co tam próchniejąca
Leży, zwalona wiewem burzy...



VII.

CISZA WIECZORNA.

I.

Rozmiłowana, roz tęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po regłach muśnie li przelotem,
Czoło Świnnicy w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali,
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

II.

Płonie kamienna Tatr korona,
A cisza siada między granie,
Rozleniwiła, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesz zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigającą wieki... wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człeczce...

III.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze, załęknioma,
Przyklada ucho swe do ziemi:

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok ogarnia skalne ławy,
A od nich płynie do stóp ciszy
Li jednostajny szmer sikławy.

Czasem zakłęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I zmilkł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przełękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

IV.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po hałach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szklivy, jak przędze te pajęczce;
Blask żenie srebrny na gęstwiny.

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wirchy, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręczce —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

v.

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rozpostarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławce smugi —,
Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa,
Aż w tym bezkresie wyczerpania,

Tuląc się gdzieś do limby drzewa,
Sama wraz z bołem twym omdlewa...



VIII

TANIEC ZBÓJNICKI

Baco nasz! Baco nasz!
Dobrych chłopców na zbój masz!
A nasze ciupagi
Cięższe, niż ten nagi,
Biały pałasz wraży
Orawskich husarzy! Hej!

Baco nasz! Baco nasz!
Dobrych chłopców na zbój masz!
Dobrzy chłopcy w domu nie usiedzą,
Pomkną lasem, pomkną skalną miedzą,
Do bielonej polecą Orawy
Na biesiady, na krwawe zabawy,
W ślady za orłami
Polecą turniami,
Z wyostrzoną bronią
Kozice przegonią! Hej!

Ani my porteczek, ani my cużeczki,
Kiej wypasać musim te cudze owieczki,
A hań! za wirchami, za naszymi hory
Pełne złota, srebra śpichrze i komory!
Hań! o d m i e r z o w a j ą dukaty na beczki,
Kiej my ni porteczek, ani też cużeczki!
Hejże, chłopcy, hej!
Z wirchów, ha! i kniej!

Za bukowy las,
Za bór jaworowy,
Hań-ci czeka nas
Pieniążek gotowy —
Na cużeczki,
Na porteczki
Złota, srebra w bród!

Hejże, chłopcy, hej!
Z wirchów, ha! i kniej!
Wyszły na polany
Liptowskie barany:
Do liptowskich trzód
Kany droga? Kany?
Kany idzie perć —
Przez życie czy śmierć?...
Z buczaka na pniaka
Z jedliczki na smrek,
To droga junaka,
To-ci jego bieg!
Wirszyczkami,
Turniczkami
Idzie jego perć
Na życie, czy śmierć! Hej!

* * *

Hej-że, chłopcy, hej!
Z wirchów, ha! i kniej!
Już w dolinach ptacy pieją,
Już się buczki zielenieją,
Na Świnnicy, na Zawracie,
Naszym zamku, naszej chacie,
Biały śnieżek ginie!
Poza buczki, poza las!

Aż śle b o d n y znajdziem czas
W uherskiej dziedzinie!

* * *

A ty, frajereczko,
Nie żoruj tak wiele!
Powrócim do domu,
Sprawim ci wesele.
Przy srebrnym miesiączku,
Przy złotej zorzycy
Pohulają z tobą
Junacy, zbójnicy.
Pohulają z tobą
Orłowie, sokoli,
Oddasz im wianeczek,
Główka cię zaboli.
Przy szumnym Porońcu,
Dunajcowej fali,
Oddasz im warkoczyk,
Serce się rozżali:
W malinowym gaju,
Hań! w limbowym lesie
Wietrzyk żałość twoją
Rozwieje, rozniesie!
Niech serce-ć nie płacze,
Niech nie boli głowa:
Dla ciebie w Koszycach
Żyd korale chowa;
Miszkołackie kupcy
Mają aksamity
I jedwab mięciutki,
Kozuszkciem podbity.
Zlecim do Budzina,
Spadniem do Orawy
Po białe talarki,
Po dukacik krwawy!
Sądeckiego piwa

I krakowskiej wódki
Przyniesiem na żałość,
Na te twoje smutki.
Nie bywaj tak luta,
Nie bywaj tak rzewna:
Kolebkę urobim
Z zamorskiego drewna,
A na krańce świata
Powędrują nóżki,
By ci trusie piórka
Przynieść na poduszki —
Hej!

Hej-że, chłopcy, hej!
Z wirchów, hal i kniej!
Poza buczki, poza haść,
Pójdziem, chłopcy, zbijać, kraść,
Pójdziem w orli szlak! Hej!
Posiejemy strach! Hej!
Zatrwoży się Lach,
Liptak skrzydła stuli,
Jak trafion od kuli
Ścierwożerczy ptak!
Zagrzmim, jak siklawy,
Spadniem do Orawy,
Zaszumim, jak las,
Peszt usłyszcy nas!
Hej, nie żoruj, matko miła,
Kiedyś po to nas zrodziła,
Ażeby za nami
Grzmiano strzelbiczkami!
Hej, nie lutuj, ojczy nasz,
Że nas, synów, po to masz,
Ażeby za nami
Szumiano szablami!
A wy, bracia, bratowie,
I po waszej też głowie:

Przy orawskim murze
Zawiśnie na sznurze,
W podwórku, w Kubinie
Od toporca zginie,
Na wiśnickiej wieży,
Jak gnój się uleży —
Hej!

Poza buczki, poza haść,
Hej-że, chłopcy, zbijać, kraść,
Wirszyczkami,
Turniczkami,
Zielonymi upłazami! Hej!
Sam Janosik nas powiedzie
Z pałaszem na przedzie!
Wirszyczkami,
Turniczkami,
Za orłami,
Kozicami,
Od krzaka do krzaka,
Z buczaka na pniaka:
Z niejednego pana
Zrobimy żebraka! Hej!

A jak przejdzie drogą
Nagi, z bosą nogą,
Wygłodniały »swój«,
Zna-ci zakon zbój:
Sukna da na cuhę —
A będzie-ć to sztuczka
Od buczka do buczka —,
Kończ za pazuchę,
Na kierpec talara,
Bo to nasza wiara,
To nasz prawy brach!

Hej-że, chłopcy, hej!
Z wirchów, hal i kniej!

Potokami,
Jeziorami,
Wirszyczkami,
Turniczkami,
Za orłami,
Kozicami,
Od krzaka do krzaka,
Z buczaka na pniaka!
Posiejemy strach! Hej!
Zatrwoży się Lach! Hej!
Liptak skrzydła stuli,
Jak trafion od kuli
Ścierwożerczy ptak,
Gdy nas w orli szlak,
Z pałaszem na przedzie,
Janosik powiedzie!
Ach!
Dziś nam tonąć w łzach:
Janosik nie żyje,
Czarny dół go kryje,
A pałasz ten rdzawy,
Co wiódł do Orawy,
Na wysokiej horze
Zacięty w jaworze —
Hej!!...

Baco nasz! Baco nasz!
Dobrych chłopców na zbój masz!
Dobrzy chłopcy, zbójnicy,
Zbójnicy,
Hań! w zamkowej świetlicy
Każą sobie pięknie grać,
Wino z beczki szumnie lać!
Szumnie lać! Hej!
Płynie wina złoty zdrój —
Szubienicę ujrzał zbój:
Jakżebym ja wiedzieć chciał,

Na którejbym wisieć miał,
A od spodka po sam wierch
Powybijać bym ją dał —
Hej!
Dukatami, talarami,
Aby jasność była z nami,
Jasność, jak w świetlicy —
Powybijać bym ją dał,
Gdybym wisieć miał
Na tej szubienicy!

Hory, nasze hory,
Wy nasze komory!
Bukowe listeczki
Nasze podusieczki!
Hory, nasze hory,
Smreki a jawory,
Wyście ocieniły
Zbójnickie mogiły!
Kiej nas szubienica
Orawska ominie,
Kiej mamy umierać
W ojczystej dziedzinie,
Torbeczką przepaszem
Grzbiecik pochylony,
W suchą rękę weźmiem
Toporek stęskniony,
Każem się prowadzić
Pod wirchy, na hale,
Tam już ostateczne
Wypłaczymy zale.
Tam złożymy kości
Na świeżej polanie,
Choćby je rozniosły
Kruki a hawranie.
Tam już ostateczną
Zakończymy pracę,

Jak one zbójniki,
 Słynni polowace.
 Czy nam pod kościołem,
 Czy nam pod Krywaniem,
 Święta ziemia naszym
 Ostatniem posłaniem!
 Pan Bóg patrzy w jasność,
 Patrzy w ciemną głuszę:
 Z najskrytszego żlebu
 Pozwie naszą duszę.
 A zawsze-ć jest lepiej,
 Ty zbójnicki człeku,
 Spocząć ci pod turnią,
 Przy buczku i smreku!
 Hej!

Z Orawskiego zamku chłopcy pozierają,
 Czy się popod Tatry buczki ozwijają!

Ozwija się buczek, jawor się ozwija,
 A chłopcom w ciemnicy biały dzionek mija!

Mija biały dzionek i nocka im schodzi —
 Skarżą się swej doli junakowie młodzi:

Na skrwawionych nogach zberczą im kajdany,
 Nie wskoczą na turnie, na skaliste ściany!

Nie zmierzą niedźwiedzia, nie strącą kozicy,
 Obwisną im ręce hań! na szubienicy.

Żorują junacy: O mamiczko luba!
 Lżem cię nie słuchał, przyszła na mnie zguba!

Żem się nie oglądał na twój wieczek stary,
 Dziś mnie opatrują orawskie husary!

Tak mnie opatrują, że aż krew się leje,
Jako z tej zwierzyny, strzelonej wśród knieje!

Więdnie limba, więdnie na skalnem urwisku,
Biadają junacy w orawskim zamczysku:

Wysłali panowie orawskich husarzy,
By nas oblec w mundur, a nas mundur parzy!

Wysłali z łańcuchem, z grubymi powrozy,
Żeśmy na turniczkach wystrzelali kozy.

Wysłali za nami do lasu, do boru,
Żeśmy im nie chcieli służyć u dworu.

Wysłali z rozkazem, byśmy wypasali
Te pańskie kierdele na góralskiej hali! —

Panowie, panowie, husarscy hersztowie,
Niech wam takie sprawy nie chodzą po głowie!

Panowie, panowie, ostańcie panami,
Ale my nie będziemy waszymi sługami!

Na zbój wyruszymy, duszyczka pohula,
Zabierzem pieniądze, zaniesiem do króla:

Hej! królu, ty królu, wielki nasz hetmanie,
Masz-ci te pieniądze, spraw se wojsko za nie!

Wyszyftuj regiment, huf wyszyftuj zbrojny
I spiesz do śmiertelnej z nieprawością wojny!...

Stawiają w Orawie szubienic na rzędy,
Ku naszym dziedzinom husarya w pędy!

Ku naszym dziedzinom husarya sadzi,
Zejdą się z dziewczyną, dziewczyna nas zdradzi.

Powiedz-że mi, powiedz, ty frajerko miła,
Cóżem ci uczynił, żeś mnie tak zdradziła?

Dla ciebie-m w kotliku przynosił dukaty,
A tyś mnie wepchnęła za żelazne kraty!

Dla ciebie-m rabował koralików sznury,
Tyś mnie na spętanie wtrąciła w te mury!

Po tom ci przynosił jedwab, aksamity,
Abym w te łańcuszki dzisiaj był spowity?

A bodaj-że we mnie piorun był uderzył
W oną złą godzinę, kiedym ci zawierzył!

A bodajś, dziewczyno, na wieki przepadła,
Żeś mi zgotowała te na kark zawa dła!...

Nie ciesz się, tej głowy nie nośże tak górnio,
Jeszcze nas zobaczą wirszyczki a turnie!

Jeszcze nas na świecie oczy twe zobaczą,
Lecz nad tobą ojciec i matka zapłaczą!

Słyszycie te szумы, słyszycie te huki?
Jakdyby się granie rozpadały w sztuki!

Czy to się Dunajec z drogi swej zawrócił
I huczne swe fale pod te ściany rzucił?

Hej! to nie Dunajec wody swe tu ciska;
Płynie on, jak dawniej, popod Kościeliska!

To końskie kopyta tętnią tak po moście,
Na orawski zamek harni jadą goście,
Z pałaszem na przedzie,
Janosik ich wiedzie!

Hej!
Panowie, panowie,
Husarscy hersztowie,
Teraz nie po naszej, lecz po waszej głowie!
Hej!

Tańczą już zbójnicy
W zamkowej świetlicy,
Każą sobie pięknie grać,
Wino z beczki szumnie lać!
Hej!
A gdy się napiją,
Gdy się natańcują,
Te dźwierze wybija,
Kajdany rozkuja!
Hej!

Zamczysko podpalą na wsze cztery wiatry,
Aż się zczerwienieją nasze siwe Tatry!

Taki ogieniaszek pod mury podłożą,
Że w tę nockę ciemną pomkniemy, jak w zorzą!

Pomknem na swobodę!
My junaki młode —
Hej!
W tę skalną zagrodę!
Wirszyczkami,
Turniczkami,
Zielonymi upłazami,
Od krzaka do krzaka,
Z buczaka na pniaka —
Hej!

Łańcuch nasz rozkuty:
Nie pójdziem w rekruty,

Ani też w parobki
 Wiązać cudze snopki,
 Ani na wysłudze
 Paść barć barany cudze!
 Na wirchy, a turnie
 Poniesiem się górnio,
 Gdzie schodzą na paszę
 Te kozice nasze!
 Na wanty, na czuby,
 Hej! o r e ł k u luby,
 Ptaku bystropióry,
 Poniesiem się w chmury!

Wirszyczkami,
 Turniczkami,
 Za orłami,
 Kozicami,
 Od krzaka do krzaka
 Z buczaka na pniaka!
 Hej!
 Posiejemy strach!
 Hej!
 Janosik na przedzie
 Szyknie nas powiedzie,
 Pałaszem wywinie,
 Aż wszystko złe zginie —
 Hej!
 W szczęśliwej godzinie —
 Hej!
 Zatrwoży się Lach,
 Liptak skrzydła stuli,
 Jak trafion od kuli
 Ścierwożerczy ptak,
 Gdy nas w górny szlak,
 Z pałaszem na przedzie,
 Janosik powiedzie!

Ach!
Dziś nam tonąć w łzach!
Janosik nie żyje,
Czarny dół go kryje,
A pałasz ten rdzawy,
Co nas wiódł z Orawy,
Na wysokiej horze
Zacięty w jaworze —
Ach!...



IX

NAD PRZEPAŚCIAMI

I.

NAD PRZEPAŚCIAMI.
MIRIAMOWI.

I.

Olbrzymie baszty stromych skał
Spadają w głąb bezdenną,
Gdzie fale mgławic wicher zwiął
W toń nieruchomą, senną.

W słońcu goreje szczytów skroń,
Smug opalowy spada
W mgieł nieruchomą, senną toń,
Gdzie śmierć spoczywa błada.

Lśni się w opalach wiewny puch
Mgły błękitnawo-mlecznej,
A ponad śmiercią ludzki duch
Zawisł, jak blask słoneczny.

Ciała przytulił ogrom skał,
W przepaściach śmierć pod nami,
A duch, zrzuciwszy brzemię ciała,
Zawisł nad przepaściami.

II.

Na głąźnych stokach drzemie las
W błękitnej mgieł oponie —

W ten południowy, cichy czas,
Co wokół żarem płonie.

Wczoraj tu szalał błysk i grom,
Burza waliła kłody,
Dziś towarzyszy cichym snom
Szept wysrebrzonej wody.

Wczoraj z tych bezdni wyszła śmierć,
Opoki pod nią drżały,
A dziś się skrada na jej perć
Sierpniowy wiew nieśmiały.

Lśni niezmacona jezior toń
Pośród urwistych zboczy,
Gdzie wczoraj śmierci groźna dłoń
Gasiła blask przezroczy.

Jako żrenica szklana lśni
Tej ekstatycznej duszy,
Co pragnie przejrzeć tajnię dni
W przyszłości strasznej głuszy.

Co pragnie przeciąć gruby len,
Rozedrzeć mgieł okrycie,
Otaczające — wieczny sen,
Czy też wieczyste życie?...

III.

Nad przepaściami ludzki duch
Zawisnął nieruchomy,
Wpatrzony w światła ciągły ruch,
W słonecznych nieb ogromy.

Wokół jasności taka moc
Wypełnia widnokreghi,
Jakby świat nie znał, czym jest noc,
Czem skryte jej potęgi.

Na miękką zieleń halnych łąk,
Na kamieniste ławy
Blask z niewidzialnych płynie rąk,
Perłowy lub złotawy.

Skrzy się i pali każdy głaz,
Sikława ognie ciska,
Bór rozbłękitniał, tęczy pas
Wiesza się na urwiska.

Tonie w światłościach ludzki duch,
Jak nurek w mórz głębinie;
Zlewa się razem wzrok i słuch,
Granica zmysłów ginie.

Co było przedtem mocą barw,
Śród falistego drżenia
Staje się dźwiękiem setnych harf,
W melodyę się przemienia.

Ponad przepaście, ponad żleb,
Gdzie śmierć cierpliwa drzemie,
Rozbrzmiały hymny jasnych nieb
I ogarniają ziemię.

Ponad łańcuchy lśnistych gór
Płynąc falami słońca,
Śpiewa anielski, wieszczy chór,
Że trwaniom niema końca.

Śpiewa — a pieśń ta jako chrzest,
Odradzający wiarą —,
Że tylko życie prawdą jest,
A śmierć jest złudną marą.

Śpiewa, akordów dziwny tok
Śląc nad promienne drogi,

Że złudą tylko cień i mrok,
Że płód to ludzkiej trwogi.

Że prawdą światło, pełne łask,
Że nad tych dni zamętem
W spokój swój każdy łączy blask
W Wieczystem, w Niepojętem.

I dalej śpiewa złota pieśń,
Mknąc znikającym łanem,
Że widomego świata cieśń
Rozszerza się w Nieznanem.

W nieznanem oku ziemskich dusz,
Spowitych w ciał osłony,
Ćmiące niezgasłych odbłask zórz,
Z bożego tchu zrodzony.

Ale kto starga przędzę ciał,
Ten, pijąc z czar zachwytu,
Będzie świadomość jasną miał
Bezczesowego bytu...

IV.

Mgieł opalowych wiewny len
Otula strome głązy,
A duch nad mgłami zapadł w sen,
W promienny sen ekstazy.

Ponad skalisty wzniosł się loch,
Nad śmierci żlebne cienie,
Stracił z przed oczu ciała proch,
Wieczności ma widzenie.

Kroplą dżdżu wrócił do swych mórz,
Do pierwotnego łona:
Granice czasu znikły już,
Gdzież przestrzeń określona?

W bezmiarze świetlnych tęcz i łun,
W błękitów, w barw bezkresie
Cicho sferycznych nuta strun
W słodkich się szumach niesie.

Przesłodkich szumów żaden zgrzyt
Nie skłóci w tym bezmiarze,
Gdzie bezkresowy twórczy byt
Rozlewa swe miraże.

Gdzie tajemniczy, wielki »On«,
Obcy ziemskiemu oku,
Wysnuwa z siebie plonów plon
W nieustającym toku.

Gdzie »On«, co jeden jest i wraz
Milionem jest milionów,
Wchłania znów w siebie w ciągły czas
Pierwiastki swoich plonów.

I, niby świetlny, wiewny puch,
Wzniósłszy się do tych szczytów
We śnie ekstazy, ludzki duch
Stapia się z bytem bytów.

Ale jak kropla blask ma swój
W blaskach wielkiego morza,
Gdy na nie ogni złoty zdrój
Poranna zleje zorza:

Tak duch swem własnem światłem lśni
W światłości tej bezkresie,
Co jest początkiem ziemskich dni,
Co źródłem życia zwie się.

Dziwnych zespoleń święty chrzest
Natury mu nie zmienia:

On czuje rozkosz, że on jest,
I rozkosz ma tworzenia.

On ma świadomość swoich sił,
On wie, że wnika wszędzie,
Że mu początek obcy był,
Że końca mieć nie będzie.

On w skojarzeniu widzi tem,
Że, jako on, świadomie
Wypełnia ogrom swoim tchem
I mieści się w atomie.

W ten bezgraniczny wszedłszy chram,
On dzisiaj czuje w sobie,
Że żyje dalej w nim, co tam
W ponurym legło grobie:

Słońca i gwiazdy, które już
Zagasty ludzkim oczom,
Ognie rozpierzchłych dawno zórz,
W nim swoje blaski toczą.

Długich pokoleń rojny tłum,
Co zginął w czasie fali,
Zgniłych już dębów zgłuchły szum
W nim ciągle żyje dalej.

Barwy zdeptanych dawno ziół,
Traw pokoszonych wonie,
Wody, po których został muł,
Wciąż żyją w jego łonie.

Myśl, co rozparła ludzki mózg,
I instynkt, co był w płazie,
Wielkie uczucie, co od różg
Zginęło jak w ekstazie;

Wola i zmarły odruch ciała,
Bytów materya wszystka,
Szept, co go z wargi powiew zwiął,
Przelotne drgnięcie listka:

Cały ten bezmiar, bezlik ten
Życioświadczonego ruchu,
Co tam snąć w wieczny zapadł sen,
Tu wiecznie żyje w duchu.

I on, zlan z bytów Bytem, on,
On, co w tworzenia niebie
Wysnuwa z siebie plonów plon
I znów go wchłania w siebie —

On, co na słońca wzniosł się perć,
Zrzuciwszy ciało okrycie,
On wie, że złudą li jest śmierć,
A zasię prawdą: życie!

V.

Ponad olbrzymie baszty skał,
Nad śmierci mgławce cienie
Duch się unosi — duch, co miał
Wieczności przywidzenie.

Wzniosł się, jakgdyby w blasku zórz,
Nad przepaść, nad głęboką,
A tam od dołu innych dusz
Ciche się cienie wloką.

Pną się w promienny, stromy szczyt,
Nad żleby, ponad granie —
W górę, gdzie wieczny dzierży Byt
Nad śmiercią panowanie.

Tak się leniwie pną w ten smug,
Z słonecznych skier utkany,

Jakgdyby miały u swych nóg
Ciężary i kajdany.

Tak się czepiają ostrych ścian,
Tak przytem kurczą ręce,
Jak pod pieczeniem krwawych ran,
Jak w boleściwej męce.

Tak odwracają błędny wzrok,
Snać bielmem przysłonięty,
Jakgdyby wrogów czarny tłok
Nastawał im na pięty.

Nieraz się potkną, tak się pnąc
Tą przepaścistą percią,
Opite winem szczytnych żądz,
By górę wziąć nad śmiercią...

Nieraz się potkną — wówczas śmiech
Rozlega się w przestworzu
Tysiącem strasznych, dzikich ech,
Jak echa burz na morzu.

Jak przeraźliwe echa burz,
Gdy z nieb padają gromy,
A wielkie statki idą już
Na drzazgi i na złomy.

To śmierć wysłała z swoich nor
Widm rozpętane moce
Nad ten urwisty, skalny tor,
Skąd wieczny byt migoce;

To niepewności straszny ptak
Bije ciemnymi pióry:
Cień jego pada na ten szlak,
Co wiedzie w jasne góry.

Wyrzut się zrywa, niby szal,
Zadaje duszom razy,
Że łamią kwiaty swoich ciał
O te krzemienne głązy.

Że, pnąc się w sfery marnych złud,
Nie pomną w swej podróży,
Iż ten nadludzki, płony trud
Rozkwitom ciał nie służy...

I wraz świadomość w ślad tych mąk,
Niby potworna żmija,
Ten swój oślizły pręży krąg,
W dusze się żądłem wpija.

Wpija się w duszę olbrzym-wąż,
Ze swojej rad zdobyczy,
Wyssysa wszystką siły miąż
I syczy, syczy, syczy...

Syczy, że wieki ziemski lud
Wyprawiał swe wybrańce
Do tych tajemnych życia wrót,
Na te zawrotne krańce.

I że już długich wieków wiek,
Wspinając się daremnie,
Upadał w przepaść słaby człek,
W jej nieprzejrzane ciemnie.

Że do padolnych tylko niw
Przyrosły byt człowieka:
Tu on kwitnący, tu on żyw,
Aż — końca się doczeka...

I syczy, syczy potwór-gad
Na tej przepastnej perci,
Że wszystko: człowiek, zwierz i kwiat
Podlega jednej śmierci.

Że śmierć nad wszystkim tron ma swój,
 Owity w groźne cienie,
 Że zmienia wszystko w rozkład, w gnój
 I w mrok i w zapomnienie.

Tak syczy... syczy... Na ten syk,
 Wijący się u zbroczy,
 Trwoga wyrzuca z siebie krzyk,
 Z ust białą pianę toczy.

Rozpacz, idąca, niby straż,
 W ślady błędnego grona,
 Wykrzywia z śmiechu bladą twarz,
 Wykręca swe ramiona...

VI.

Rozpacz i trwoga i ów płaz —
 Straszna świadomość końca —
 Zmieniają w zamęt cichy czas
 Południowego słońca.

Syk, krzyk, płacz, jęk i szału śmiech
 I westchnień szept głęboki
 Leją się ciężką falą ech
 Na szczyty i na stoki.

Z każdego źlebu ciemnych gór,
 Z każdej przepaści mgławiej
 Jęk się dobywa: wzdycha bór,
 I płacze pas siklawy.

Potok odbrzmiewa jęków tchom,
 Cały w łkających pianach;
 Szaleje głazów szary złom,
 Skacząc po zdartych ścianach.

Z opocznych szczelin, z skrytych jam,
 Z wnętrza ponurej puszczy,

Jak długie pasmo mgławych plam,
Snuje się widmo tłuszczy.

Snuje się, wzmaga, gesty kłęb
Wypełnia przestwór cały;
Szczytów zszarpanych zniknął zrąb,
Znikły urwiste skały.

Świat na nie spłynął, wszystek świat
Po tych przestworach sunie —
Za nim tysiące idą lat
W rozwianym w krąg całunie.

Świat tutaj spłynął... Łzy do stóp
Zlewają się zmroczone:
Ten płacze ojca, a ten w grób
Najdroższą niesie żonę.

Temu już w piersi zbrakło tchnień:
Na wieki żegna dziecię!
Rośnie łez fala!... Straszny dzień!...
O świecie! świecie! świecie!

Twojej boleści gdzie jest kres?
Gdzie raję ciche niwy?
O świecie! świecie! ziemio łez,
O świecie nieszczęśliwy!...

Fala łez rośnie... W bezmiar mórż
Ta fala łez wyrosła...
Chwila — a świat pochłonie już...
A gdzież jest łódź? gdzie wiosła?

Bez łodzi, wiosła, w smutku dal
Posępny orszak płynie
Po tym bezmiarze słonych fal,
Po wzdętej łez głębinie.

Trumny porywa gorzki wir,
W bolesną pędzi sferę;

Za niemi żywy płynie kir
I jęczy »Miserere«.

Płynie — ach! dokąd? gdzie jest kres?
Kiedyż się ból twój prześni?
O świecie! świecie! ziemio łez!
Kraju pogrzebnej pieśni!

Płynie — ach! dokąd? tam, gdzie łan
Wielkiego cmentarzyska,
Gdzie myśli ludzkiej kres jest dan,
Gdzie fosfor prawdy błyska.

Gdzie myśl, co biegła w słońca wyż,
Ku niezgłębionej treści,
Płacząc, całuje drogi krzyż
I śłania się z boleści.

Gdzie myśl, odziana w czarny len,
W żałoby to okrycie,
Przestaje pytać: wieczny sen,
Czy też wieczyste życie?

VII.

Cisza... Sierpniowy jasny dzień
Otula widma szczytów
Wiewną powłoką ciepłych tchnień,
Idących z nieb błękitów.

Na stromych stokach łśnistych gór,
Wsparty o głaźne ściany,
Śni, marzy, drzemie cichy bór,
W błękitne mgły odziany.

Czasem się ozwie dusza drzew
I z cicha coś poszepce,
Gdy je pogładzi cichy wiew,
Co skalne trawy depce.

Potok, w słonecznych złocie skier,
Szemrze w kamiennem łożu;
Falami cichy idzie szmer,
Rozpływa się w przestworzu.

Między szczątkami zdartych pni,
Między szaremi ławy
W cichej kotlinie szkliwość lśni:
Milczące, ciche stawy.

Znieruchomioną, dziwną krucz
Mają te wód źrenice:
Snać kryje głębia stawnych ocz
Niezgadłą tajemnicę!...

Głaz niewidzialna rzuca dłoń...
I głaz szczytowy spada
W przepaści cichą, mgławą toń,
Gdzie śmierć spoczywa blada.

Ponad przepaścią, której głąb
Pomroka mgieł schowała,
Na skał wirchowych wszedłszy zrab,
Leżą śmiertelne ciała.

Do ciał powrócił ludzki duch —
Dziwną przebywszy drogę:
Spojrzał w przepastnych mgławic puch
I czuje trwogę — trwogę...



II.

WIECZNOŚCI WIELKI, GŁĘBOKI,
NIEOBJĘTY SEN...

Wieczności
Wielki, głęboki, nieobjęty sen,
Co ducha ciszą mamy,
Ogarnął cichy świat
W południa skwarnej czas...
Nad przepaściami,
Gdzie Śmierć, spowita w mgieł jedwabny len,
W błękit rozwiewnych szat,
Z Strachem i Lękiem gości,
Swych promienistych kras
Błękitny rozprędkł len
Wielki, głęboki, nieobjęty sen
Wieczności...

Ciężkość upalnych tchnień
Złożył na góry cichy sen wieczności.
Wielki, głęboki, nieobjęty sen,
Kochanek wielkich, a głębokich dusz,
Których powszedniość nie plami,
Spadł na olbrzymy gór...
Na ten zaklęty, tajemniczy mur,
Łączący bramy powstających zórz

Z mogiłą słońca,
Gdzie braknie życia róż,
Upadł głęboki, nieobjęty sen
Wieczności...
Nad przepaściami,
Gdzie Śmierć, spowita w mgieł błękitny len,
Z Strachem i Lękiem gości,
Śpi w tych upalnych tchnień
Sierpniowy dzień —
Ach! śpi bez końca
Snem nieprzespanych snów
Kamienny huf...

Na stokach sennych gór —
Nad przepaściami,
Gdzie Śmierć, spowita w mgieł błękitny len,
Z Strachem i Lękiem gości,
Śpi ciemny bór —
W promieniach słońca
Śpi...
Śród tych upalnych tchnień,
Które w sierpniowy dzień
Śle nań głęboki, cichy sen wieczności,
Od końca do końca
Wypełniający przestworza,
Śpi ciemny bór...
Śpi niby mgławcy cień
Tej dziwnej Śmierci, co w przepastne głębie,
W wielkich tajemnic morza,
Każe się nurzać ludzkiemu duchowi:
A ten w nich przestrach łowi
Lub ukojenie...
Jak Śmierci mgławcy cień,
Tak się na skalnym zrębie,
Na stokach gór,
Położył bór
I śpi.

Wczoraj w te jego cienie
Wtargnęły hordy burz:
Szalał błyskawic nóż,
Cięły topory gromów,
Z trzaskiem padały pnie
W strącony wichrem piarg,
W kamienny potok złomów...
Dziś jeszcze gdzieś tam schnie
Ostatnia kropla łez,
Któremi płakał bór,
Dziś ledwie gdzieś wśród gór
Znalazły cichy kres
Echa tych głośnych skarg,
Któremi jęczał bór...
A dziś już cichy, nieobjęty sen,
Wypełniający przestworza,
Kroplą swojego morza
Upoił bór...
Dziś już na stokach gór,
Na przepaścistym zrębie,
Gdzie za całunem mgławych chmur
Śmierć ma swe głębie,
Śpi cichy bór...

Wieczności wielki, nieobjęty sen,
Od końca do końca
Wypełniający przestworza,
Na mgłach błękitne porozwieszał tęcze —
Opalów morza,
Barw miliony,
Odblaski słońca,
Którego ludzkie nie przeniknie oko,
Rzuca szeroko, głęboko...
Wibracje dźwięków, promieniste tony,
Których śmiertelne ucho nie dosłyszysz,
Rozlał w swej wielkiej, południowej ciszy
Na senne lasy, wirchy i przełęczce,

Wieczności sen nieobjęty...
Nad przepaściami,
Gdzieś w głuszy,
Gdzie Śmierć, spowita w mgieł jedwabny len,
Czeka na sprzęty.
Swój promienisty, lśnisty rozprzędł len
Wieczności dziwny sen...
Zwierciadłom jezior daje tajemnicze
Błękity oczu tej duszy,
Co za granice — hen! —
Ludzkich dostrzeżeń
Umie mu spojrzeć w oblicze,
Wiecznych z nim godna sprzymierzeń...
Na stawów zeschłe łożyska
Srebro swych blasków ciska,
Na kwiat głazami pocięty,
Na świerk umarły, zeschnięty,
Rzuca promienny swój len
Wieczności sen
Nieobjęty...



III.

Waruno!...

Ręce się moje podnoszą ku tobie,
Wielki Waruno,
Porannej zorzy rozkrwawiona łuno,
Strugi promieni lejąca po globie!...
W twą stronę —
Ku twym wyżynom, o Słońce,
Wzlatują myśli moje utęsknione,
A niespokojne, wciąż się poza siebie
Obracające,
Czy nie mkną za niemi
Nagie, wychudłe od dzikiej chciwości
Upiory mroków...

Kiedy na niebie
Blask twój zapłonie
Fala iskrzących potoków
Ponad posepnem cmentarzyskiem ziemi,
Kryjących w sobie zgasłych wieków kości —
Ku twej słonecznej koronie
Ze snu rozwarte kiedy spojrzą oczy,
Czemu nie radość rozdźwięcza mą duszę
W błogosławieństwa święty hymn, w ochoczy
Wielbnych melodyi szal,

A tylko w wnętrzu wciąż przytłumiać muszę
Skryste, tajemne, natarczywe lęki?

Traw twoich pęki
Lśnią szmaragdami, zaścielając miękkie,
Wonny, puszysty kobierzec dla ciał,
Zaróżowionych pragnieniem rozkoszy!
Na toś w nie ogień swego życia wlał,
Na toś je z ziemią wielką żądzą skuł,
Ażeby wędły z trawami,
By blakły z barwą ziół,
By opadały razem z liśćmi drzew,
Nim zdążył przebrzmieć rozpoczęty śpiew?
Zanim nad nami
Zdoła się stoczyć w grób czerwonych mórz
Żar twego słońca, światło twoich zórz,
Czemu nas ręka niewidzialna płoszy?
Czemu nas spycha w cień,
W chłodną, wilgotną toń,
W przygniatającą cieśń,
Nielitościwy, straszny, srogi boże,
Twa niewidzialna dłoń?
O życie,
O rytmie krótkich, urywanych tchnień,
Których największy arcymistrz nie złączy
W pełną, zamkniętą, harmonijną pieśń!

A ty, na szczycie,
Spokoju mając zgotowane łoże,
Srebrnym, przejrzystym naodzian obłokiem,
Słonecznem śmiejesz się okiem,
O płomienisty, a tak zimny boże!
Gdy oddech milknie śród starganych łon,
Gdy krew się sączy
Z palców, silących się uderzać w lutnie,
By z tych, przez ciebie naciągniętych strun
Wydobyć ton,

Co się nie urwie, nim się z tonem zleje,
 Ty z głębi cichych, przedwieczornych łun
 Wychylasz cichą twarz —
 Cichą okrutnie!

O wielki smutku nasz!
 O wyczerpanie wszystkiej naszej siły!
 O w oceanu głęb schodzące zorze!

Któż ci jest miły?
 O kogo ty dbasz?
 Czyje wypełniasz nadzieje,
 O bezgranicznie obojętny boże?!...
 Mglistą świadomość człowieka
 W swoim bezdennym pochłaniasz Erebie,
 Jak ten ostatni blasków promień mgławicy,
 W swe bezgraniczne zatapiasz ją morze,
 Zamykające się nad nią bez wrzawy,
 Bez burz, bez gromów, bez pomruku fal,
 Bez rozpienionych pierścieni,
 Zanim się mogła stać świadomą siebie!

W nieogarniętą, w niedosięgtą dał,
 Która jest pełna ciebie,
 Twych żywych ogni i twych martwych cieni,
 Podnoszą ręce się moje...

Mrok na nie ścieka —
 Mrok na nie zlewa swych ołowiów zdroje...

O ciemnią nocy posępny pogrzebie!
 Drogo nieznaną! o drogo daleką,
 Ginącą w ciemni przepastnej otchłani!
 Widma tułacze —
 Potworne strachy, lęki i rozpacze,
 Oslepte, głuche, o piersi zapadłej,
 Gęsto twe brzegi obsiadły:

Oblazłe z włosów czaszki poźółkniałe
Biją o czaszek nawalę
I pięść o pięść się rani
I z zachrypniętej krtani
Okrzyk bezdźwięczny kracze
Twą nieśmiertelną chwałę,
O słońce! o życie!
O ty gasnących zórz wieczornych boże!
O ty posępny pogrzebie!
O ty nieznana, o daleka drogo!...

Mnogo
Globów ognistych —
Ty wiesz: tak mnogo, że milion rozumów,
Lat miliony liczących, nie zdoła
Wyczerpać miary — rozsiałeś dokoła
W tym pełnym siebie przestworze...
W błękicie
Dnia słonecznego, o promienny boże,
I w nocy roztoczach mglistych,
O ty pomroków panie,
Krażą wśród szumów,
Niedosłyszalnych dla ucha,
Te światy.
I każdy z nich ma swe zorze,
Co gasną,
Każdy blaknącą ma swą jutrznię własną,
Swych słońc zachodnich każdy ma szkarłatny
I swe przepastne otchłanie...

Życia i śmierci ty harmonio głucha!...

Na szczycie
Swoich ogromów, pomiędzy ogromy
Siadłeś, Waruno, i patrzysz na ziemię,
Na pył ten marny, na proch ten znikomy,
Na to robactwo, na te lwy, na trawy,

Na wód kropelkę, na plemię
Ptaków i ludzi,
Na krwawy,
Na nieopłatny znój...

Zabłyśły zorze —
Na łan zorany spłynął blasków zdrój,
Pieśń skowrończana ze snu siewcę budzi...
Ziarna wyrosły w twoich deszczów rosie,
Kłosa dojrzały w ciepłe twego słońca:
Orkanny tabun twój
Przebiegł po roli i stratował siew...
O zmiłkły pieśni skowrończanej głosie!
O ty zdeptany ugorze,
Na którym sterczy zwiędły, czarny krzew —
Oset żałoby...

Bez końca
Wicher uderza o wierzchołki drzew...
Czerwone liście padają na groby
Głucho, bez dźwięku...

Upiorne dusze obległy rozdroże...
Patrzą... gdzie patrzą?... Suną... dokąd suną?...

O lęku!...

O ty słoneczny, o jasny Waruno!...



IV *).

Nie było bytu, ani też niebytu...
Nie było głębi powietrznego morza,
Która wypełnia od szczytu do szczytu
Bezmiar przestworza...
Cóż się ruszało i pod czyją pieczę,
Zanim nadany kres był wszystkim rzeczom,
Zanim przepaści stały się widzialne,
Zanim turnice wystrzeliły skalne —
Nieb sięgające opoki —,
Nim ład się oddzielił od wody?

O wiecznie świeży i młody,
Wartki, jak rzeka,
A jak ocean, głęboki
Duchu człowieka,
Ty od początku do końca
Mknący ku treści,
W której się koniec i początek mieści:
Gdzież miało swoje ukrycie
To, co się kryje, ponure i senne?
W promieniach słońca,
W wiecznym kochanku, zakochane życie
Gdzież miało blaski promienne?

*) Z motywów wedyckich.

Nim się początek urodził z początku,
Zanim się stało
To, co się stało; zanim w przemian wątku
Łączyła byty łączność, dzieliła rozdzielnosc,
Ni śmierć nie władała, ani nieśmiertelność,
Nad zmrokami nocy
Dzień jeszcze nie miał rozświetlowej mocy,
Ani też białosc dnia w swą brała moc
Ta czarna noc:
Ciemność jedynie
W ciemności legła głębinie,
Próżni ogromy
W próżni przybytek miały niewidomy.

Nad wszystkim i nad niczem było tylko Jedno,
Wszystkiego i niczego niedosięgte sedno,
Spokój i tętno,
Bezruch i ruch.

O duchu ludzki, wychowan w mądrości,
Która z Jednego w twoje wnętrze spływa
I, niegasnąca, żywa,
Dopóki pragniesz, w twoim wnętrzu gości
I niegasnące, żywe ryje piętno
Na twoim bycie,
Że zwiesz się: duch,
Że zwiesz się: życie —
O duchu ludzki, zwrócony obliczem
Ku onej treści,
W której się koniec i początek mieści,
Ty wiesz, że Jedno w wszechpotężnej mocy
Stało nad wszystkim i niczem,
Nad próżnią próżni i nad nocą nocy...
A może nie wiesz!?...

A ponad bezmiary
Pustki i ciemni, nad bezgranicami

Uczuło Jedno w bezmiarze
I w bezgranicach swojego istnienia
Pałacą miłość...

Byłóż istnieniem, czego duch człowieka
Nie umie pojąć, acz pełen jest wiary,
Czystej, przejasnej, jak Gangesu rzeka,
Wielka i święta,
Pełna jest świetlnych opali,
Kiedy jej wody spromienia
Słońce południa? Opiłość
Narkotycznego uczucia powali,
O Jedno, wszystkich przed tobą —
W pobożnym żarze,
Jako pokosy zbóż,
Wszyscy już leżą:
Tylko się zlituj nad nami,
Niewiedomości zdejm pęta,
Niech twoja moc niepojęta
Będzie pojętą dla dusz!...

I ona doba,
Która się stała porą por, macierzą
I dnia i nocy i pełni i nowiu
I gwiazd i słońca i świtów i zórz,
W owem bezmiernem pustkowiu,
Gdy Jednem miłość owładła,
Na ciemnię jasność upadła:
Nasienie nasion, wszechnasienie ducha,
Zapładniająca żar...
I ciemnia głucha
Zmienia się w światłość i gwar...

Tak przyszła siła,
Co byt z niebytem spoiła,
Z łącznością rozdzielność,
Ze śmiercią nieśmiertelność...

O duchu ludzki, urodzony z siły,
Co nad krawędzią mogiły
Śród cmentarnego pola
Zmartwychwstające postawiła życie,
Ty wiesz, że jest przedział w wszechbycie —
Tutaj: przyroda, tam: siła i wola,
Tutaj: spoczynek, a tam zaś: dążenie —
O duchu ludzki, nasienie
Duchów, idących z zwróconem obliczem
Ku onej treści,
W której się koniec i początek mieści,
Ty wiesz, kto stanął nad wszystkim i niczem,
Ty wiesz, skąd wyszło stworzenie...
A może nie wiesz?!...

On jeden,
Co ma w niebiosach swój Eden,
W słonecznej skąpany ulewie,
On, w promienistym siedzący Edenie,
On wie sam jeden, kto wóz świata wdrożył,
On wie, skąd wszystko wzięło się stworzenie —
Bądź On je stworzył, bądź On go nie stworzył...
On wie sam jeden. — A może On nie wie?!...



x

AKORDY JESIENNE

1.

Wiatr w pożółkłych huczy drzewach —
niebo pełne czarnych chmur,
A z ich kłębów kotłujących
księżycowy, martwy blask
Spłynie czasem ponad ziemię,
co spoczywa niby twór,
Ulepiony z mgieł i błota,
od promiennych zdala łask.

Nieodrodne dziecko ziemi,
jej słabości nikły wzór,
Sam się wlokę, jak ów rycerz,
gdy mu wzięto tarcz i kask
W jakimś strasznym, ciężkim boju —
lub jak ptak, odarty z piór,
Tak się wlokę, ogłuszony,
w tej wichury szum i trzask.

Ktoś mi szepce — widać, jakiś
odrętwieniu wrogi duch —,
Że ta ziemia pierś podnosi
i że jęczy na swój los —
Nic nie widzę! — nic nie słyszę!
Na tom stracił wzrok i słuch.

Tylko zmilknie wicher na chwilę,
księżyc chmur rozpędzi tłok,
Wówczas jakbym pierś tę widział
i rżący słyszał głos —
I przeklinam wicher i księżyc,
żem miał znowu słuch i wzrok.



II.

Cóż, że jestem dziś samotny,
jak smagany wichrem głóg?
Cóż, że barwną swą koronę
pośród zimnych tracę burz?
Wszak Naturze, matce wielkiej,
zaciągnięty-m spłacił dług —
I jam z pola wszak nie schodził,
jak leniwiec albo tchórz!

Niech mi syczy głos zawistny:
wiedniejące liście złóż!
Niech odpycha mnie od siebie
znikczemniałe plemię sług!
I jam rzucił plonne ziarna,
z których wzrosną pęki zbóż,
By wzbogacić człowieczeństwa
ten otwarty, wielki bróg!

Szalej, wicherze! zrywaj liście!
mieć śnieżycą! dżdżami pluj!
Siecz po skroni! włos rozwiewaj!
aż do ziemi krzyże gnij!
Płaszcz potargaj na łachmany,
z rąk podróżny wytrać kij!

Mogę stanąć, jak wylękły,
mogę jęknąć na ten znój,
Mogę skrzepłą krwią rozpaczy
o niebieski rzucić skłon,
Lecz tej dumy mi nie wydrze
twój, szalony wicherze, gon!



III.

Pełzam nieraz, jak gadzina,
śród bagnistych skryta łak,
Jak potulne bydłę w jarzmie,
tak swój twardy zginam kark!
Nie śmiem wichrom spojrzeć w oczy,
nie śmiem wznieść ku chmurze rąk
I światłości niszczycielce
cisnąć groźby z spiekłych warg.

Nieraz patrząc, jak o skarby,
które pośród krwawych mąk
Zdobyl wielki duch ludzkości,
czerni szachrajski wie dzie targ,
Ledwie wzgardę mam na ustach,
ledwie słowo, godne ksiąg
Zniewieściałych trubadurów,
ledwie łzawe krople skarg.

Nieraz — duszo, nie kłam sobie!
tych złowróźbnych słuchaj tchnień:
Wiatr jesienny ci urąga!
do swej dawnej mocy wróć!
Nie wystarczy, coś posiadała
za ubiegłych, wiernych lat...

Zwiędnij, duszo, lub łzy swoje
na płomienne gromy zmień,
Skargi przemień w błyskawice
i z wyżyny swojej rzuć
W to roisko karlich płazów,
plugawiających boży świat.



IV.

W blaskach świtu duch młodości
z za jesiennych mgławic wstał —
Idzie ku mnie z łąk zapachem,
z barwą kwiatów, z szumem drzew;
Fale żyta płyną za nim,
niby setnej rzeki wał,
Świeże bruzdy w ślad się dymią,
skowrończany strzela śpiew.

Idzie ku mnie, jakby wiatru
marcowego dmący zew —
Z nadziejami idzie ku mnie,
które w łona sennych ciał
W lwim pragnęły wlać porywie
bohaterów wrzącą krew,
Tuk bajecznych waligórów,
zaród zwycięstw, zaród chwał!

Idzie — w drodze kształt swój zmienia:
Apolina gładką skroń
Na pochmurne zmienia czoło,
pełne krwią nabiegłych żył,
Lutnię zmienia w pług żelazny,
na siermięgę chiton muz...

Idzie — idzie — na globusie
zobrzy miała kładzie dłoń,
Świat wyraca w jego osiach,
wielkie morza w dżdżysty pył,
Wielkie góry ziemioładne
w piarg roztrąca, w marny gruz.



V.

Śnie młodości! Przez szarugi,
przez bijący w oczy śnieg
Skrzydłem wiary prufeś przestwór,
który nie znał, co to kres:
U piór twoich tłum niejeden
i niejeden zawisł wiek,
Gad niejeden cię owinął
i niejeden warknął pies.

Czem był tobie płacz najdroższych?
czem szyderczy śmiech i stek
Ośliniałych klątw motłochu?
Czem był tobie bóg, czy bies?
Mknąłeś, groble rwąc i mosty,
parłeś z hukiem górskich rzek —
Wrzała moc w twej rajskiej krasie,
boś był z ludu krwi i łez...

Śnie młodości! wracasz znowu?
Ha! wyrzuty płyną-ć z ust?
Poorane masz oblicze?
Z czoła ścieka zimny pot?
Stój... Weronik daj mi łaskę,
zmień mą duszę w szmat ich chust —

Zostaw ślady swego lica!...
Wszakże w mgle jesiennych dni
Nie straciła swego blasku,
mimo wichrów, mimo słońc,
Matka twoja, duma święta,
żem jest z ludu łez i krwi.



VI.

Dmij, wichuro! Z zwiędłych koron
te cmentarne drzewa łuszcz
I w szalonej mieć zawiści
coraz wyżej na mój grób!
Dmij, wichuro! Strzaskaj płytę,
nieśmiertelny połam bluszcz,
Nasyp z gliny zrównaj z ścieżką
dla zawziętych, marnych stóp!

Z korzeniami wyrwij jodłę,
przeniesioną z gęstych puszczy,
Próchniejące kości roznieś —
suche kości to twój łup,
Lecz nic więcej! Ten, co sycił
moją pieśń, żywotny tłuszcz,
Wsiąkł już w rolę, już z nią zawarł
niezniszczalny, wieczny ślub.

Dmij, wichuro! Dmij bez miary!
Widzisz, jak się spełnia cud?
Rój żniwarzy zbiera plony,
co wyrosły z moich dum!
Przygłuszyłeś moje imię —
pamięć w ciemną-ś stracił noc,

A mych zwątpień, mych zachwytów
niedaremny wszak był trud —
Kłosom, z moich ziarn powstałym,
błogosławi boży tłum:
W mych zwątpieniach, w mych zachwytach
była jego krew i moc.



VII.

Trubadurem być? U pańskich —
u bankierskich stawać bram?
W duszy, którą Bóg wykapał
w swych płomieniach, gasić wstyd
Za trzos złota? Za kwiat róży
z białej ręki strojnych dam,
Od gorących łon odpięty?
Za lokajów miękki byt?

Co? W pochlebstwa płynne rytmy
krew serdeczną zmieniać nam?
Łaskotliwie piąć ballady?
Baczyć trwożnie, aby zgrzyt
Z rozstrojonych oburzeniem
harf nie trysnął? Aby kłam
Mógł zasypiać w ciepłych łóżach,
sył rozkoszy, chleba sył?

Trubadurem być? Wysławiać
głębie życia, gdzie jest cieśń
Zgniłych grobów? Wielbić orły,
gdzie się puszy ciężki paw?
U drzwi skarbców spustoszałych
stawiać uczuć swoich straż?

Nie! Rozpusty nie podniesie
ku miłości nasza pieśń!
Nie! Bezprawiu nie da szali
sprawiedliwych, boskich praw!
Nie! Obłudy nie przystroi
w szczerzej wiary słodką twarz!



VIII.

Pieśni nasza! Niespożyta,
choć codzień w śmierci toń
Spycha ciebie ród grabarzy,
boś ich fałszom groźna wciąż:
Wielorybem pływaj po morzach,
po rozłogach chartem goń,
A sokołem po niebiosach,
patrzając w słońce, mknij i krąż!

A zaklęta w ludzką postać,
przyłóż ucho, przyłóż skroń
Do wnętrza ziemi wulkanicznych
i gotowa bądź, jak mąż,
Który nie chce przyjść za późno...
Z wichurami razem dzwoń,
Łkania burzy, bicie gromów
w jeden głośny akord wiąż...

Przejdź pielgrzymem świat ten cały:
w owych mrocznych izbach gość,
Gdzie nędzarze, z nóg lecący,
mają jeszcze siły dość,
By o głodzie i o chłodzie
błogosławić dziwnym snom,

Co im wróżą sytość, ciepło
i szeroki światła smug...
A gdy losy cię zawiodą,
pieśni, w złotych cielców dom,
Posadami jego wstrząśnij
i spiesz dalej wśród swych dróg.



IX.

Cóż, że będzie ci złorzeczył
zleniwiiałych zwarty huf,
Gdy go z sytej zbudzisz ciszy,
rzucisz kamień w jego muł?
Cóż, że szczeknie poza tobą
rozkielzanych sfora psów,
Które w obróż pozłocistą
wypasiony pan ich skuł?

Które z smyczy swojej puszcza,
gdy wyprawić trzeba łów
Na zwierzynę, szlachetniejszą
od tych wieszczów płaskich czół,
Od pismaków ciasnej piersi,
lecz mającej dosyć tchów,
By bezcześcić ołtarz święty
za magnacki, hojny stół?

Ty spiesz dalej, pieśni nowa —
w ślad melodyi własnych spiesz!
Tylko, gdy się zbyt rozjuszy
bezkarnością śmiały zwierz
I twym śnieżnym płaszczem szarpnie,
stań i okiem, gdzie się skrzą

Groźne ognie dni idących,
napastliwych wrogów zmierz:
Nie potrzeba rąk podnosić,
wołać im: »A milcz! A leż!«
Stchórzy zgraja i z skowytom
lizać będzie stopę twą.



X.

Pieśni nasza! Smętno tobie
i samotno? Czujesz ból,
Że ukochan przez cię człowiek
nie chce słuchać twoich grań?
Że ten świat, co od wielbiących
twoją moc, jak pszczeli ul,
Tak się roił, dziś jest pusty?
O nie zważaj, pieśni, nań!

Graj obłokom, lasom szumnym,
trawom, zbożom naszych pól!
Jak tęsknica, owinięta
w pajęczyny wiewną tkań,
Tym rozdrożnym jęcz zarośłom,
do spróchniałych wierzb się tul,
Zwierzaj żale swe ruczajom,
na pradawnych kopcach stań.

Tam słuchaczy znajdziesz chętnych,
tam serdeczną znajdziesz brać,
Która ciebie nie odepchnie:
jej, wżgardzona pieśni, graj,
Na przestworza bezgraniczne
szlij swój głos, na tysiąc staj...

Z niewidzialnych rajów przyjdą
dusze piewców, dziś już snąć
Zapomnianych, i z radością
witać będą w dźwięku twym
Zmartwychwstanie swych nadziei,
zapowitych w nowy rym.



XI.

My — przeżyci?... My, jak kwiaty,
które wczesny zwarzył mróz?
My powędłą mamy duszę
śród zapadłych, ciasnych łon?
A tak chwiejną, rozwichrzoną,
jak korony białych brzoź,
W które wichur z deszczem wali?
Wątki będzie jutro plon

Naszej siejby?... Nie przeżyci!...
Naszą pierś rozpiera ból,
Lecz w tym bolu nie wyczerpań,
nie rozkładu mieszka jad:
Życie drga w nim mocą mocy,
co wśród smutnych idzie pól
Chmurnie, groźnie i stanowczo,
by stracony zdobyć świat.

Idzie cicha... Nie dźwięk fanfar,
nie tryumfów głośny wrzask
Towarzyszy jej w tej drodze...
Idzie skromna i na twarz
Nie przywdziewa ni proroków,
ni kapłanów dumnych mask.

Idzie jako prosty żołnierz...
w szarym płaszczu... Idzie w dal
Niewstrzymana... bo iść musi,
choć ma jęk za przednią straż,
A za sobą melancholię
i tęsknicę, cień i żal...



XII.

Powiadają, że w nas niema
tytanicznych owych tchnień,
Wstrząsających granitami;
że po świecie ten nasz duch,
Nieświadomy celów swoich,
błądzi dzisiaj, nikły cień
Bohaterów, co w martwość
wprowadzali życia ruch.

Któż to mówi? Dąb zielony!?
Nie! Odarty z liścia pień!
Robaczywy tłum, co w wrzaskach
kankanowych stracił słuch
Na melodyę hymnów wiecznych —
tak opasły charcze leń,
W którym — patrzcie — nie mózg ludzki,
lecz zwierzęcy myśli brzuch.

Z ogniem świętym, tak, jak dawniej,
idzie przez świat śpiewny lud;
Tak, jak dawniej, w harfach swoich
więzi krwawy błysk i grom,
Tylko — Zewsów nie spotyka...
Od promiennych raju wrót

Nie odgania nas dziś anioł:
w wieczystego szczęścia dom
Drogę dzisiaj nam zagraża
ciał gnijących wstrętny wał —
Rzucać w niego piorun boży,
dla potężnych stworzon skał?!



XIII.

Marny tłumie! Zasluchany
w liczonego złota brzęk,
Nie podniesiesz się do wyżyn,
gdzie z melodyą śpiewnych harf
Druidyczny stanął szereg,
niby żrzałych kłosów pęk,
Ciężkich ziarnem, promieniących
od złocistych słońca barw.

Ty wiesz o tem, żeś jak nędzarz,
mimo trzosów, mimo szarf,
Zawiazanych brylantami —
wstydu cię ogarnia lęk,
Że nie wzbijesz się nad błoto,
żeś jest nakształt owych larw,
Co nie mają lotnych skrzydeł,
więc ponizasz piewczy dźwięk,

Rwący z sobą duchy w górę!...
Czarodziejski, słodki ton
O rozświetli jutrzni nowych,
o rzeźwości nowych ros
Dziś ponizasz, bo wiesz o tem,
że w nich mroków twoich skon...

Ty wiesz o tem, marny tłumie,
że z za tajnych ducha bram,
Jak z świątyni, i dziś jeszcze
ten proroczy płynie głos,
Co Baalom koniec wróży,
co roztrąca w pył ich kłam.



XIV.

Ziemi, droga rodzicielko!
ukochałem zagon twój,
Choć tak skąpem sypią ziarnem
rzadkie kłosa twoich zbóż,
Że głód wtargnął w nasze chaty,
że w nich żółty zasiadł znój
I wyblakłem patrzy okiem
na stół pusty, w pustą kruż!

Nieraz skrada się pokusa:
porzuć, mówi, ciężki bój
Na tym łanie bezpłodności,
do spoczynku głowę złóż,
Choćby nawet tym spoczynkiem
grób był cichy... Dłonie skuj,
By nie rwały się do pług!
Obok sennych zaśnij dusz!

Ziemi, matko najemników!
Rodzisz plemię biednych sług,
Których nędza twa upadła,
przecież serce k'tobie Ignie,
A źrenica trwożnie śledzi,
czy nie idą lepsze dnie.

Ziemió! ziemió! smutna ziemió!
Snać opuścił cię sam Bóg,
Lecz przeklęta myśl niech będzie,
coby chciała szepnąć mnie,
Abym zboczył choć na chwilę
z twych żałości pełnych dróg!



XV.

Wstań, orkanie! Wstań, orkanie,
Stutysięcznych głosem trąb
Hucz na sądy bezlitośne!
Próchna kości z grobów zbudź!
Na dolinę Jozafata
osłupiały pognaj kłęb
Zmarłych wieków!... Przed godziną,
która chmurnie idzie pruć

Krwią zbarwioną toń przyszłości,
niech ich cienie za tę krew
Odpowiedzą jękiem, wyciem,
zgrzytem, dreszczem, rzeką łez!
Dies irae! dies illa!
świat się kruszy na twój zew!
Wstań, orkanie! Życie patrzy,
jak się życia zbliża kres!

Zbrodnia zbrodnię urodziła,
z grzechu powstał wielki grzech!
Z iskier iskry się sypnęły
i wybuchnął ogniem proch,
Który wieki naznosiły
w ten kazienny wieków loch...

Wstań, orkanie!... Łódź Charona
z burzą płynie! Dziki śmiech
U bram śmierci przyjął życie!
W morzu krwi zatonał ład!
Wstań, orkanie! Za śmierć życia
wieki pędź na straszny sąd!



XVI.

Oto dusza ma, jak więzień,
wyswobodzon z poza krat,
Rzuca pęta swe cielesne
i w jesienny spieszy mrok
Na obszary gdzieś dalekie,
w lot przebiega cały świat,
W lot ogarnia wsie i miasta,
w jeden ciemny zbite tłok.

I tak błędząc w swej podróży,
do poziomych zajrzy chat,
To w pałacach górnych spocznie,
to w zaułki zwróci krok:
Noc uśpiła ich mieszkańców —
jakby spali już od lat,
Jakby byli dziś podobni
nie do żywych, lecz do zwłok.

Dziwny spokój... I uchodzi
senna dusza poza próg...
Patrzy w przestwór... Jak daleko,
jak wysoko sięga dom
Tego świata, nikt nie czuwa?...
Błogosławić takim snom!

Patrzy... patrzy... Nie!... Ten przestwór
nie uśpiony! W szerz i w wyż
Wielkie widmo go wypełnia
i w odblasku mglistych smug
To potrząsa krwawą chustą,
to olbrzymi wznosi krzyż.



XVII.

Cud nad cudy! Wielkie widmo,
Duch uśpionych w dole ciał,
Z przedświtową mgłą się zlewa,
a z jej wiewnych, srebrnych chmur
Jakieś pasmo się wyłania,
jakiś długi, ciemny wał,
Jak z oddali gdzieś widziany
tajemniczy, straszny bór.

Las birnamski czyż się ruszył?..
To postaci żywych sznur
Idzie — płynie — ach! bez końca...
Cały świat, co dotąd spał,
Snać się zbudził i w przestrzeni
niezmierzonych mgławy dwór
Idzie — płynie — ach! bez końca,
jak wyrwany z więzów szwał.

Zamęt ślub wziął z dysharmonią:
szczęk oręży, płacze, gwar,
Fale pieśni melodyjnych,
kaznodziejskich gromy słów,
Poszept modłów, mlask dyscyplin
i lubieżnych syków żar...

Drży powietrza każdy atom —
tak, jak spojrzeć — w szerz i w wyż,
Gdy przed okiem mojej duszy
ten przebarwny sunie huf,
Potrzęsając chustą krwawą,
lub olbrzymi wznosząc krzyż.



XVIII.

Patrzy dusza osłupiała:
Tu z trzepotem skrzydeł burz
Kuruingów mkną zastępy,
czy Atylla, wichrem gnan?
Tam z liliami w chudych rękach
lub na czołach z wieńcem róż
Rozśpiewane tłumy dziewic
zaścielają śniegiem łan.

Planetarne tutaj drogi
kreślą mędrce, przyjdzie zórz
Dla piwnicznych ciemnic ziemi
wieści prorok, a tam z ran
Stygmatycznych krew ocieka,
tutaj kaci ostrzą nóż,
Lub stos niecą, a tam nagość
w rozpasany idzie tan.

Zamęt ślub wziął z dysharmonią...
Ach! uciekać w ciała mir!
Ale dusza jak zaklęta:
wszystek słuch swój, wszystek wzrok
Szle w tych linii, barw i szumów,
w tych akordów dziwnych tłok...

Patrzy... słucha dusza moja,
aż ten chaos, aż ten wir
W jeden zgodny hymn się zlewa,
brzmiący w okrąg — w szerz i w wyż:
Jednem stał się dźwięk z jękami,
jednem z krwawą chustą krzyż...



XIX.

I, porwana pieśnią życia,
leci dusza, niby ptak,
Niby żóraw, za swym kluczem
śród powietrznych mknący dróg...
Płynie z tłumem, z lutnią w ręku,
zapatrzona w wielki znak,
W krwawą chustę, w krzyż olbrzymi,
ponad ziemski wzniesion bróg.

Płynie z tłumem gdzieś bez końca,
aż się zgubi, tam, gdzie szlak
Nieb jesiennych w świt się stroi,
w ten jutrzniany, srebrny smug;
Gdzie nad krawędź ciemnej ziemi
strzela zorza, jak ten krzak —
Gorejący krzak pustynny,
w którym Bóg przemawiał — Bóg!...

Jak się ranna mgła rozwiewa,
tak i sen się rozwiął mój...
W okna moje dzień zagłada,
chłodny, jasny, pełny dzień —
Na ulicach wre już życie
pod działaniem jego tchnień.

Do codziennych zajęć wraca
duch, co widział wieków znój
W niezmierzonej świata kuźni,
ponad którą — w szerz i w wyż —
Krwawej chusty szmat powiewa
lub się wznosi wielki krzyż...



XI

NIE ZGASŁAŚ, PIEŚNI

1.

.

Nie zgasłaś, pieśni, spętana więzami
Westchnień, mdlejących poza widnokrzęgiem
Widomych blasków, poza niedosięgniętą
Otoczą wielkich, zielonawem światłem
Tajności lśnistych przyrzeczeń!... Jak więzień,
U progu skonu, w ciasnej, ciemnej kaźni
Żywi swą przeszłość nadzieją przestrzennej,
Jasnej i świeżej rozkoszy wyzwolin,
Tak nieustannie karmi się ma dusza
Nowych Zwiastowań świętą, bożą strawą,
By chleb złożoną na białym obrusie
Wieczornej uczyty Żywota, przy szumie
Gajów oliwnych, gdy zorze gasnące
Na glob rzucają wielki cień Kalwaryi...
Bo powiedz, powiedz: czem byłaby dusza
Bez tej Komunii Słowa, bez tych głośnych,
Jak serc najgłębsze, najskrytsze życzenie,
Bez tych bezkreśnych, jak głębie przestworów,
I, jak te głębie, arcymelodyjnych,
Tęsknot oddechem drżących Przepowiedni?
Czemże byłyby bez tej słodkiej woni
Drogię wina, które nadprzepastnych

Dreszczów żądliwe wycisnęły ręce
 Z gron nieumarłych Przeczuć i jak płynny
 Przelały bursztyn jego święte krople
 W kosztowny, złoty roztruchan misteryj,
 Nieujawnionych przez mękę i ciernie?
 Nieujawnionych, chociaż u ich wejścia,
 Przywalonego kamieniem, owitym
 Zwojami bluszczów, z tryumfu chorągwią
 Białą i szumną, jak skrzydła gołębie,
 Staje codziennie na świętych Taborach
 W słoneczną rozkosz przemieniana Męka...
 Choć z głową, wspartą na złotej patenie,
 Na cierń spogląda i na krzyż oczami
 Niewysłownych, omdlałych upojeń!...
 Czemże byłaby — powiedz ty, coś ongi,
 Może niedawno, tak jeszcze niedawno,
 Że nie miał czasu prześnić się ostatni
 Sen o srebrzystych świtach na odległej,
 Mgławą aleją świerków ku promiennym
 Wierchom wiodącej przestrzeni pomiędzy
 Umarłym ciałem, a zbudzonej duszy
 Zdumionem okiem — ty, coś ongi, wczoraj,
 Jako niemowlę, zasłuchane w dźwięki
 Pieszczot matczynych, pragnące złowioną
 Powtórzyć nutę, lecz niewprawne usta
 Są jako skrzypce bez strun — — — powiedz, pieśni.
 Ty, coś niedawno jeszcze stała z okiem
 Szklannem od nagłych lęków i zadziwień,
 Przed tą przestrzenią, przed tą po urwiskach
 Pnącą się drogą:

Czem byłaby dusza,
 To źródło życia twojego, bez owej,
 W nieujażnionych tajni nietykalnem,
 Świętem Cyborium ukrywanej Hostyi?
 Nie łzą byłaby, spadła z pod powieki
 Bożej w godzinie twórczych, nieujętych

ludzką rachubą — Jemu czyż świadomych? —
Cierpień, lecz kroplą dżdżu, zlepioną marnie
Z ziemskich wyziewów na to, aby, świecąc
W kielichu lilii lub na liściach ostu,
Zgasła pod skrzydłem owadu lub w piasek
Wsiąkła przydrożny pod kręgami płazu...



II.

SIĄDŹ NA KAMIENIU.

Siądź na kamieniu, który się odłamał
Z odwiecznych skał,
I przez potoku odwieczny szum
Rozmawiaj z Bogiem.

Wiem: nie odgadniesz Jego tajemnicy,
Ale usłyszysz z daleka
Tajemnic pełne westchnienie,
Którym On, wielki, miłosierny Pan,
Twym towarzyszy losom.

I zasłuchany w ten odwieczny szum
Potoku, mknącego z dalekich,
Poza światami skrytych gór,
Nie troszcz o swoje się jutro,
Albowiem nic jego przędzie
Na niewidzialnej kądzieli
Bóg.

Jeżeliś synem jest światła,
Światłością będą twoje przyszłe dni,
A jeśli w czas twych narodzin
Płakała ziemia

Pod ciężkiem brzemieniem mroków,
Nie znajdziesz w sobie tej mocy,
Ażeby z zaćmień gwiazd
Wydobyć blask dla swych dróg.

Na czyn się nie sil i chęci oporu
Folgi nie dawaj:
Krzyk i gniew to druhy
Ludzkiego rąk podnoszenia
Przeciwko temu, co jutro
Ma się wypełnić...

Twym czynem
Siąść na kamieniu, który się odłamał
Z odwiecznych skał,
I przez potoku odwieczny szum
Rozmawiać z Bogiem
I ludziom krzyczącym i gniewnym
Nosić orędzie wieczności,
Pełne dalekich, tajemniczych westchnień,
Któremi wielki, miłosierny Pan
W dal towarzyszy ich losom.



III.

WIECZÓR.

Słońce zachodnie, przygasając, pali
Ostatni ogień na szczytach... Mrok... Smutna
Spływa tęsknica na łąkę; szmat płótna
Bieleje na niej; w bagnisku, wśród fali

Sennych sitowi, rozgwar żab; ze stali
Wykuty księżyc: ziemia, w znój rozrzutna,
Zasypia zwolna; rozbudza ją chutna,
Szalona piosnka pijanych górali.

I ta umilkła... Kępy wierzb, jesiony
I wiązy drzemią nad rowami; szare,
Wilgotne pyły tulą się do trawy...

Snu nieznający, szumi rozkłębiony
Potok, sinawą rozwieszając parę —
Oddech wieczności — na przestwór sinawy.



IV.

POŻEGNANIE.

Dużom się nażył z wami, zacni ludzie,
Dużo waszego najadłem się chleba,
Teraz — żegnajcie! W drogę mi potrzeba,
W drogę daleką, po śniegach i grudzie.

Wiem: jeśli zechcę pozostać w tym domu,
Ramion mi swoich ta gościnność wasza
Chyba nie zamknie; lecz mnie już przestrasza
Dobroć szlachetnych... Nie mówcie nikomu,

Że nic wam w zamian nie dałem: w samotni,
Do której dążą me stopy pielgrzymie,
Będę miał dosyć czasu, by swe imię

Własnym obarczać wyrzutem: stokrotnie
Rani on duszę, w straszniejsze ją wplata
Koło, niż, zacni ludzie, — ręce świata.



V.

RADA.

Starzec, któremu wyżarło już oczy
Patrzenie w przyszłość służebną, rzekł, w drogę
Puszczając syna: Jedną dać ci mogę
Radę, posłuchaj: Zawsze bądź ochoczy,

Mój arcybłąźnie, siadać na krawędzi
Stółka — z szacunku dla wielkiej hołoty,
Co społecznością zwie się, lecz w zaloty
Niechaj cię zbytnia pochopność nie pędzi

Ku prezydentom jej czci, ku marszałkom
I ku ministrom jej honoru: pałką
Wal tych obrońców moralności... Jeśli

Ta, którąś uczcił, obrazi się za to,
Ciesz się, nadchodzi miłościwe lato,
Co ciebie, pana, z rzędu sług wykreśli.



VI.

STARY, CZARNY KRZYŻ.

Stał przy drodze próchniejący,
Stary, czarny krzyż,
Mrok oplatał go wokoło
W podwieczorną ciszę —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Podziurawion był kulami
Z dawno zmiłkłych bitw,
Siadywała przy nim dusza,
Ranne śniąca blaski —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Mnogi tędy tłum przechodził,
Głuchy szumiał wiatr,
A poblizki staw głęboką
Spoglądał tęsknicą —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

O północy, na przyśnicy
Blady płomyk kwitł:
Hej! — mówiono — skarby leżą
Ukryte pod krzyżem —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Wziął się śmiałek do motyki
W świętojańską noc,
Kości ludzkich garść wykopał
Z zakłętej głębiny —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

Przyszli wierni chrześcijanie,
Schowali je w grób,
Szatan resztki powyrzucił
Człowieczej niedoli —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

I nie będą mieć spokoju
Po wieczysty wiek —
Wieczór zemrze, ranek zgaśnie
Dzień i noc zamilkną —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!

W proch rozsypał się nad drogą
Stary, czarny krzyż;
Dusza siedzi na przyśnicy,
Śni o ciemnej pustce —
Ziemio! Ziemio! Ziemio!



VII.

DZIEŃ MATKI BOSKIEJ ANIELSKIEJ.

Dzień Matki Boskiej Anielskiej: drewniany,
W miłosnych żarach słońca poczerniały,
Wiejski kościółek; wewnątrz pełne chwały
Gromnic; prefacya; przycichły organy;

Dźwięk ich wylewa się za próg; tłum ludu —
Krasę spódnice, chustki, szare cuhy,
Zaległy cmentarz; poszept idzie głuchy
Z ust wpółotwartych: oczekują cudu...

Oto się spełnia... bije dzwon; w pokorze
Niewysłowionej chylą się ku ziemi
Prostacze, znojne, żądne Prawdy głowy.

A z lip, wsłuchanych w Tajemnicę boże,
Milczące Słowo, pada kwiat: drżącemi
Z dziwu rękami rwie go wiew sierpniowy.



VIII.

PROCESYA.

Baldachim, utkan z złota i purpury,
Chwieje się w słońcu ponad falą głów —
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów —
Pod baldachimem, wzniesiona do góry,

Błyszczą monstrancya; tryumfalne wtóry
Brzmia, jakby świętych rozśpiewał się huf —
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów! —
Wraz wiewem szepcą chorągiewne sznury,

Cmentarny Chrystus na kamiennym krzyżu
Wplata w te hymny modlitwę bez słów —
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów!

A w feretronie Franciszek z Assyżu
Śni tajemnicę, wielkich, przyszłych, snów —
Czego ci trzeba, biedna duszo? mów!...



IX.

MIŁOŚCI PEŁNE NIECH BĘDĄ TWE USTA.

Miłości pełne niech będą twe usta —
Pocałunkami darz tę wrogą ziemię,
Co, w mgły wieczorne otulona, drzemie,
O nowym znoju-ć marząca. Niech pusta

Złość cię nie szarpie, że cię jej ścierniska
Krwawiły za dnia: liche żniwobranie
Miałeś, ty siewco bożych snów, na łanie,
Chciwym sprawniejszych pługów... Ale ślizka

Jest droga gniewu, wiedzie nad przepaścią,
Do której strącisz ostatnią nadzieję
I resztkę wiary, żeś był godzien plonu

Szlachetniejszego, zaś, na przekór chaściom,
Ziemia-ć da sypki zbiór, gdy ją obsieje
Miłość, silniejsza od zwycięstwa skonu.



X.

MRÓZ.

Baranią czapkę nacisnął na uszy
I wyszedł w pole. Milczkiem przywitały
Upiorne świerki Mróz siarczysty, biały;
Pod jego stopą suchy śnieg się kruszy.

Styczniowych nocy Pan zaciera dłonie,
Iż stłumił życie po drogach; nie złowi
Żadnego głosu. Tylko potokowi
Szumy się z piersi wyrywają. Po nie

Zgniewany idzie Mróz. Chce ściąć oddechem
Moc, która płynie, kajdanom daleka.
Zgiął się na brzegu, powiał lodem. W lesie

Zamarły drzewa. Lecz szumiąca echem
Wieczności, w tajniach gór zrodzona rzeka
Hymn swój, wciąż żywy, w dal miesięczną niesie.



XI.

DROGA.

Wybrałem sobie drogę, której sanie
Moich sąsiadów nie ruszyły. W lecie
Krzewna tu rosła trawa, dziś zamiecie
Biel swą pokładły na przemarzłym łąnie.

Brnę po pas w śniegu, pot mi czoło zlewa,
Choć takie zimno, że kawki i wrony
Znikły, a wczoraj tłum ich wygłodzony
Wrzaskiem oprzędzał te samotne drzewa.

Śmieją się ze mnie poczciwi ludziska:
Poco wam, panie, trud ten? Tak się żali
Chłop, który czasu dość miał poznać zbliżka

Potrzeby życia... Lecz ja brodzę dalej,
Zda mi się bowiem, że z tej drogi końca
Zobaczę lepiej zachód mego słońca...



XII.

DZWONKI SANEK.

Szczelnie dziś okna przysłoniłem w domu —
Nie chcę, by zajrzał kto do mego wnętrza:
Cisza w niem teraz włada przenajświętsza,
Jej tajemnicy nie zdradzę nikomu.

Zali szczęśliwsza godzina być może
Nad tę samotność, której siła żywa
Gdzieś w ponadziemski przestwór nas porywa
I w bezgranicznym zatapia przestworze?

Zdarzyła mi się przecież chwilka jedna,
Że, gdym usłyszał bujne dzwonki sanek,
Mknących po mrozie, jakaś moc bezwiedna

Do przysłoniętych pchnęła mnie franek.
Alem się oparł: pocóż księżyc złoty
Miałby się chyłkiem zaśmiać z mej tęsknoty.



XIII.

CICHE, SAMOTNE RZĘDY WIERZB.

Ciche, samotne rzędy wierzb nad rzeką!
W godzinach zmierzchu, w dni, okryte szronem,
Gdy z pustej izby uchodzi w daleką
Przestrzeń ma dusza i broczy w czerwonym
Morzu promieni, które sennie cieką
W głębinę śmierci, melodyjnym tonem
Tak ją przynęca ten wasz smutek mnogi,
Że choć ma Raj przed sobą, staje w pół swej drogi...

Staje i wzrok swój, ze wzruszeń poblądła,
Szele na rozległy obszar pól, przecięty
Strugą srebrzystą, nad którą widziadła
Pni waszych starych wypuszczają pręty
Błękitnych tęsknic, i, łaknąca jadła
Wspomnień wiośnianych, zrywa ledwie wszczęty
Sen o zaświatach, by, łzami rzewnymi
Zalana, z bolem dziecka tulić się do — ziemi...

Ciche, samotne rzędy wierzb! Niewiele
Wchłonęła ona uciechy w tej kaźni
Ludzkiego życia; lecz, jeśli wesele
Możnaby twórczym rylcem wyobraźni
Wykuć w kosztownym, marmurowym dziele,

Jak na posągach ci wodzowie głaźni,
Błogosławiący zwycięskiej potrzebie,
To w wasze-li wspomnienie wrzeźbiłaby siebie...

Tak! Nie wiedziała ma dusza i nie wie,
Co znaczy spokój. Cisza przenajświętsza,
Drzemiąca w mroków świątynnych zalewie,
Była jej obcą!... Precz od swego wnętrza
Mknęła, jak z gniazda na bezlistnem drzewie
Ucieka ptactwo, gdy się nad niem spiętrza
Zwał chmur, nasycon strawą burz, a przed nią
Biegł goniec z nowych szarpań gorzką przepowiednią.

Jak ten wędrowiec, któremu się spieszy
Wyjść z ciemnych gąszczy, albowiem ostatni
Gaśnie już odblask promienistej rzeszy
Ogni wieczornych, zabłąkanych w matni
Głuchego lasu, tak ona, pieleszy
Syta ojczystych, syta ciężby bratniej,
Chwiejne, bywało, skrzydła rozprzestrzenia
Ku krajom cudzoziemskim, ku strefom wytchnienia.

Szła, gdzie przedziwne huczą wodogrzmoty,
Spływając szumną, kroplistą kurzawą
Po alabastrach gładkich ścian na złoty
Piasek przydrożny; szła z swą raną krwawą
Ku tym powiewom ukojnej pieśczoży,
W których, za wiatru łagodnego sprawą,
Drżą przerozkosnie eukaliptów wierzchy,
W bajeczne, w czarodziejskie zapatrzone zmierzchy.

U lodowcowych spoczywając zboczy,
Głos swojej skargi, nie słyszanej przez ludzi,
Słała ku szczytów śnieżystej przezroczy,
Zali współczucia w ich wnętrzu nie zbudzi:
I wraz się echo rozlewne potoczy
Głębią przestworów i takim ją złudzi

Brzmieniem organnem, jakby głąb daleka
Zmieniła w wielkie szczęście wielki ból człowieka.

Albo się pięła na skalne urwiska,
Wzrokiem rozległe obejmując kręgi,
W mżach zatopione błękitnych i, blizka
Zmilkłej, tajemnej niebiosów potęgi,
Która wokoło chłodne światło ciska
Na fale świerków, na drzemiące łęgi,
Precz usuwała granice pomiędzy
Władaniem zbawczej śmierci i żywota nędzy.

Nad jeziorami błędząc, na pół senna,
Śledząc radosne łodzie po lazurze,
Słonecznych pełne uśmiechów, lub z lenna
Zagasłej chwały, z ruin, jasne róże
Rwąc w zamyśleniu, albo bezimienna
W swych towarzyszek głośnym krocząc chórze
Po marmurowych willach, rozkosz świata
I smutek przenaigłębniejszy w jedną nicość splata.

A w tych wędrowkach, wzniosłą czy powszednią
Wlokła się drogą — czyż były godziny,
Ażebym naraz, jakby przepowiednią
Kary brzemienne przypomnienie winy
Nieopłaconej, nie ozwał się przed nią
Mrocznych przepaści ten widnokrag siny,
Za mgłą ukryty niezmierną, daleką,
Z samotnym, cichym rzędem starych wierzb nad rzeką?

Gdzież jej, tak biednej, a tak winnej duszy
Mdlejące żądze ukojeń nie wiodły?!
W katedr potężnych uroczystej głuszy
Stawała, nieme odprawiając modły;
Wsparta o filar, ani się nie ruszy,
Patrząc pokornie w ten półblask wychłodły,
Gdzie na ołtarzach, przystrojonych w zieleń,
Rozlewa się przedziwna tajemnica Wcieleń.

Pomiędzy kolumn bazaltowych rzędy,
 Które się przed nią, niby żywe, snuły —
 Strzelistych duchów wymowne legendy —,
 Kroki swe niosła i swój umysł, czuły
 Na gigantyczne gwary i rozpędy,
 Rozgrane w ciszy stuleci, kopuły
 Wypełniającej wielką ceremonią
 Nabożeństw, co zagasły, a jednak się płonią...

Popod kamienne cisnęła się wnęki,
 Okiem, rozwartem od nagłej zadumy,
 W cudownych rzeźbach śledząc boskiej ręki
 Ukryte piętna, czując, że rozумы
 Ludzkie bez skutku odgadują męki
 Twórczej rozkoszną tajemnicę, w szumy
 Niebiańskich skrzydeł zakłęta, bez końca
 Pchającą swych wybrańców do wiecznego słońca.

Pod grobowcami stając, prowadziła
 Niemy rozhovor z tęsknicą rycerzy,
 Wykutych w głazie: bo taka w nich siła,
 Taki hart życia w ich spojrzeniu leży,
 Iż porfirowa niejedna mogiła
 Zda się nie grobem, ale jest jak świeży
 Namiot wśród pola i że świat z tej kuźni
 Nowego bohaterstwa na czyn się nie spóźni...

Surowi święci, którym nieuchronny
 Cień śmierci okno przysłonił w godzinie
 Rannych przebudzeń, okno w nieboskłonny,
 Bezmierny przestwór; chmurne prorokinie
 I życiodajne, przejasne Madonny,
 Ciała pokutnic, złorzeczących winie
 Łzą i żrenicą, zwróconą ku wyży,
 Skąd spływa odpuszczenie na ramionach krzyży —

Obrazy sądu, huczące surmami
 Archanielskimi swoich twórców imię;

Wizye zmartwychwstań, zespolonych z nami
 W jakieś pragnienie barwne i olbrzymie,
 A melodyjne, że my, zda się, sami,
 Acz wychowani w mętach łez i w dymie
 Żłudnych nadziei, lecim mocą Łaski [blaski.
 W promienną, dźwięczną prawdę, w zmartwychwstanie

Tych wszystkich uciech drogocenną czaszę,
 Cyzelowaną w złocie, chyli do dna,
 Przy świętej uczcie korna, jako ptaszę,
 A jednak dumna, górna i swobodna:
 Wszystko to — mówi — zwiastowanie nasze!
 Wszystko to ducha urodziła płodna
 Moc na świadectwo, że jesteśmy z Boga,
 Że k'Niemu przez te twory ludzkie idzie droga!

I ślubowania niewymowne czyni
 I niewymowne szczęśliwości marzy:
 Męczeńskie lilie zakwitają przy niej,
 Biczę jej niosą pustelnicy starzy;
 Na odgłos kroków w bezludnej świątyni,
 Odbijających się od snu witraży,
 Całe procesy w jej oczach się rodzą
 I kroczą pod wielkiego Twórcy wodzą.

I ona idzie z niemi: Panie! Panie!
 Wesoła śpiewam przed Twą świętą arką!
 Żadnego bólu szpon mnie nie dostanie
 I żaden ciężar nie będzie mym barkom
 Silnym za ciężki!... I anielskie granie,
 Uragające doczesnym jarmarkom,
 Wtórzy jej hymnom — wspaniała muzyka,
 Co duszę żądzą wlotów nadziejskich przenika.

Z ołtarnych płócien, z ścian, co chwałę wieszczą
 Twórczej wszechmocy kolorów wymową,
 Schodzą Madonny i słodko ją pieszczą;
 I Chrystus rękę swą mozaikową

Wyciąga ku niej; i ona tym dreszczom
Cała się podda i, z wzniesioną głową,
Snać skamieniawszy w przeźroczym zachwycie,
Jednę li widzi przestrzeń: nieśmiertelne życie!

Melodye płyną do jej wnętrza — pieśni,
Które z mistycznej swobody wysnuli
Mistrze, dławiający się w więziennej cieśni
Tej gwiazd wpółzgasłych pobratymczej kuli;
A ona, płonąc ogniami, jak trześni
Dojrzały owoc, w te dźwięki się wtuli
I, snąc dojrzała pragnieniem wieczności,
Już czeka, aby w rajskie zaniósł ją włości.

A gdzieś z oddali, do stóp jej się ciśnie
Sinawa smuga — to błyska, to gaśnie,
To się podnosi, to dołem zawiśnie
Jak na moczarach owe błędne jaśnie,
Które wędrowcom, jak gdyby rozmyślnie,
Rzucają w serce niepewności waśnie
I, na bagniste zawiódłszy rozdroże,
W sitowiacz ostateczne ścielą dla nich łoża.

I, jak różańca rozrzucone ziarna,
Sypią się na nią pytania: Ach! czyja
Dłoń tutaj władnie, tak można, iż czarna
Wstęga trzęsawisk tłumi i zabija
Światłość nadziemską? Że chwyta, bezkarna,
W swoje zarośla wątlą duszę?... Żmija
Rani nas żądłem swoim mniej zjadliwie,
Niż smutek, który wyrósł na tej mgławiej niwie.

O niezgłębione, nieskończone morze!
Ty biczujące swoje fale własne
Z takim pomrukiem, jakgdybyś w przestworze
Władło-li jedno, jakbyś gwiazdy jasne
I wszystkie lądy, ich słońca i zorze
Do ustąpienia znagliło, za ciasne

Bojąc się znaleźć łożysko dla siły,
Z jaką się twoje wszystkie głębie rozpieniły!

Przysłuchiwała się dusza twym głosom,
Kuląc się w sobie z lęku i zdumienia,
Albowiem czuła, że szum ten niebiosom
Wyrwałś gniewnym wówczas, gdy stworzenia
Były raz pierwszy porzucone losom
Na żer haniebny! I tak się rozplenia
Od owej chwili, tak swe ślady znaczy
Po świecie ślepa dola samotnych tułaczy.

Ale nie zawsze byłeś tak wszechmożnie,
Majestatycznie bezlitośnie! Mewy
Stałoś jej srebrne, skrzydłami ostrożnie
Zakłócające sennej piany śpiewy —:
Zjawiska łodzi z białą żagli, zbożnie
Płomieniejących wśród żarnej ulewy
Blasków zachodu i wschodu, szły do niej
Z błękitnej, horyzontem zamkniętej ustroni.

I otwierała ku nim swe ramiona
Ta błędna dusza — zali nie wysłańce
Idą z dziedziny, gdzie cierpienie kona
I gdzie tułactwa znajdują się krańce...
Lecz kiedy znowu fala rozburzona
Poczęła fale chwytać w dzikie tańce,
Wnet z wierzb obrazem, co nagle z pomroku
Wychylał się, w świat dalszy przyspieszała kroku...

Ciche, samotne rzędy wierzb — — — — —



XIV.

FRAGMENT.

.

Święta, jedyna pieśni! Ty, łowiąca
Szumy i szepty, które sennie płyną
Z za niewidzialnych granic! Oto znowu
Zbliżam się k'tobie i znowu spoglądam
W głębie twych oczu, słodka miłośnico,
I jakby w rżniętej z kryształu soczewce,
Która skupionym wypala promieniem
Rękę, żądliwą słonecznych stygmatów,
Widzę w twych oczach katuszę i rozkosz,
Odbrmiewające drganiem żarnych pragnień
Mojej rozkoszy i mojej katuszy!
Usta ci kładę na pierś niespokojną,
Rozfalowaną tajniami przebudzeń
Jakichś niezwykłych, dotychczas nieznanych,
W ciemnościach łona spowitych żywotów,
Oczekujących widomych ujawnień,
I usta moje ogarnia niepokój...
Lękam się trwogą wyczerpanej siły,
Czy w ust tych czarze, wypełnianej gorzką,
Powszednie głody sycącą słodyczą,
Znajdzie się dosyć i miejsca i władzy,
Ażebym mogły wchłonąć żar twój czysty,

Przelać go w duszę i zblaknąć i umrzeć
Z zabójczej woni nadmiernych upojeń...
Dokąd pójdziemy? Powiedz! Mów! Czy znowu,
Niesyta wstrząśnięć, pragniesz być odbrzmieniem
Nadciągających nawałnic, jak wówczas,
W dniach niedogastych, kiedy chwiejna, słaba,
Z skrzyżowanemi na piersiach rękoma,
Stawała dusza u wywierzysk nędzy
Swojego życia, niezmiernych, jak smutek,
Który przenikał Twórcę, gdy na lica
Stworzeń wyciskał piętno własnych bólów?
Może, jak ongi Dusza, pragniesz znowu
Swe porażone, z promieni otarte,
Zamilkłe oczy wlepić w błyskawicy
Czerwień złowrogą, a uchem, stępiąłem
Od górnych szumów i krwawych łoskotów,
Gniewu bożego straszne łowić gromy,
Na wargach tłumić klątwy albo szepty
Bezradnych modłów, cisnące się z krtani
Perlistym sznurkiem rozłkanych krwotoków?
Tak, czyliż mamy znowu być, jak ongi,
Niby dwa wielkie, ponadmiar wyrosłe,
Potworne cienie czarnego, ponadmiar
Twej wyobraźni wzrosłego obłoku,
Którym On, w ślepej nienawiści świata
Sąd sprawujący surowy nad biedną
Duszą człowieka, przesłonił swe oczy,
Aby nie widzieć ran jej? Czyż znów mamy
Stanąć w oblaskach tych groźnych płomieni,
Rażących dzieło Jego własnej Duszy?
Czyż mamy tulić się do skał z przestachu
I z przerażenia, gdy od Jego gromów
Zdają się stapiać w niebotyczną bryłę
Wszystkie załomy, wszystkie kanty, wszystkie
Strzępy granitów, jak ongi, gdy głaźnym
Wytrysły zwałem z pękającej ziemi?
Czyż, ledwie wążki czując skraw oparcia

Dla słabych palców naszych, nóg strudzonych,
Mamy, zawieśli nad przepaścią zmroków,
Trzymać się dłońmi aż do krwi tych chwiejnych,
Jego razami kaleczonych urwisk?
Czyż martwą głębią oczu, które z lęku
Snać już na zawsze straciły świadomość
Ujrzanych niegdyś wiosennych rozświetli,
Mamy spoglądać w tę dolinę świata,
Gdzie noc i łuny pożarów i ciężkie,
Zgęszczone męty powodzi i płacze
I klątwy ludzi ginących i zboża
Padłego skonne, wyziewne westchnienia
W jedną grobową utkały się przędzę,
W całun dla jego dobroci i głuchej
Sprawiedliwości?... Potoż my się mamy
Borykać z Stwórcą, aby jednym ruchem
Swojej powieki pokazał stworzeniu,
Że jego wnętrze jest słabością sługi?
Że wobec Niego głuchem jest i niemem,
Chociażby miało w sobie wszystkie struny,
Na których wichry wygrywają hymny,
Rozrywające dziko słodkie węzły
Pomiędzy nami a Nim?!... Czas już dawno
Nadszedł dla ciebie, ażebyś umiała
Lekceważąco kopnąć ból, choć chmurne,
Tajemniczością pomarszczone czoło
W królewską lubi ozdabiać obrączkę,
Chociaż się mieni panem serc wszechmocnym,
Choć towarzyszy wcielaniu się Ducha
I choć ustami jego łka w żałobnej
Chwili wyzwolin... Pójdźmy w to powszednie
Roisko mrówek!... Co za tłum! Żebrzący
Litości bożej, tak jak my oboje!...
Każdemu z oczu bije żal!... Najmniejszy
Nieznaczny płatek śnieżystej kurniawy,
Którą Bóg zmroził w drodze ku tej ziemi;
Najlichszy pyłek w tym proszku człowieczym

Którym On, chcąc się zabawić, obsypał
Tę naszą smutną gwiazdę, aby przyćmić
Jej blask pierwotny — każdy ma swą wielką,
Swoją bezmierną, swą jedną jedyłą,
Nieprzemoloną tragedye!... Do syta
Spospolitował się ten gorzki orszak:
Jedni tak szczerze płaczą, że jak brony
Stały się łzy ich, albo też jak radła,
Puszczone ostrzem w twardą glebę! W bruzdy
Skrajane mają policzki i skronie,
W bruzdy, na których hojny posiew smutku
Wyrósł i bladym zakwitł chryzantemem.
Innym już nawet braknie łez; bezpłodnie
Zawędło serce, które tak obficie
Rzuca naokół owocami żalu:
W dłoniach ukryli twarze, pochyleni
I nie mogący się już wyprostować,
Bo dawno pytać przestali: dlaczego?
A inni znowu uwięźli na miejscach,
Jak szereg słupów kamiennych, jak hermy,
Poustawiane przy drodze wieczności,
Ciosane ręką wielkiego Drwinkarza,
Który z igraszki, w krotochwilnym śmiechu,
Wrzeźbił w ich rysy urągłiwy wyrzut
Dla ich własnego Stwórcy, a jedynie
Wstrzymać się nie mógł i martwym ich oczom
Tyle wyrazu dał dziwnego smutku,
Tyle rozpaczy i tyle niedoli,
Że kiedy spojrzy na nie, a spoglądać
Musi, w tej chwili, nagle, zapomina
O ich szyderstwie i w własnych żrenicach
Czuje odbicie ich nędzy i — płacze...
Płacz, ty swawolny Rzeźbiarzu grymasów
Maskaradowych! Płacz, ty wielki Zduniu,
Który, usiadłszy w słonecznym warsztacie,
Lepisz codziennie miliony garnków
I słońc spalonych napełniasz popiołem

I potem, zgięty nad niemi, jak dziecko
 Z rozigranemi oczami nadymasz
 Swoje policzki i dmuchasz w ich wnętrze,
 By się ten popiół rozwiął na okręgi
 I szarą przykrył żałobą najbielszą,
 Najuroczystszą, najjaśniejszą wiosnę...
 Płacz, Arcymistrzu wspaniałych egzekwii,
 Co trumny miękkim naodziewasz kirem,
 Na katafalki wznosisz podsozrębne
 I gromnicami obstawiasz, z zakrystyj
 Najposępniejsze wyciągasz ornaty,
 Z mory i czarnych jedwabiów, z srebrzystym
 Krzyżem na plecach!... Płacz, Ty, co wymyślasz
 Najprzenikliwsze melodye, tak strasznie
 Słodkie i jasne w swoim gorzkim mroku,
 Że się do syta napięścić nie może
 Ta moja dusza, kąpiąca się w dymnych
 Kłębach bursztynu... Płacz-że, płacz, ty wprawny,
 Chyży kościelnych wrótni Otwieraczu —
 Już poza progiem Twój orszak...

Święta, jedyna pieśni! Ty, łowiąca
 Szumy i szepty, które sennie płyną
 Z za niewidzialnych granic!... Oto znowu
 Zbliżam się k'tobie i znowu spoglądam
 W głębie twych oczu, słodka miłośnico,
 I żebrzącemi śmiem cię błagać słowy,
 Iżbyś stanęła przy mnie już nie z bolem,
 Ale z słoneczną, wiosenną radością,
 Która daleko, od ziemi, u kresu
 Ludzkiej tęsknoty, rozświetli mi bezmiar
 Świętych tajemnic!... On tam władnie, jasny,
 Cichy, spokojny Rozdawca spokojnej,
 Jasnej, słonecznej, gwarom, krwawym krzykom,
 Łzom i rozpaczom świata niedostępnej
 Nieśmiertelności...



XV.

BALLADA O SŁONECZNIKU.

Stary, oślepy słonecznik
Sam jeden mi jeszcze pozostał
Z wszystkich mych kwiatów-przyjaciół
W tym zachwaszczonym ogródku;
Słyszałem-ci nieraz w nocy,
Jak wicher bez miary go chłostał,
Nie mogłem mu żadnej dać ulgi,
Chyba pociechę smutku —
Lepiej się puścić w tan...

Upiłem się kiedyś wieczór —
Wino zbawienną jest mocą: —
Pięścią wytłukłem szybę,
W gór łańcuch patrzę daleki —
Ponoć to śniegi tam leżą,
Ponoć to gwiazdy migocą,
Ciężary mroków wilgotnych
Na ciężkie mi spadły powieki —
Lepiej się puścić w tan...

Ponoć to łąki wyschnięte,
Bezlistne jasionie przy drodze,
To ponoć olchy nad bagnem,
To kępy zwiędłych rogoży;
Ponoć to ludzkie rozpacze

Puściły krokom swym wodze
I spieszą w mgławych całunach
Na pogrzeb litości bożej —
Lepiej się puścić w tan.

Ponoć i ja miałem braci,
Na straszną gdzieś poszli wojnę —
Śmierć rzekła mi o tem wszystkim,
Całując spiekłe me usta — —:
Niech huczy ta czarna głębia,
To morze łez niespokojne,
Niech wiatrem dyszy jesiennym
Ta ziemia, krwią ich tłusta —
Lepiej się puścić w tan...

Stary, oślepy słonecznik
Przez szybę się wciska stłuczoną
Do mej wesołej izdebki,⁴
Pełnej zapachu wina:
Pożegnał się już oddawna
Ze swą złocistą koroną,
Łyse, szczerniałe skronie
Na piersi moje zgina —
Lepiej się puścić w tan...

Jak pies, tak łasi się do mnie,
Do mego tuli się lica:
Wielką uczułem kroplę
Na rozżarzonej twarzy:
Rosa mu z jamy pociekła,
Gdzie ongi była źrenica —
Stary, oślepy słonecznik
Głośno się, milcząc, skarży —
Lepiej się puścić w tan.

Nie drwij ze siebie i ze mnie,
Ty z moich druhów ostatni!

Wszycyśmy na to stworzeni,
By błogosławić śmierci!
Niech rycerz ginie od stryczka,
Jesiotr niech dławi się w matni,
Bóg z swego tronu niech spada,
Włócznia niech w bok się wwierci — —
Lepiej się puścić w tan!

Nie będzie ci ulgą mój smutek:
Upił się dzisiaj radością,
Żeś tak nikczemnie zmarniał,
Ty, coś spoglądał w słońce;
Inne lekarstwo ci niosę,
Co daje próchnienie kościom,
A duszę — hej! pijcie ze mną,
Pijani śmierci gońce,
Puśćcie się razem w tan!

Ostatni liść z niego zdarłem,
Ostatniem wyluskał ziarna,
Zdrzewiała, twardą łodygę
Ręką chwyciłem pewną:
Z korzeni się pod me okna
Ziemia sypnęła czarna,
Stary, oślepy słonecznik
Snać łąą zapłakał rzewną —
Lepiej się puścić w tan...

Wstałem nazajutrz — czy zbawca,
Czy zbrodniarz? — hej! któż mi to powie!
Zbudziłem się w izdebce,
Pełnej zapachu wina...
Stary, oślepy słonecznik
Bez złotej korony na głowie
Jużci swojego smutku
Do smutków moich nie zgina —
Lepiej się puścić w tan...



XII

NA TON BALLADY

1.

SIEROTKA.

W świat idzie biedna sierotka
Z oczkami zapłakanemi —
Wiatr wieje i sypie śniegiem
Po zamarznętej ziemi.

Macocha wygnała z domu,
Zimno i noc już zapada,
Przy drodze nagie topole,
Wron się zrywają stada.

W świat idzie biedna sierotka,
W pustkowie zatapia oczy,
Wtem przed nią pałac ogromny
Z gęstej wychyli się mroczy.

W oknach goreją światła,
Zamek, jak płomień, czerwony,
Łuna złocista bije
Na mury i bastiony.

W komnatach głośno rozbrzmiewa
Przesłodka »W żłobie leży«,
Sierota zdumiona staje
U pałacowych dźwierzy.

Chce dzwonić, nie sięgnie dzwonka,
Chce pukać, za słabe dłonie:
Nikt jej nie słyszy w zamku
Co w świetle i pieśni tonie.

Gdzie — w którą stronę się udać?
W mgłach przed nią świat daleki!
Pod murem zamkowym spocznie
I zaśnie — może na wieki!?!...

Wiatr wieje i śniegiem sypie —
Sierotka wyteęza oczy:
U stóp zamkowych chatynka
Gubi się w gęstej mroczy.

W okienku światło przygasa,
Przymilka kołęda słodka:
Otwórzcie mi, dobrzy ludzie,
Ja-ć biedna jestem sierotka!

Otwarli jej drzwi sosnowe,
Wpuścili do niskiej chaty:
Ogrzej się, dziecię, przy ogniu,
Zjedz kąsek niebogaty!

Sierotka siadła przy ogniu —
O jaki los szczęśliwy! —
I kromkę ma, a wokół
Dzieją się cuda i dziwy:

W izbie, gdzie knotek przygasa,
Gdzie głosu na pieśń nie stanie,
Światłość się wielka rozlewa
I setne słychać granie.

W białych, jak śnieg, sukienkach
Wkraczają aniołowie

Skrzypeczki im błyszczą w dłoni,
Korony jasne na głowie.

Kolędy przecudowne
W nadziemskie płyną raje,
A w środku tego orszaku
Sam Chrystus biały staje.

Rzucił niebieskie progi,
Kościoły rzucił złote,
By podziękować biedakom,
Że w dom przyjęli sierotę.



II.

PIEŚŃ O PANI, CO ZABIŁA PANA.
Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Stała się nam nowina,
Wiatrami zdała przywiana;
Na zamku, na rycerskim,
Pani zabiła pana.

Zabiła go w noc ciemną,
Rutę posiała na grobie:
Żal-ci nam będzie, mój kwiecie,
I mnie żal będzie i tobie.

Chrobrego pojęłam męża,
Hyry szły o nim po ziemi:
Dziś on pogrzebion w dole,
Ja płaczę łzami rzewnemi.

Rutę zasiewam zieloną,
Ruta mu z łona wyrasta:
Wyjdź z mieczem mściwym w rękę,
Na miecz twój czeka niewiasta.

Nie widzę już twych oczu,
Do warg się twoich nie tulę —

O jakieś mi promieniał,
W żelazną odzian koszulę!

O jakiś rósł mi w niebiosy
W obłyskach rycernej chwały,
Siedzący na siwym koniu,
Gdy rogi wojenne grzmiały.

Gaszek mi siedzi przy boku — —
Przecz twarde serce twoje?
Żonę-ś samotną zostawił,
Na szumne ruszyłeś boje!

Po dworca zmiłkłych komnatach
W żalnej się błąkam tęsknocie —
Łóżnicze zgubiłam klucze,
Myślę o twoim powrocie.

Gaszek przy boku mi siedzi —
Odejdź zdradzieckie pacholę:
Chrobrego pojęłam męża,
W krwawe wyruszył pole.

Na siwym wyruszył koniu,
Złote tętniły podkowy;
Rycerną okryj się chwałą,
Powracaj do dom zdrowy!

W dostojnym powrócił blasku,
Hyr przed nim szedł rozgłośnie —
Dziś go ukryłam w grobie,
Ruta dziś na nim rośnie.

Niedarmom cię posiała —
Rośnij-że, ruto zielona!
Czemuś wyruszył w boje?
Czemu samotna twa żona?

Rośnij-że, ruto zielona — — —
Zali to tętent na moście?...
Idź, dziewczko, spojrzuj z wieży,
Jacyś k'nam jadą goście.

Hej! jadą zbrojno i strojno,
Pochmurną widzę kurzawę —
Duszna spiekota na ziemi,
Słońce zapada krwawe.

Hej! strojno jadą i zbrojno,
Aż mi się mąci w głowie,
Tak lśnią się na karych koniach
Ci nieboszczyka bratowie.

Szabelki im pobłyskują,
Czerwone pod nimi siodła —
A witaj-że nam, bratowa,
Wielka nas tęskność wiodła...

Nadeszła ku nam nowina,
Wiatrami zdala przywiana;
Na zamku, na rycerskim,
Pani zabiła pana.

Przecz ci pobladło tak liczko,
Fartuszek twój skrwawiony:
Brata chcieliśmy przywitać,
Z obcej jadący strony.

Na karych jadący rumakach,
Przytępiliśmy ostrogi —
Tak spieszno było nam k'tobie;
Gdzie mąż twój, gdzie brat nasz drogi?

Krople spływają po siodłach,
Pot się na grzywach pieni,

Duszną spiekota wśród pola,
Do chłodnej wiedz nas sieni.

Słońce zachodzi krwawo,
Niebo zorzami płonie,
Rutę siewałaś na grobie,
Zmęczone drżą ci dłonie.

Witaj nam, witaj, bratowa!
Z radości padasz wielkiój:
Kity nam lśnią się na hełmach,
Przy boku błyszczą szabelki!

Pragniemy uścisnąć brata —
Gdzie mąż twój, gdzie brat nasz luby?
Sto wroga o ziem powalił,
Z stu hełmów zerwał czuby.

Rycerną się okrył chwałą,
Świat ją na wieki przechowa:
Szczęśliwsza gdzież jest żona?
Szczęśliwa witaj bratowa!

Do chłodnej wiedz nas sieni,
Mężowską otwórz łożnicę,
Skrwawiony twój fartuszek,
Pobladło twoje lice...

Ani mi lice pobladło,
Ani mój fartuch skrwawiony — —
Ruta na grobie rośnie — —
Małżonek odbiegł żony...

Nie wrócił z wojennej wrzawy,
W żalu samotna ginę —
Słyszałam, że w obcych krajach
Wesołą ma godzinę.

Ruta na grobie mi rośnie,
 Po serce mi rośnie, o dziwy!
 Z gamratką czas ci ubiega,
 O drogi mężu zdradliwy!...

Zamilkły o nim hyry,
 Zgasła rycerna chwała,
 Zdradzona tylko żona
 W niezgasłym smutku została.

Chwyć konie za uździenice,
 Staw je, pachole, przy żłobie — — —
 Witajcie, mili bratowie — —
 Ruta wyrasta na grobie...

Na oścież bramy otwarte —
 Witajcie, bratowie mili:
 Dawnom już, dawno nie żyła
 W takiej radosnej chwili.

Przynieście złote puhary,
 Miodu rozlejcie strugi —
 Czekałam na ucztowanie,
 Czekałam czas tak długi!

Siądźcie przy krągłym stole —
 O jak wam błyszczą szabelki!
 Kity się chwieją na hełmach,
 Ginę z radości wielkiej!

Duszno w dziedzińcu i parno —
 Słońce zapada krwawe —
 Zwycięstwo bije wam z oczu,
 Na czole widać sławę...

Siądźcie w dębowej sali,
 Ochłódźcie spiekłe usta;

Rumieniec na nich zakwitnie,
Odświeży je radość pusta.

Trąćcie się ze mną kielichem —
Gdzie jesteś, mężu zdradliwy?
Ruta na grobie rośnie,
Po serce mi rośnie, o dziwy!...



III.

PIEŚŃ O BURMISTRZANCE.
Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Poszli z siecią rybarczycy
Na wielkie jezioro,
Radują się, weselą się:
Będzie rybek sporo.

A trzcina szeleści...

Radują się, weselą się —
Hej! nasz mocny Boże!
Ja-ć gromnicę na ołtarzu
Woskową położę...

Ja-ć koronek zmówię cztery
I za mszę zapłacę,
Tylko dobry daj nam połów,
Wspieraj naszą pracę!

Poszli zbożni rybarczycy
O poranku, w lecie,
Zapuscili na głębinę
Białe, lniane siecie.

Idą na dno siecie lniane,
Trzcina w krąg szeleści —
O czym prawi chwiejna trzcina?
Jakież niesie wieści?

Czy o skarbach zatopionych?
Czy o rybce złotój,
Którą złowił rybak młody,
Ginący z tęsknoty.

Czy o siostrze trucicielce?
Czy o zradnej żonie,
Co, zabiwszy swego męża,
Poszła spać na tonie?

Z żalu poszła i rozpaczy
I śpi do wieczora,
A zaś nocą wstaje z głębin,
Siada u jeziora.

Widzieli ją starzy ludzie:
Wyżarte ma oczy,
Łono w szmaty poszarpane,
Ręka we krwi broczy...

Starzy ludzie ją słyszeli —
Woła na wsze strony:
— Oczy wzrok mi twój wypalił,
O mężu zdradzony!

Płyną zbożni rybarczycy,
Siecie idą na dno —
Dobry połów! ciągnij, bracie!
Wyciągnąć nie snadno!...

Widać, szczupak choć na łokieć,
Albo jesiotr duży —

Kto się umie wziąć do dzieła,
Temu szczęście służy...

A trzcina szeleści...

Hej! nie szczupak to, ni jesiotr —
W białe, lniane siecie
Ułowili rybarczycy
Niewiniątko-dziecię.

Niewiniątko ułowili,
Niosą je do miasta:
Kaź-że dzwonom bić, burmistrzu,
Gdzież ta zła niewiasta?!

Gdzież ta matka? Gdzież zbrodniarka?
Dziewczyna czy pani?
Wstydem serca napełniła,
Miecz katowski dla niej.

Miecz katowski albo topiel
Na wieczną pogardę —
Kaź-że dzwonom bić, burmistrzu,
Sądy sprawuj twarde!...

Biją dzwony, po ulicach
Głoszą głosiciele:
Hańba spadła na gród stary,
Wygnała wesele!

Na jeziorze, na głębokiem,
W białe, lniane siecie
Ułowili rybarczycy
Niewiniątko-dziecię.

Burmistrz zasiadł na straszliwe
Sądu sprawowanie:

Która w duszy ma niewinność,
Niech przed sądem stanie!

Biją dzwony uroczyste
Na kościelnej wieży,
Do ratusza, przed burmistrza,
Orszak dziewic bieży.

Spieszą tłumnie, w białych sukniach,
Z liliami w ręku —
Nie boją się głosicieli
Ani dzwonów dźwięku.

Nie boją się błysku miecza,
Ni młyńskich kamieni;
Jeszcze nam się wian rumiany
Na skroniach zieleni!

Jeszcze białe w naszych rękach
Nie zwiędły lilie!
Która winna, niech jej oczy
Mokra rosa pije!

Wszystkie zeszły się dziewice
Z różanymi wianki — — —

Dzwony biją, a trzcina szeleści — — —

Niema jednej między niemi
Panny burmistrzanki...

A trzcina szeleści...

Gdzież ma radość? gdzież me szczęście?
Koniec z mą nadzieją?!
Wstał pan burmistrz, okiem wodzi,
Nogi mu się chwieją.

Bijcie dzwony! Niech głos płynie
Nad ranne niebiosy!
Zjaw się, córko! chroń od hańby
Siwe moje włosy!

Biją dzwony, ku jezioru
Straszne lecą wieści,
Nad jeziorem chwiejna trzcina
Szeleści, szeleści...

O czym szepce trzcina chwiejna?
Czy o rybce złotój,
Którą złowił rybak młody,
Ginący z tęsknoty?

Czy o siostrze trucicielce?
Czy o zradnej żonie,
Co, zabiwszy swego męża,
Poszła spać na tonie?

Ni o siostrze, ni o jęku,
Idącym w wsze strony:
Oczy wzrok mi twój wypalił,
Mężu mój zdradzony!

O rybakach trzcina szepce,
Którzy w lniane sieci
Ułowili, zamiast rybki,
Niewiniątko-dziecię.

O tej biednej burmistrzance,
Co na brzegu siadła
I żałuje i narzeka,
Nieszczęsna, pobladła.

U stóp wianek poszarpany,
Zmięta lilia biała...

Hej! niegodnam-ci ja życia,
Śmierć mi pozostała!...

Szumiej trzcino! niech twe szумы
Idą w świat daleki:
Na dnie moje dzieciąteczko
Śpi już, śpi na wieki!...

A dzwony dzwonią na wieży...

Nie będziesz mi w słońcu rośło,
Jak ten kwiatek w polu,
Patrząc w oczy mi nie będziesz,
Dusza kona z bólu!...

Bijcie dzwony, wstyd mój głoście,
Wstyd wypiję do dna,
Już mi tylko śmierć została,
Świata-m ja niegodna!

Przyjdźcie po mnie, pachółkowie,
Zapłacę za winę:
Niech dziewice spojrzą na mnie,
Niech z tej hańby zginę.

Niech mi ojciec własną ręką
Wydrze serce z łona,
Niech się córki swej wyrzecze
Matka ma rodzona...

Niech odepchnie mnie w żałości
Ma jedyna siostra:
Gdzież jest kara na zbrodniarkę
Za gorzka, za ostra?

Spieszcie, spieszcie, pachółkowie —
Co prędzej! co prędzej!

Przed trybunał zaprowadźcie
Widmo mojej nędzy!...

Pospiesz yli pachołkowie,
Przed sądy ją wiodą —
Na topielną śmierć skazano
Burmistrzankę młodą.

Hej! tonęła burmistrzanka
Na wielkiem jeziorze,
Widzi: ojciec łzę ociera —
Mój Boże! Boże!...

Żal jej życia się zrobiło —
Tak pięknie dokoła —
I na ojca rodzzonego
Żałośnie zawoła:

— Ratuj-że mnie, ojczy drogi,
Wyciągnij te dłonie,
Niechże córka twa rodzona
Tak marnie nie tonie!

— Toń-że do dna, córko moja,
Nieszczęsna toń do dna,
Boś ty świata już bożego
Niegodna! niegodna!

Biją dzwony,
Głucho biją,
A trzcina szeleści...

Hej! tonęła burmistrzanka
Na wielkiem jeziorze,
Widzi: siostra łzę ociera —
Mój Boże! Mój Boże!

Żal jej życia się zrobiło —
 Tak pięknie dokoła —
 I na siostrę swą rodzoną
 Żałośnie zawoła:

— Ratuj-że mnie, siostró droga,
 Wyciągnij te dłonie,
 Niechże siostra twa rodzona
 Tak marnie nie tonie.

— Toń-że do dna, siostró moja,
 Nieszczęsna, toń do dna!
 Boś ty świata już bożego
 Niegodna! niegodna!

Biją dzwony, głucho biją,
 A trzcina szeleści...

Hej! tonęła burmistrzanka
 Na wielkiem jeziorze,
 Widzi: matka łzę ociera —
 Mój Boże! Mój Boże!

Żal jej życia się zrobiło —
 Tak pięknie dokoła —
 I na matkę swą rodzoną
 Żałośnie zawoła:

— Ratuj-że mnie, matko droga,
 Wyciągnij te dłonie,
 Niech twa córka w tem jeziorze
 Tak marnie nie tonie!

— Nie dam ci ja, córko moja,
 Tak marnie iść do dna,
 Choć sędziowie obwieścili,
 Żeś świata niegodna!...

Sprawiedliwe-ć trybunały —
Sam ojciec rodzony
Z łzami w oku kazał dzwonić
W te pogrzebne dzwony.

Aleć serce twojej matki
Wyroku nie powie —
Ratujcie mi córkę drogą,
Niezlomni sędziowie!

Ratujcie mi córkę drogą,
Ratujcie jej wiosnę —
Albo niech i dla mnie dzwonią
Te dzwony żałosne...

Zmilkły dzwony na dzwonnicy,
Ucichło powietrze...

A tylko trzcina szeleści...

Powracają w dom sędziowie,
A lica ich bledsze...

Powracają w dom, za nimi
Orszak dziewic bieży:
Lilie w ręku, a na skroni
Mają wianek świeży...

Zmilkły dzwony, tylko trzcina
Nad wodą szeleści...
O czym-że to, szumna trzcino,
Przynosisz nam wieści?

— Ani o tej rybce złotej,
Ni o zradnej żonie,
Ni o siostrze-trucicielce
Ślę ten szum na tonie.

Ani o tych rybarczykach,
Którzy w lniane siecie
Ułowili nie jesiotra,
Lecz niewinne dziecię.

Ani o tej burmistrzance,
Co nad brzegiem siada,
Z podeptaną u stóp rutą,
Żorująca, blada.

Szumię sobie hej! o matce,
Która poszła do dna
Za tą córką, choć ta córka
Świata już niegodna...

I szumi tak na wieki...



IV.

PIEŚŃ O WALIGÓRZE.

Pod turniami ciemne rosna smreki,
W ciemnych smrekach jasne złotogłowy.

* * *

Z skalnych szczytów spieszy Waligóra,
Nito potok, nito mgława chmura.

Od krzesanic silniejsze ma nogi,
Krzesanice ściera w piarg ubogi.

Śpiewający pospiesza ku hali,
Głazne złomy do przepaści wali.

W głębi żlebów czyni huk daleki —
Pod żlebami ciemne rosna smreki.

Na okrajach budzi szum echowy —
W ciemnych smrekach rosna złotogłowy.

* * *

Ku szaląsom zeszedł Waligóra,
Nito potok, nito mgława chmura.

Na lipcowej przystanął zieleni,
W rannej zorzy oko mu się mieni.

W rannej zorzy, co wyzłaca jędrze
I w jeziornem topi się zwierciadle.

W rannej zorzy, co żegna niebiosy,
Aby umrzeć w drobnych kroplach rosy.

W rannej zorzy, co przed słońcem gaśnie,
Rzucającem krwawe, fałne jaśnie;

Rzucającem światła białe rzeki,
Gdzie pod turnią ciemne rosna smreki;

Rzucającem rozprysk skier różowy,
Gdzie w smreczynach rosna złotogłowy.

* * *

Jasno, krasno na kwietnej polanie,
Waligóra nad jeziorem stanie.

Twarde ręce zanurzy we wodę
I obmyje w głębiach liczko młode.

Toporzysko zatknie w świeżej ziemi,
W krąg oczyma wodzi błękitnemi.

Czujnie w przestwór rozległy się wsłucha,
Z ramion biała opada mu cuha.

Dzwonią dzwonki, hale gwaru pełne,
Mkną perciami owce srebrnowełne.

A od strugi po rośnej dolinie,
Od szalaśów w słońce piosnka płynie:

Skalną nutą wonny przestwórz porze
O szabelce, zaciętej w jaworze.

Hej, Janiczku! waliłeś-ci skały,
Gdzie twe silne ręce się podziały?!

Hej, Janiczku! szalałeś-ci z nami,
Krew ci z rany cieknie potoczkami!

Zczerwieniłeś do dna górskie rzeki,
Ze krwi twojej ciemne rosna smreki!

Hej, ty krwawy losie Janiczkowy —
Z krwi rycernej rosna złotogłowy...

* * *

Ku szaląsom podszedł Waligóra,
Twarz mu płonie, jak zorzna purpura.

K'tobie, dziewczko, serce mi się spieszy,
Orzeł z głaźnej wyleciał pieleszy...

Wielka tęskność idzie skroś mej duszy —
Niedźwiedź ryczy w niedostępnej głuszcy.

Z obcych dziedzin niosę ci korale —
Szedł Janiczek hyrny w wielkiej chwale.

Mam ci złoto, zagrzebione w knieje —
Hej! Janiczku! co się z tobą dzieje?!...

Otwórz okno, pokaż krasne usta —
Twarz Janiczka zbiełała jak chusta...

Otwórz wrota, pokaż jasne oczy —
W krwi Janiczek, jak w strumieniu, broczy.

Nie zapomnę takich ust na wieki —
Pod turniami ciemne rosną smreki.

Nie zapomnę źrenicy stalowej —
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy.

Nie zapomnę śmiechu, co mnie rani —
Szumi jawor na wysokiej grani.

Hej! wy oczy, świecące nad zorze! —
Szablę zaciął Janiczek w jaworze.

Hej, wy usta, wy zradne szyderce —
Powal grań tę, a oddam ci serce!

Powal grań tę, roztrzaskaj na piargi,
Posmakujesz smaku mojej wargi.

Gdy się w przepaść złom za złomem stoczy,
Jak w jezioro spojrzysz w moje oczy.

Ni za koral, ni za garniec złota,
Do komory otworzę ci wrota;

Za tych turnic głośny zwał daleki —
Pod turniami ciemne rosną smreki.

Za tych smreków szum i trzask echowy —
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy...

* * *

Wraca w turnie walny Waligóra,
Z orlich skrzydeł wyskubuje pióra.

Z gniewnych oczu skry żelazne ciska,
Gniewnie szarpie nędźwiedzie kudliska.

Przez strumienie skacze rozpienione,
Setne kłody odrzuca na stronę.

Idzie, sunie od wczesnego rana,
Popod wierchem wyprężył kolana.

Sparł się w kłębach, pięście wgrzebał w boki,
Wrył się w ziemię, zmierzył szczyt wysoki.

Hej, wy zęby, wy turniczki marne,
Jeszcze ja was łokciami ogarnę!

Hej! ty dziewczko, juhaśna tęsknico,
Jeszcze spojrzę w twoje szydne lico!

Rozkrzyżował ręce na dwie mile,
Do wierszyczku zmógł się drugie tyle.

Zgiął się w kabłak, wichru wchłonał parę,
Aż mu lasy oddechnęły stare.

Z czoła strząsał lipca płomień lity,
Zwarł oburącz przystopne granity.

Pot się leje od słonecznej spieki —
Na przystopach głuche rosna smreki.

Dech zapiera ogrom granitowy —
W głuchych smrekach rosna złotogłowy.

Zatrzeszczały granne fundamenty,
Stał się rumor w okrag niepojęty!

Z hukiem w gruz się rozsypały turnie —
Waligóra patrzy górnice, chmurnie.

Mgły kotłują, z głębnej lecą kaźni,
Ryczą, jęczą upiorowie głaźni.

Czerwonemi sięją lęk oczyma,
Chmura-potwór pręży się i wzdyma.

Ponad światem gęsta noc się wlecze,
Tną ją w strzępy błyskawiczne miecze.

Cios za ciosem w graniach się odbija,
Płacze w Raju Przechzysta Lilia.

Pomrok zaległ niebieską posowę,
W mroku rośnie widmo Chrystusowe.

Jak dwa ciemne, falujące morza,
Tak mu spływa włosów fala boża.

Jak dwa wielkie, zczerwieniłe stawy,
Dwie źrenice leją odblask krwawy.

A na skroni takich kolców jeże,
Jako świerków pięćsetletnie wieże.

W licach smutku nieustanne wieki —
O samotne, głuche, ciemne smreki!

Miłosierdzia połysk całunowy —
O wy w smrekach jasne złotogłowy.

* * *

Ku szafasom idzie Waligóra,
Nito pobrzask, nito srebrna chmura.

Idzie cały w światłościach miesiąca,
Z kosodrzewia krople deszczu strąca.

Usty chwyta wychłodłe powietrze,
Serce jego smętniejsze i bledsze.

Pełną piersią głęboko oddycha,
Przed nim płynie tęsknica przecicha.

Na upłazy płynie, na manowce,
Gdzie spoczęły w stragach białe owce.

Ku przymglonej, sennej płynie hali,
Gdzie w szałasie światełko się pali.

Puść, dziewczyno! tam, gdzie turnie żyły,
Dziś jeziora szklą słoneczne bryły.

Gdzie jeziorne świeciły się oczy,
Tam po piargach jaszczurka się toczy.

W gruzy runął boży tum wspaniały,
W cztery strony rozprysły się skały.

Jedna matkę ugodziła w łono,
Mąż od drugiej legnął z jękiem: »Żono!«

Padł od trzeciej ojciec, troską zżarty,
A kochanka zginęła od czwartej.

Nad jeziorem boża-męka stoi,
Podarunek miłośnicy mojej.

Puść, dziewczyno, daj na żalność leki,
Na okrajach ciemne rosną smreki.

Masz dla serca ratunek gotowy —
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy...

Biedne złotogłowy!

Dwie Janiczek wypróbował prace:
Podważ staw ten, rada ci zapłacę!

Hej! ty szablo, Janiczkowa broni,
Niewart serca, kto cię nie miał w dłoni!

Nie na górze-ś, ani też w jaworze:
Gdzieś jeziorne ukrywa cię łoże.

Siklawice wyżeń i potoki,
Przyjdą roki! czarodziejskie roki!

Hen, w doliny wyżeń wszystkie rzeki —
Na urwiskach ciemne rosną smreki...

Ciemne, szumne, smreki!

Wydmij morze do niebios posowy —
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy...

* * *

Nad jeziorem stanął Waligóra,
Patrzy w wodę, a woda ponura.

Chmurne szczyty w lej się zwarły na dnie,
Cisza w koło, ani głąz nie padnie.

Ani śniegu płat się nie odłamię,
By się stopić w tej przepastnej plamie.

Śmierć to głaźne zajęła grodziszcze,
Czasem tylko świstak gdzieś zaświszcze.

Czasem tylko orzeł zatrzepoce,
Ciężkich skrzydeł rozpinając moce.

Czemu, halo, stężałaś, spokojna,
Gdy w mem sercu wre krwawiąca wojna?

Czemu, góry, nie padacie w złomy,
Gdy w mej duszy piarg i gruz widomy?!

Czemu, śniegi, w miał się nie topicie,
Gdy topnieje płone moje życie?!

Czemu chłód tu, gdy ja mrę od spieki?
Pod turniami ciemne rosą smreki...

Czemu szął tu nie hula gromowy?
W ciemnych smrekach rosą złotogłowy...

Przewaliłem wierszyk, tak przewaleę
I te ciche, urągliwe fale!

Wywróciłem granie od korzeni,
I głąb wasza do głębi się spieni!

Jedną nogę zarył w zmarzłe śniegi,
Drugą w piargi i okroczył brzegi.

Wiśny grzbiecik przełamał nad tonie,
W głąb zanurzył dwie olbrzymie dłonie.

W garście zebrał ciężar srebrnosiny
I przez wirchy wyrzucił w doliny.

Z rąk otrząsnął rozszumiałe piany,
Ku potokom stoczył na polany;

Ku siklawom stoczył na urwiska,
Bielą szumów na świat w okrag ciska.

Wre i huczy i złowrogo śpiewa
Rozpętana grzesznych dni ulewa.

Szatan wyszedł na rybne wyłowy —
Ciemne smreki! jasne złotogłowy!

Niezmierną mgłą i niezgłębioną
W wielkiem morzu szumne biele toną.

Każda fala, każda bryła wodna,
Z dzikim grzmotem wwierca się aż do dna.

Jak olbrzymi, okiem nieobjęty
Zwał ołowiu, topią się odmęty.

A za każdym zwałem rosną kręgi
Wskrós ryczącej, wrzącej wód potęgi.

Z każdym kręgiem, szalejąc radośnie,
Szalejące, wrzące morze rośnie.

Do podniebnej wyrasta posowy —
Ciemne smreki, jasne złotogłowy...

A nad gęstą, bezbrzeżną topielą
Białe żagle ciężkie płótna ścielą.

Łódź ogromna leniwie się wlecze,
Ogromniejsza nad zdumienie człeczce.

Nito radło, głębię w skiby orze,
Ogromniejsza nad zdumienie boże.

Snać przebije horyzontu krańce,
Przed nią wirów złowróżebne tańce.

Za nią smuga czarniawego mątu
Ciężko spływa w przepaść horyzontu.

Po czarniawie, co nad dziw urosła,
Stumilowe uderzają wiosła.

Tłum szańskich żegluję wiosłarzy,
Sam Lucyfer u steru na straży.

Coraz wyżej niebo się zamyka,
Z wioseł ścieka piekielna muzyka.

W każdym plusku rozsmaganej fali
Stu fal odgłos skarży się i żali.

A skroś wnętrza przeolbrzymiej łodzi,
Skamieniałe milczenie zawodzi.

Mgławce widma w straszny kłęb się zwały,
Na ich ustach jęk dawno umarły.

Rozpacz łokieć w krzyż kamienny zwija,
Płacze w Raju Przeczysta Lilia.

W dalach giną skamieniałe oczy —
Skoń Chrystusa krwawym potem broczy.

Niezliczone, długie broczy wieki —
Pod turniami ciemne rosna smreki.

O ty święty pocie Chrystusowy!
W ciemnych smrekach rosna złotogłowy.

* * *

Ku szafasom Waligóra wrócił,
Nie wiadomo, jakie wirchy rzucił.

Nie wiadomo, jaka moc go wlekła,
Czy od nieba przyszedł tu, czy piekła.

Gore serce na świętym obrazie,
A zaś twoje jak kowane w głazie!

Gore serce, mieczami przekłute,
A zaś twoje jako śnieżek lute.

Gore serce, cierniem opasane —
Hej, dziewczyno, ukój gorzką ranę!

Toporczykiem zapuka do dźwierzcy,
A dziewczyna na ławeczce leży.

W białe jagnię zatapia się ręką,
Gładzi wełnę srebrnowłókną, miękką.

Gładzi wełnę, ku Janiczku śpiewa —
Hej, gdzie twoja szabla się podziewa?

Nie na szczycie, nie w jeziorze na dnie —
W tajnym borze, wyszukać nie snadnie!

Pod wykrotem, w niedojrzanym lesie —
Gdzież ten wicher, co mi bory zniesie?!

Hyrny Janik trzy wydzierzył prace —
Za tę trzecią rada ci zapłacę!

Zadmij, wicherze, od strony dalekiej —
Pod turniami ciemne rosną smreki.

Ku szabliczce zadmij Janiczkowej —
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy!...

* * *

Waligóra krwawą duszą płonie
Ku wichurze, ku dalekiej stronie.

O poranku w gęste zaszedł knieje,
Z środka puszczy chłodny wietrzyk wieje.

Rozkazuję-ć — mówi w swojej mocy: —
Wlecz się za mną, powiewie sierocy!

Wiew samotny, posłuszny tej wieści,
Cicho w trawach deptanych szeleści.

Na paproci czasami wypocznie,
Co wyzłaca te lesiste mrocznie!

Kępę jagód w uścisk swój uwięzi,
Lub świerkowej chwyci się gałęzi.

Ku wierzchołkom czasami wyrośnie
I zaszumi rozciągle, żałośnie.

Wiew samotny kornym idzie krokiem —
Nad żlebiskiem stanęli głębokiem.

Nachylił się junak krwawoduchy —
Z wnętrza żlebu groźne dmą podmuchy.

Po wilgotnej czepiają się skale,
Kwiat zwarzony senne szepce żale.

Hej, podmuchu, zbratany ze śmiercią,
Pójdiesz ze mną tą kamienną percią!

Idą razem w skaliste zakręty,
Mroźny podmuch, jakby wniebowzięty:

Skacze, tańczy, pierś do skał przytuła,
Z gniazd wyrzuca płód halnego króla.

Ze swawoli gdzieś się w załom włoczy,
Zmięknie chwilę, w przestwór wlepi oczy.

Potem czarne spostrzegłszy urwisko,
Wraz się k'niemu skrada blisko, nisko.

Rysim skokiem na karku mu siędzie,
Na przepastne strąci je krawędzie.

Wielką krawędź razem w grażnię spycha
I oddechem stłumionym oddycha.

Potem, dziko rozśmiawszy się wkoło,
Pod wierchowe przewala się czoło.

Śmiga k'wyży, jak mgławiczna chmura,
Gdzie wsłuchany stoi Waligóra.

O południu przystanął na szczycie —
Słońce więzgnie w niebieskim błękicie.

Żlebny podmuch przykucnął do ściany —
W okrąg przestwór, ciepłem sfalowany.

Faluj-że mi w słonecznej posusze,
Aż się cały falą twą ogłuszę!

Faluj-że mi, aż oślepnę cały
W płomienistych wirach twej nawały!

Rozpełzły się słoneczne promienie
W ciepłe, groźne, wirujące tchnienie.

Zwichrzyły się w jedną biel złotawą,
W szczyty falną uderzają ławą.

Straszna moc je ponad okrąg ściele:
Padły wichry w przepastne topiele.

Straszna moc je w żlebne granie wgniata:
Wyszły wichry ponad okrąg świata.

Świst nad ludzkie rozpasął się ucho —
Świszcze burza rozgłośnie, a głucho.

Czemś ty, wichrze szczytowy, mej duszy?
Niech z twych tajni orkan gwiazd się ruszy!

Przedwieczystą ruszył orkan tuczą
Stąd, gdzie gwiazdy w swych obrotach huczą.

Czem-ś ty dla mnie, ty gwiazdny orkanie?
Niech przedemną Wielki-Wicher stanie!

Niech przedemną stanie oddech boży,
Co tam — widzę — nowe światy tworzy!

Niech przedemną Wielki-Żar zaświszcze,
Co tam — widzę — światy zmienia w zgliszcze.

Z Wielkim-Żarem z nadgwiezdnego szczytu
Spłynął k'niemu Wielki-Wicher Bytu.

Waligóra szumi wichrem Boga,
Przed nim, za nim szumią lęk i trwoga.

Przed nim, za nim głuchą, ślepą rzeszą
Nawałnice i wichury spieszą:

Te, co na świat sypią ogień wraży,
I szepczące po trawach cmentarzy.

Lecą z świstem ku środkowi ziemi,
Wszystko stopy niszczą żelaznemi.

Ciężkie burze, jak żelazne brony,
Porały ludzkich żądź zagony.

Piór żelaznych rzędy mają w skrzydle,
W bór tajemny zapuściły rydle.

Jak łan zboża zmiotły go z powierzchni —
Płacz drzew mrących gdzieś na wieki pierzchnie.

Smug poryty ciemną parą dymi,
Wsiąkająca w wichru dym olbrzymi.

Z środka ziemi nad zszieczonym łanem,
Wichry jednym strzeliły tumanem.

Usta Jęku, oczy Przerażenia
Pod niebieskie wirują sklepienia.

Jeden rozwir, jedna wrząca chmura,
A w rozwirze chmurny Waligóra.

Oszalały, k'niebu się dobija,
Płacze w Raju Przeczysta Lilia.

Wicher boży topi go w swej toni —
Krwawe krople skroń Chrystusa roni...

* * *

Słońce świeci w zielonej dolinie,
Od szalasów pieśń żałobna płynie.

O Janiczku, co zginął na wieki —
Pod turniami ciemne rosną smreki —

O zaklętej szabli Janiczkowej —
W ciemnych smrekach rosną złotogłowy.



V.

MARYAN OLCHOWICZ.

O jak mnie męczy piekło tego życia!
Duch mój, przebiegłszy przez ten świat, jak burza,
Co nie oszczędza wierzby, blizkiej gnicia,
Ani zdrowego jaworu, co nurza
W głębinach jezior łeb swój rozczochrany
I ciche krople przemienia w bałwany —
Duch mój z natury swej się wynaturza
I pragnie ciszy...
On, co się wczoraj, bywało, nie słyszy
W wszczętym przez siebie rozhuku i wirze,
Opuszcza dzisiaj swoje skrzydła hyże
I pragnie ciszy.

Nad dolinami, ponad zielonemi,
Gdzie blask miesięczny swe brylanty rosi
Na bujne trawy, gnące się ku ziemi,
Jak atom blasku duch się mój unosi,
Senny, leniwy, wsłuchany w poszumy
Traw szeleszczących, wpatrzon w kwiatów tłumy,
Które śmierć jutro swoją kosą skosi,
Spragniony ciszy!
Wokół się leje zdroj lepkich haszyszy

Z żył nenufarów i lilij i z wnętrza
Róży, co płonie, nad ogień gorętsza,
W miesięcznej ciszy.

I szepcą do mnie szeleszczące trawy
I zioła, pełne dusznego zapachu,
I toń jeziora i miesiąc złotawy,
Śród niebieskiego zawieszony dachu,
Jako ta lampa w grobowca kopule:
»O Maryanie Olchowiczu! Bóle
Milkną tu wszystkie i przejawy strachu
Giną w tej ciszy!...
Żądz niekiełzanych tchnieniem nie zadyszysz
Pierś twa i duch twój, jak szatan skrzydlaty,
Okrażający bez spoczynku światy,
Spocznie w tej ciszy!«

Ach! do szaleństwa snąc mnie doprowadzi
Ten wab, tajemną łechcący symfonią,
Ten poszept głogów, które wietrzyk gładzi
Po kraśnem licu aksamitną dłonią,
Żółty nenufar i ta lilia biała,
Co się z litości nademną spłakała
I, wonny płacz swój zlawszy razem z tonią
W północnej ciszy
W szmer melodyjny, zdaje się, że słyszy
Jęk mego serca i jęczy z niem razem
I melodyjnym otwiera rozkazem
Gmach wiecznej ciszy.

»O Maryanie Olchowiczu! W duszy —
W swej własnej duszy chowasz źródło winy
I tej męczarni, której nic nie zgłuszysz,
Chyba ta woda i ten miesiąc siny
I ten nenufar, co na twoje przyjście
W puchowe łożę rozściela swe liście

Śród srebrnych luster jeziornej głębinie
W tej wielkiej ciszy —
Chyba ta lilia i ten głóg, co dyszy
Ciężkim zapachem, i ten szum, co z boru
Płynie, i owad, blaskami fosforu
Lśniący w tej ciszy.

O Maryanie Olchowiczu! Pyłki
Twej biednej duszy, która kryje w sobie
Przyczynę złego: daremne wysiłki,
Ażeby stworzyć coś, co nie ma w grobie
Swego początku, swej formy i treści
I swego końca, bez żadnej boleści
W mgłę się rozplyną w czarującej dobie
Mistycznej ciszy!
Wcielią się w krople tych lepkich haszyszy
I w poszum lasu, gdy w swą harfę trąca,
Jako druida, i w światło miesiąca,
Co drży w tej ciszy.

O Maryanie Olchowiczu! Gwiazdy,
Co ma nad morzem przyświecać żeglarzom
Pośród burzliwej na odmętach jazdy,
Symbolem imię jest twoje, a wrażą
Tajemniczego króla olch potęgę
Oznacza twoje nazwisko: znasz księgę
Ksiąg i słyszałeś, o czym starzy gwarzą
W wieczornej ciszy,
A co w balladzie taką grozą dyszy:
Zanimś powstał, nieznana ci siła
Dwa te pierwiastki tobie przeznaczyła
W przedwiecznej ciszy.

Lecz cóż, żeś zeszedł nad szalonym światem,
Jak gwiazda morska ponad głębinami?
Burza, jak przedtem, smaga je swym batem,

Błękity niebios chmur ołowiem plami;
Maszty się łamią, okręt idzie w trzaski,
A gwiazdy morskiej zbawiające blaski
Zgasły hej! zgasły! Z jękiem i kłątwa mi,
Daremnie ciszy
Wzywając, toną, żeglarze. Nie słyszy
Nikt ich wołania, żaden Bóg ni człowiek!
Spokój z wyżartych wychyli się powiek
W tej na dnie ciszy!

O Maryanie Olchowiczu! Królu
Olch, wyposażon w ludowej legendzie
W cechy demonów, co, nie znając bólu
Słabych, bez troski i myśli, jak będzie,
Głusi na skargę serca, które kona,
W swe fantastyczne chwytają ramiona
Tłumy — niemowląt i w złowróbnym pędzie,
Wrogowie ciszy,
Rwą je ze sobą i — duszą! Czy słyszy
Ucho twe szelest i szum ten daleki?
To kłątwy ojców i matek, jak rzeki,
Grają w tej ciszy!...

O gwiazdo morza! Królu olch! Fantomie —
Boś nie człowiekiem, tak, jak inni ludzie,
Na tym wszechświata atomicznym złomie,
Tej nikłej ziemi, kołaczący w trudzie
O kromkę chleba i o mięsa płatek
Dla siebie, dzieci, sióstr, ojców i matek —
Patrz na ten szereg postaci, o cudzie!
W tej strasznej ciszy
Coraz to bliżej wionących! Czy słyszy
Dusza twa skarg ich rozpłakane lutnie?
O, patrzeć na nie, jak smutnie, jak smutnie
W tej strasznej ciszy!

Patrz! Na ich przedzie to ojciec twój siwy,
 Upiór ze sercem pękniętem, z mogiły,
 Którą zarosły osty i pokrzywy —
 Bo czci nie żywisz dla bytów, co były —,
 Wstał, by zapłakać nad tobą... Tam oto
 Matka, przez ciebie porzucona w błoto
 Nędzy! Tam siostry z starganemi siły!
 Przewróć tej ciszy,
 Co, jako chmura od łez ciężka, dyszy,
 Snać, że przeszyją swym bolesnym wzrokiem,
 By wszystkie światy zalał łez potokiem
 Przewróć tej ciszy!...

Nielitościwy królu olch! Pod nogi
 Rzuciłeś wszystkich! Dla kogo? Dla jednej
 Z gwiazd, majaczących pośród krwawej drogi
 Żądź nieuchwytnych, dla mary bezwiednej,
 Co takie znaleźć w światowym systemie
 Chce koło szczęścia, aby wszelkie brzemię,
 Złączone z losem tej ziemicy biednej,
 Spragnionej ciszy,
 Uniosło z sobą na zawsze!... Haszyszy
 Woń ma ta żądza: ubez władnia człeka,
 Że wnet zapragnie trumiennego wieka
 I grobów ciszy!...«

Ach! oszaleję! Wikłający zmysły
 Szał wciska mi się do mózgu, jak złodziej!
 Byli mędrcomie, którym śnać wytrysły
 Słowa nauki, że z krwi się odrodzi
 Świat ten i z ognia... I byli mędrcomie,
 Co krew i ogień siewali — na zdrowie
 I szczęście świata wieczyste! Zawodzi,
 W ciężarnej ciszy
 Ludzkiego ducha, co pragnieniem dyszy
 Wiecznego szczęścia dla świata, powstały

Siew ten, czy zbawia? Drzę cały! Drzę cały
W ciężarnej ciszy!...

Ach! oszaleję! W oczach drga powietrze
Sypkimi bryłki! Migocą mi one
Krwawsze od róży, to od lilii bledsze,
Niebieskie, czarne, żółte i zielone...
Odróżniam jeszcze atom od atomu,
Barwę od barwy... A teraz, od gromu
Szybciej, w błyskawic strojnego koronę,
W tem państwie ciszy,
Niby od kopyt tententu, zadyszny
Ziemia naokół i, jak orkan dzika,
Rozbija fale powietrza muzyka
W tem państwie ciszy.

Kazał-li zagrzmieć Jehoszuah w surmy,
By się waliły jerychońskie mury,
Przybytki cielców i ciemństwa turmy?
Szum to-li bożych aniołów u góry,
Czy też szatanów, lecących na czele
Hunnów, piekielne, siarczyste wesele?
Któż, w krwi tej brodząc, wiesz szmat purpury
W przerwanej ciszy?
Niebo naokół krwawą łuną dyszy,
Coraz to gęstsze lecą skry dokoła —
Świat w krwi i ogniu!... Świat ratunku woła!...
Spokoju! ciszy!...

Ach! oszaleję!... W takie, jak ja, byty,
W których się słabość bezkrwista wylęga
Na hasło czynu, które straszą zgrzyty
Onej muzyki przyszłości, potęga
Czemu nieznaną pragnieniem się wżera,
Zdolnem rozsadzić piersi Lucyfera,
Lub Prometeja? Żądza niech nie sięga

Do sfer, co ciszy
 Są zaprzeczeniem! Spokój celi mniszėj --
 Nie! spokój grobu, oto przystań myśli,
 Co ponad siły drogę sobie kręśli
 Zdala od ciszy...

Precz, precz obrazy, co mą duszę w ciemną
 Wprawiają grozę, co moją istotą,
 Jak kłębkami nici, targają! Przedemną
 Niechaj, oblane miesięczną pozłotą,
 Tchnące zapachem róż i lilii wodnych,
 Powioną kształty, które z snów pogodnych
 Fra Angelico z rajska snuł ochotą
 W mistycznej ciszy!
 Niech moje wnętrze jeden tylko słyszy
 Dźwięk: szelest trawy, szmer wody, szum boru,
 Zlane w pieśń jedną, drżącą śród przestworu
 W samotnej ciszy.

Ponad jeziora błękitnawe fale
 Z lilij zapachów, z nenufarów woni
 Zrodzona, strojna w łagodne opale,
 Które tam w górze miesiąc w przestwór roni,
 W szacie, z mgieł tkanej powiewnych, wyrasta,
 Jak owa z baśni królewska niewiasta,
 Postać i sunie, jak oddech, po błoni:
 Wieczystej ciszy
 Symbol, któremu znój nie towarzyszy,
 Znój walk bezpłodnych; potęga, co duchy
 Znużone, senne, naodziwia w puchy
 Wieczystej ciszy...

Zbliża się do mnie, chwyta w swe objęcia,
 Słów pieszczotliwych harmonijne dźwięki
 Leje do uszu; nakształt pacholęcia,
 Co od matczynej usypia piosenki,

Tak w sen mnie tuli, tak ciągnie, gdzie liście
W jedwabne łożo rozściela na przyjście
Moje nenufar przewonny, przemiękki!
Wieczystej ciszy,
Co taką wonią naokoło dyszy,
Zawitaj, słodka zwiastunko! Zawitaj,
Śmierci! W swój uścisk całego mnie chwytaj
I wiedz — ku ciszy!...



SPIS RZECZY.

LIRYKI II.

I. Melodye wiosenne.	
I. Marzanno!	5
II. O witajże nam, wiosenko	7
III. I oto znowu wróciłaś	9
IV. O złote słońce	14
V. Nad światem, nad sennym, zabłysła	16
VI. Wieczorem	18
VII. Na łące	21
VIII. Życie o! życie	22
IX. Powróciły do domu bociany	23
X. Pierwsza pieśń	25
XI. Szum drzew	28
XII. Świt wiosny	29
II. Melodye jesienne.	
I. Ciche boje	33
II. Tyle kwiatów opada zawczasie	35
III. Łabędź	36
IV. Z przyjściem jesieni	38
V. Jesień	44
VI. Poranek	46
VII. Pierwszy śnieg	47
III. Sny i marzenia.	
I. Widzenie	51
II. Chwila zadumy	54
III. U piramidy Cestytusza. Cieniom Shelley'a	62
IV. Giordano Bruno	69
V. Anadyomene	78
VI. Demokryt	85

VII. Łzy	86
VIII. Anioł ciszy	89
IX. Na skrzydłach tęsknoty	90
X. Tantal	91
XI. Mona Liza	92
IV. Anima lachrymans.	
I. Bądź pozdrowiona!	97
II. Rozpacz	98
III. Zaprawdę! od ludzkiej doli!...	100
IV. Nie zdradzą oczy moje	101
V. Cóż jest warte życie bez uniesień	102
VI. Słum tę chęć życia!	103
VII. Chłód mnie ogarnął	104
VIII. Nie żałuję	107
IX. Droga Golgoty	109
X. Mater Dolorosa	110
XI. Po deszczu	111
XII. Rzuć z siebie, duszo...	112
XIII. O zbliż się, śmierci!	113
V. Circulus vitiosus.	
I. Solamen miseris	117
II. Zagaśnij słońce	118
III. Zgrzeszyłem!...	119
IV. Flectamus genua	120
V. Amavi	121
VI. Odi profanum volgus	122
VII. W rozbolełego serca żywą księgę	123
VI. W ciemności schodzi moja dusza.	
I. Wierzyłem zawsze w światła moc	127
II. W ciemności schodzi moja dusza	128
III. Zazdroścę nieraz tym, co w grobach leżą	129
IV. O niezgłębiona duszy toni	130
V. Z głębin przestworu, z ciemnych chmur	131
VI. Ach nieraz mi się zdaje	133
VII. Życia ogromne morze grzmi przedemną	135
VIII. Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!	138
IX. Modlitwo moja, cicha i bez słów	142
X. Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!	145
XI. Bolu szemczący zdrój i cichej melancholii	148
VII. Z wirchów i hal.	
1. Z Alp.	
I. Na jeziorze czterech kantonów	153
II. Na Teufelsbruecke	159

III. Jungfrau	161
IV. Na lodowcach Aletschu	164
V. Ze szczytu Eggishornu	166
VI. Jezioro Maerjelen	169
VII. Szlakiem symplońskiej drogi	172
VIII. Na jeziorach włoskich	178
2. Z Tatr.	
I. Wiatr gnje sieroce smreki	187
II. Na szczycie	188
III. Orzeł	189
IV. W ciemnych smreczynach	191
V. Wiatr halny	192
VI. Krzak dzikiej róży w ciemnych smreczynach	195
VII. Cisza wieczorna	198
VIII. Taniec zbójnicki	201
IX. Nad przepaściami.	
I. Nad przepaściami.	219
II. Wieczności wielki, głęboki, niezobjęty sen	232
III. Waruno!...	236
IV. Nie było bytu, ani też niebytu...	241
X. Akordy jesienne.	
I. Wiatr w pożółkłych huczy drzewach	247
II. Cóż, że jestem dziś samotny	249
III. Pełzam nieraz, jak gadzina	251
IV. W blaskach świtu duch młodości	253
V. Śnie młodości! przez szarugi	255
VI. Dmij, wichuro! Z zwiędłych koron	257
VII. Trubadurem być? U pańskich	259
VIII. Pieśni nasza! Niespożyta	261
IX. Cóż, że będzie ci złorzeczył	263
X. Pieśni nasza! Smętno tobie	265
XI. My — przeżyci?... My, jak kwiaty	267
XII. Powiadają, że w nas niema	269
XIII. Marny tłumie! Zasłuchany	271
XIV. Ziemi, droga rodzicielko	273
XV. Wstań, orkanie! Wstań, orkanie	275
XVI. Oto dusza ma, jak więzień	277
XVII. Cud nad cudy! Wielkie widmo	279
XVIII. Patrzy dusza osłupiała	281
XIX. I, porwana pieśnią życia	283
XI. Nie zgastaś, pieśni.	
I. Nie zgastaś, pieśni	287
II. Siądź na kamieniu	290

III. Wieczór	292
IV. Pożegnanie	293
V. Rada	294
VI. Stary, czarny krzyż	295
VII. Dzień Matki Boskiej Anielskiej	297
VIII. Procesya	298
IX. Miłości pełne niech będą twe usta	299
X. Mróz	300
XI. Droga	301
XII. Dzwonki sanek	302
XIII. Ciche, samotne rzędy wierzb	303
XIV. Fragment	310
XV. Ballada o słończniku	315

XII. Na ton ballady.

I. Sierotka	321
II. Pieśń o pani, co zabiła pana.	324
III. Pieśń o burmistrzance.	330
IV. Pieśń o Waligórze	340
V. Maryan Olchowicz	356



PG
7158
K3
1912
t.4

Kasprowicz, Jan
Dzieła poetyckie
t. 4

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

